



JAN
STRZEMBOSZ

JAN STRZEMBOSZ



DZIEJE DZIESIĘCIOLECIA

I.

POŻYCZKA ZAGRANICZNA

II.

RADOSNA TWÓRCZOŚĆ

III.

R U I N Y

IV.

JABŁOŃ KWITNĄCA

POŻYCZKA ZAGRANICZNA

POWIEŚĆ



JAN STRZEMBOSZ

KSIEGARNIA ŚW. WOJCIECHA



147952

1

„C'EST UN MONDE, LA VÉRITÉ”

FRANÇOIS MAURIAC
„LA FIN DE LA NUIT”

Nakładem i czcionkami Drukarni i Księgarni Św. Wojciecha S. z o. o.
w Poznaniu, — Tłoczono na papierze z własnej fabryki „MALTA”.

K-149/83

I

Profesor Bogusławski skrzył na prawo i znalazł się na małym skwerku przed wejściem do Cluny.

Był dzień marcowy, pogodny, pierwszy z dni wiosennych. Śnieg zniknął od dawna i wzdłuż żelaznych sztachetek poczyniała już trawa zielenieć. Ale drzewa stały jeszcze szerniałe, nazbyt sztywne. Jak prowincjonalne dewotki, zaciśnięte w stanik z grubej, czarnej wełny. Profesor minął je szybko i przeszedł na chodnik przed zamkniętą bramą muzeum.

Tu stanął i przez chwilę przypatrywał się gładziznom wysokiego muru. Podszedł do furty gotyckiej i dotknął jej okuć żelaznych. Przesunął ręką po kolumnienkach kamiennych aż do miejsca, gdzie przechodziły w ostrołuk ozdobiony liliami. Delikatna ręka starca z fizycznym wprost wzruszeniem wyczuła ich kształt i ciepłą chropowatość kamienia. Uśmiechnął się i uzupełnił swoje spostrzeżenie.

— O, słońce dogrzewa — rzekł rażno. — Wiosna idzie.

— Wiosna idzie — usłyszał za sobą swe słowa, powtórzone głosem znajomym. Odwrócił głowę i spostrzegł Jacka Białynię.

— A ty skąd? — zapytał wyciągając rękę.

Jacek stał przed nim i uśmiechał się również.

— Ja? — mówił wesoło. — Ja jestem, jak Żyd wieczny tułacz. Taki zresztą mój zawód. — Ale pan, profesorze? Myślałem, że pan we Florencji jest jeszcze. Na kongresie.

— Kongres się skończył — odparł profesor poważnie. — Zabrałem Haneczkę i przyjechaliśmy tutaj. Musisz nas przecie odwiedzić. Mieszkamy po staremu naprzeciwko Sorbony.

Szli teraz w dół ludnym bulwarem Św. Michała. Poprzez kratę żelazną widać było resztki rzymskich ruin. Starożytne Thermę, przylegające do murów Cluny. Tłum wielojęzyczny otoczył ich lepką masą. Słyszeli jednocześnie wyrazy rosyjskie, niemieckie i hiszpańskie. Dwóch studentów, idąc przed nimi, rozmawiało głośno poprawną francuszczyzną. Obaj byli czarni. Łyskali białymi zębami i zaczepiali przechodzące dziewczęta.

Nie zatrzymując się profesor Bogusławski wyciągnął rękę przed siebie. W milczeniu wskazał punkt jakiś po przeciwnej stronie Sekwany. Oczywiście Jacka pobiegły w tym kierunku i rozjaśniły się naraż.

— La Sainte Chapelle — wyrzekł półgłosem.

Profesor skinął głową. W jego niebieskich oczach zapaliły się światła uporczywe, jasne i łagodne.

— Ilekroć patrzę tam, Jacku, — mówił miękko, harmonijnym głosem — ilekroć tam patrzę, a patrzę od pół wieku prawie, nie mogę się oprzeć wzruszeniu. Zdaje mi się, że widzę całą Francję właśnie. Jaką była i jaką będzie. Poryw jej ducha, zaklęty w kształt strzelistości kamiennej. Symbol spraw, którym ten naród służył w swej historii. To jest wielkość. Niefałszowana. Istotna.

Stali przy moście, wsparci o granitowe obramienie wybrzeża. Przed nimi tłoczyły się szkuty płynące z ładunkiem ku morzu. Za nimi na małym placu rozlegał się hałas samochodów ciężarowych. Masy ludzkie przesuwwały się umiejętnie pomiędzy linią tramwajów i zwartym szeregiem taksówek. Na moście tworzył się zator.

— Sądzę — rzekł Jacek Białynia — że porównanie jest trafne. Ta kaplica gotycka, zasłonięta ścianami zwykłych, użytkowych budowli, to istotnie jakby Francja właśnie. Francja porywu i entuzjazmu ukryta poza Francją racjonalistyczną, wyrachowaną, kupiecką. Trzeba tylko umieć dojrzeć ją.

— Tak jest — potwierdził profesor. — Trzeba umieć ją dojrzeć.

Zamyslił się i dodał po chwili:

— I trzeba patrzeć w górę, w otwartą przestrzeń nieba.

Skręcili i szli w lewo tuż nad brzegiem rzeki. Znowu ogarnęła ich cisza. Ładowne szkuty przesunęły się wolno z pluskiem monotonnym. Przekupnie otwierali skrzynki drewniane, pełne sta-

rych, zakurzonych książek. Jacek nie zatrzymując się poznawał niektóre wydawnictwa: Thiers i Quinet, i Henri Martin. Zapytał o „Les Contes” La Fontaine’a. Ale przekupień posiadał jedynie pospolite „Bajki”. O kilka kroków dalej Jacek wziął do ręki sztych jakiś i uważnie pod światło oglądał brzeg marzy, aby poznać pochodzenie papieru. Ale papier osiemnastowiecznej grawiury pochodził wyraźnie z końca następnego stulecia. Jacek bez słowa włożył sztych z powrotem do skrzynki, wówczas przekupień, który z boku obserwował klienta, ukłonił mu się z szacunkiem.

— O, widzisz — zaśmiał się profesor Bogusławski — gdybyś wyłożył sto franków, nie miałbyś tego ukłonu.

Profesor Bogusławski od lat trzydziestu wykładał historię i archeologię starożytnego Wschodu. Kształcił się początkowo w Niemczech, gdzie pod kierunkiem Lepsiusa odbył kilkoletnie studia przygotowawcze. Nasiąkł tam, jak sam mówił, erudycją niemiecką, ale jednocześnie uwikłał się w niej bezradnie. Odczytywał bez trudu teksty, których nie umiał zestawić ani objaśnić. Dusza zaginionych narodów pozostała dlań nadal niedostępna i obca. Znał tylko zewnętrzne zabytki ich istnienia tak właśnie, jak zręczny anatom zna umarłe ciało. Czymże jest jednak znajomość ścięgien i jelit, gdy chodzi o poznanie duchowej działalności człowieka? Profesor Bogusławski zwykł był mawiać, że u Lepsiusa nauczył się jedynie ana-

tomii Wschodu. Pozostawała część druga, znacznie ważniejsza od pierwszej, i o tej, jak często się zdarza, zdecydował przypadek.

Na jednym ze zjazdów spotkał się młody jeszcze Dominik Bogusławski z Gastonem Maspero. Był to wstrząs. Świat dotychczasowych wyobrażeń załamał się nagle, jak lód na rzece, kiedy kra rusza. Spiętrzył się w chaos bezładny i spłynął w ciągu dni kilku, pozostawiając przestrzeń oczyszczoną i wolną. Promieniowanie myśli wielkiego znawcy Wschodu okazało skutek dobroczynny. Przełamało długotrwałą martwość. Wniosło jasność i życie. Dominik Bogusławski zdecydował się. Porzucił berlińską pracownię i podążył za mistrzem. Towarzyszył mu odtąd w żmudnych wyprawach naukowych. Przebywał z nim miesiącami całymi, opracowując wyniki poczynionych odkryć. Stał się jego wyznawcą i przyjacielem zarazem.

— Ach — zwierzał się czasem — cóż to było za życie. — Tam w piaskach pustyni nad brzegami Nilu. Wschodziły gwiazdy wieczorem i wiatr się zrywał zniecka, a myśmy gwarzyli u wejścia do namiotu. Słyszałem skowyt szakala i patrzyłem w niebo jarzące się, bezkresne. Maspero zapominał wtedy o bieżących pracach. Głosem cichym mówił nam o tym, czego by na próżno szukano w jego dziełach. Bowiem dzieła jego stanowią jedynie jakby wstęp niezbędny do tych najgłębszych, najistotniejszych rozważań. To, co w filozofii nazywa się prodrugiem. Pisał je z myślą o tysiącach czytelników, których nie znał i któ-

rym nie mógł całkowicie powierzyć swych dociekań. Był przezorny, jak starożytny kapłan egipski, nie ufający powszechnie znanym znakom. Mówił długo w te jasne wieczory i pamiętam głos jego, rozlegający się pośród świątyń i grobowców, odgrzebanych po czterdziestu wiekach.

Potem przyszły lata inne: osiadłe i wypełnione pracą jednostajną. Profesor Bogusławski objął katedrę we Lwowie i z rzadka tylko powtarzał swe wycieczki do ziemi Faraonów. Częściej natomiast odwiedzał Francję i Włochy. Tam miał rozległe stosunki i wielu oddanych przyjaciół. W podróżach tych towarzyszyła mu zwykle jego córka Wanda, a po jej śmierci — wnuczka, czarnooka Haneczka Orsini. Wanda bowiem wyszła za mąż za włoskiego oficera marynarki, który zginął następnie na statku, zatopionym austriacką torpedą. Sama umarła w rok po nim w Ankonie, wpatrzona w morze, które pochłonęło jej męża. Wówczas pozostała tylko mała Hania i dziadek zabrał ją z sobą do Polski.

Jechali zimą przez Semmering i Wiedeń i dziecko z zachwytem przyglądało się górcom, okrytym śniegiem głębokim, połyskliwym. To było pierwsze wspomnienie jej dzieciństwa. Rodziców nie pamiętała wcale. Wiedziała o nich, że byli dobrzy bardzo i że ją kochali, ale umarli oboje, gdyż jeszcze więcej kochali się nawzajem. Nie rozumiała wprawdzie, jak można umrzeć z kochania, ale też nie zastanawiała się nad tym. Przyjmowała fakt w wersji ustalonej, jakby był całkiem naturalny

i prosty. Jej mała główka musiała przecie pracować nieustannie nad tym, co teraz widziała i słyszała. Przeszłość zarówno jak przyszłość znajdowały się na razie w innym wymiarze, niedostrzegalne i obojętne jednocześnie. Tylko teraźniejszość zmienna, ogromnie kolorowa pochłaniała jej myśli tak samo kolorowe i zmienne.

Obecnie Hania była już dużą dziewczynką o śniadej twarzyczce i płonących oczach. Mówiła po polsku śpiewnym akcentem kresowym i nie pamiętała prawie słów włoskich. Gdy ponownie znalazła się w Italii, dziwiła się palmom, cyprysom i oliwkom. Z przerażeniem nieledwie patrzyła w błękit morza, jakby odnajdując w sobie tajemny odgłos tragedii swych rodziców. Nie chciała wsiąść do łodzi. W Wenecji w nagłej obawie uciekła z Ponte Rialto i dziadek z trudem odszukał ją wśród tłumu. Ale Florencja podobała jej się ogromnie. Była uszczęśliwiona. Cieszyła się każdym zakątkiem. Śmiała się do każdej uliczki. Wybiegała rankiem na plac przed Santa Maria del Fiore i przebywała tam zwykle do powrotu dziadka. Siadywała na schodach przed wejściem do katedry i rozdawała dzieciom cukierki. Rozmawiała z nimi, powtarzając w kółko kilkanaście włoskich wyrazów. Dzieciaki schodziły się gromadnie i przysiadłszy obok na schodach, zadawały pytania, których nie mogła zrozumieć. Śmieli się wszyscy, gdyż śmiech był dla wszystkich jednakowo zrozumiały i miły. Tłumaczył, czego nie można było wyrazić w inny sposób.

Wszakże kongres się skończył i profesor z Hanią wyjechał do Paryża. Chodziło właśnie o Hanię. Profesor Bogusławski żywił pewne obawy. Pamiętał przedwczesną śmierć córki w okolicznościach dziwnych, niezrozumiałych nawet dla lekarzy. Wszak pani Orsini zmarła właściwie bez powodu. Z tęsknoty za mężem. No, tak, ale to było tłumaczenie nazbyt romantyczne. Ono samo wymagało innych, bardziej konkretnych wyjaśnień. Lekarze uśmiechali się cierpko. Starali się nie wypowiadać na temat tego zgonu, aczkolwiek przyznawali, że śmierć niewątpliwie była naturalna. Profesor Bogusławski odgadł bez trudu, że żaden z nich nie wie więcej, niż on sam. Toteż nie zapytywał już o nic. Z tym większą jednak troską śledził rozwój dziecka.

— No, a tu bywasz? — zapytał profesor Bogusławski wskazując uliczkę na lewo. Była to ulica Guénégaud, gdzie pod numerem siódmym zamieszkiwała rodzina Władysława Mickiewiczów.

— Oczywiście — odrzekł Jacek. — Tu wszyscy przychodzą w poniedziałki.

— Więc i tu się spotkamy. Bywam w tym domu od lat młodości mojej. Za każdym pobytem w Paryżu. Muszę ich jeszcze odwiedzić. Kto wie, czy nie ostatnie to będą odwiedziny?

Przystanął i w zamyśleniu patrzył na Sekwanę. Szukoty spłynęły i rzeka była wolna. Lśniła

fałą drobną w porannym słońcu wiosennym. Była łagodna i jasna, dziwnie harmonijna.

— To jest pół wieku prawie — mówił profesor Bogusławski. — To jest pół wieku. Czy ty rozumiesz, Jacku, co mogło być wówczas na świecie? Paryż żył jeszcze wspomnieniem oblężenia, a Bismarck dyktował warunki kongresowi mocarstw w Berlinie. To była noc. Szliśmy przed siebie omackiem. Wtedy tu w Paryżu zbierało się grono ludzi, którzy chcieli jednak wiedzieć, ku czemu idą. Boutmy zakładał swą Szkołę. Sorel wykrywał machinacje kancelaryj dyplomatycznych. Pisał o nas. O Polsce. Zrozumieliśmy, że bez znajomości spraw Europy i świata my, Polacy, nic nie zdołamy uczynić. Że nie dość jest bić się i ginąć. Że trzeba wreszcie wygrywać. Że winien jest ten, kto się myli wiecznie.

Zamilkł i patrzył w srebrzystą połyskliwość wody. W migotanie fal krótkich, roztrąconych kądłubem parowca. Jakby widział tam przeszłość niedawną, a zamierzchną przecie. Niezrozumiałą już dla tych, którzy nie oglądali jej sami.

— To była noc — powtórzył — i myśmy postanowili poszukiwać w niej światła.

Odsunął się w końcu od rzeki i nacisnąwszy kapelusza począł iść krokiem szybkim i nerwowym. Miał teraz oczy zamglone, jakby rosa osiadła na niebieskim ich szklawie. Ścisnął mocniej parasol, aby ukryć lekkie drżenie ręki. Nie lubił okazywać wzruszenia.

— Więc bywaj zdrów — rzekł wreszcie, zatrzymując się przed pałacem Mazarini. — Muszę wstąpić do Instytutu. Pamiętaj nas odwiedzić.

Pożegnali się i Jacek patrzył przez chwilę za oddalającym się starcem. Widział jego postać krzepką jeszcze i prostą. Pasma siwych włosów wymykające się spod ronda czarnego kapelusza. Mocno zarysowany profil i oczy jasne, głęboko osadzone. Trudno było przypuścić, że profesor Bogusławski dobiegał siedemdziesiątki.

Idąc przez most des Arts w stronę Luwru, Jacek Białynia myślał z kolei o sobie.

Należał do pokolenia, nad którym zaciążyła katastrofa wojny. Do pokolenia, które u progu życia zmuszone było patrzeć w zamęt rzeczywistości okropnej. Takie rzeczy nigdy nie przemijają bez śladu. Oczy siedemnastoletnich wyrostków patrzają bystrzej, choć nie sięgają może równie głęboko, jak wzrok dojrzałego człowieka. Są szczególnie wrażliwe na fałsz. Na niewspółmierność głoszonych zasad i codziennej przyziemnej praktyki życia. Te oczy młode, nieufne i badawcze patrzyły długo spod daszka czapki żołnierskiej. Widziały rzeczy zawstydzające, czasem wprost nikczemne. Tylko naiwność przywódców pozwala im wierzyć w bezkrytyczną uległość żołnierza. W jego zmechanizowaną, automatycznie nakręcaną psychikę. Jest to wrażenie pozorne, nabyte przez długoletnie obcowanie z koszarami. Ale wojna wyzwala właśnie z koszar. Rzuca masy na front. Żoł-

nierz staje się wojownikiem. Walka nie jest musztrą.

Aby walczyć, potrzeba wierzyć. Element wiary jest zasadniczym składnikiem bojowej wartości każdej armii współczesnej. Bardziej od jakości ekwipunku stanowi on o zwycięstwie. Wojska rewolucji francuskiej, głodne i obdarte — zwyciężały. Zasobne armie arcyksiążąt austriackich ponosiły klęskę po klęsce. I wtedy, i w sto lat później, w naszych czasach. W co jednak miał wierzyć żołnierz arcyksiążąt? Wiedeń miał rząd i cesarza. Ale Wiedeń nie miał idei zdolnej opanować serca siedemnastoletnich wyrostków.

Jacek zatrzymał się i przechylony przez poręcz mostu patrzył w nurt rzeki, jak profesor Bogusławski przed chwilą. I on również ulegał owemu przyciągającemu działaniu wody bieżącej, które pozwala w przepływie fal widzieć myśli własne. I przed nim z fal tych wynurzała się przeszłość niedawna, a przecie niezrozumiała już prawie. Sekretarz Ambasady z wysiłkiem widział na dnie wody konspiracyjnego działacza wśród młodzieży. Był to obraz niejasny, zamglony, o rysunku naiwnym, nieco zbyt uproszczonym. Nikt gdzieś co chwila i powracał znowu.

— Ustrój Europy ocalił żołnierz Polski — wymówił prawie głośno. — Żołnierz, który nie miał rządu ni cesarza. Żołnierz, który nie znał koszar ani musztry. Gdyby nie on, fala rosyjskiego przewrotu spotkałaby się z narastającą falą niemiecką

i węgierską. Nastąpiłby zalew. Ogólna katastrofa dziejowa zamknęłaby historię wielkiej wojny.

— Przeciwstawić się mógł tylko ten, kto sam nie miał żadnych związków z poprzedzającą rzeczywistością polityczną. Kto nie ponosił w oczach chłopców, wysyłanych na śmierć, żadnej odpowiedzialności za dotychczasowe kłamstwa, krzywdy, przemieszania. Nieodpowiedzialny za jakiegokolwiek bądź państwo bezpieczeństwa. Konspirator. Emigrant. Rewolucjonista. Logika życia — myślał dalej — inna jest, niż logika samego myślenia. Rzadko i niechętnie oddają ludzie życie za rzeczy istniejące, znane już, dokonane. Natomiast giną z gotowością wielką za rzeczy przyszłe, niespełnione, dalekie. Za rzeczy, których nikt nie zna. Siłą atrakcyjną Polski było jej nieistnienie w płaszczyźnie politycznej. Polska była ideą. Abstrakcją. Mogła wymagać ofiar, tak samo, jak dla swojej idei, dla swojej abstrakcji żądał ich przewrót rosyjski.

Oderwał się od poręczy i wolnym krokiem poszedł w stronę Luwru.

— Jacku! Jacku! — wołała Małgorzata Perault biegnąc za nim. — Tak się pan zamyślił, że wcale mnie nie widzi.

Śmiała się głośno. Małą parasolką wywijała w powietrzu ku niemu. Kilku przechodniów obejrzało się życzliwie. Z uśmiechem współników nie znajdujących nagany.

— Och, — zawołała znowu, chwytając go za ramię — nareszcie dopadłam pana. Jest gorąco.

Stali przed bramą Luwru, witając się serdecznie. Jacek patrzył teraz w jej twarz uśmiechniętą, pogodną. W oczy ciemne, osłonięte cienistymi rzęsami, pełne wyrazu inteligencji żywej i radosnej. Pasma kasztanowatych włosów rozwiało się niesfornie. Wyjęła małe lustro i poprawiała starannie. Na policzkach wystąpiły rumieńce.

— Czy pan wie — mówiła dźwięcznym, metalicznym głosem — że musiałam trzy razy zmieniać autobusy? Bo nie z domu jadę. Byłam na bulwarach. Stryj Klaudiusz mnie posłał. Musiałam zawieźć tam paczkę.

I naraz jednym tchem, jakby nie uznając potrzeby wszelkich przerw i przystanków logicznych:

— Stryj Klaudiusz naprawdę polubił bardzo pana. Chciał, abym przypomniawszy raz jeszcze, że we czwartek przychodzi pan do nas na obiad. Bez smokingu. W kółku rodzinnym. Będą kraby.

Schowała lustro. Zapięła rękawiczki.

— A teraz chodźmy — rzekła. — Rafael wart jest krabów.

Spojrzała nań z żartobliwością uczniaka, udając, że spodziewa się bury, i roześmiała się znowu.

— Ale nie tędy — zawołała, widząc, że Jacek zdąża ku najbliższej bramie. — Przejdziemy pod kolumnadą. Tam jest przejście wolne.

Okrzykli skrzydło pałacu i znaleźli się przed główną fasadą.

— Lubię stąd patrzeć na Luwr — mówiła Małgorzata Perrault. — Jestem wtedy dumna.

Stała na placu z głową podniesioną, płonącymi oczyma wpatrzoną w kolumnadę pałacu, którą wzniosł jej przodek Klaudiusz Perrault, znakomity architekt Ludwika XIV. Znała dokładnie historię powstania tej monumentalnej budowli. Pojedynek artystyczny pomiędzy mało znanym architektem francuskim i największą sławą epoki, rzymskim dyktatorem sztuki, Berninim. Król wybrał projekt Francuza i Włoch urażony odjechał za Alpy. Małgorzata Perrault kochała majestatyczny ład tych kamieni, ich dostojność surową nieco, nieomylną. Była naprawdę z nich dumna.

— Szlachta lubi się chwalić czynami swoich przodków — rzekła odwracając się do Jacka. — Ja chwale się tą kolumnadą. To są moje dowody szlachectwa.

— Dwieście pięćdziesiąt lat piękna, Małgorzato. Tak. To dowody szlachectwa — potwierdził biorąc ją pod rękę.

Weszli w bramę i przez czworokątny podwórzec skierowali się w stronę muzeum. Zegar nad pawilonem króla Franciszka wydzwonił właśnie jedenaście uderzeń. Przed pomnikiem Gambetty stała grupa amerykańskich turystów. Starsze pannie w rogowych okularach garączkowo przeglądały przewodniki. Panowie pałac cygara patrzyli w nieokreślonym kierunku. Chcieli wszystko zobaczyć jak najprędzej i nie wiedzieli, od czego zacząć należy.

— Teraz ja zaprowadzę — mówił Jacek, gdy weszli na schody. — Proszę zamknąć oczy i nie patrzeć. Otworzy je pani dopiero przed najbardziej zdumiewającym zjawiskiem. Nie trzeba się przedtem rozpraszać.

Małgorzata przymknęła oczy posłusznie. Szła przytulona do ramienia Jacka swym krokiem lekkim, radosnym. Przesunęli się przez grupę Bawarczyków, skupioną przed „Źródłem” Ingres’a. W milczeniu minęli Salon Carré. Przez chwilę wzrok Jacka zatrzymał się na głowie św. Anny. Na jej uśmiechu mądrym, dobrotliwym. Przecho-dząc patrzył w ten obraz pełen niewysłowionej słodyczy i przedziwnego umiaru. Ale nie zatrzymał się przecie. Przeszedł tuż przy nim, jak nabożny pielgrzym przechodzi obok oazy. Drzwi Wielkiej Galerii świeciły smugą słońca. Jacek uczynił krok jeszcze i oboje znaleźli się naraz w jasności obfitej i łagodnej.

Stanęli przed „Św. Janem” Leonarda. Z początku wzrok ich uwiązł bezradnie w szerniałej powierzchni obrazu. Nie mogli na razie przeniknąć jego treści. Jakby patrzyli w głąb pieczary ciemnej. W przepaścistość obcą, groźną, niezgłębianą. Potem kontur jakiś zarysował się w mroku. Czoło i ramię wzniesione, jaśniejące. Spostrzegli oczy dziwne, patrzące na nich z ciemności. Spojrzenie badawcze, przyjazne, pytające. Jakby ktoś w głębi dostrzegł ich obecność i zapytywał milcząco, lecz życzliwie, kto oto są i po co tutaj przychodzą?

Dobiegł ich następnie uśmiech zagadkowy. Niepokojący, bolesny zarazem i słodki. Uśmiech, który mówi o męce poszukiwań. O drodze przebytej, dalekiej i nużącej. Zrozumieli, że ten uśmiech pyta o nich samych. O drogę, którą oni przebyli. O ich dojrzałość wewnętrzną, osiągniętą w długotrwałej rozterce. Któż oto jesteście wy sami? Wy, którzy ważycie się zapuszczać wzrok w te głębie? Jakie jest prawo wasze, aby pytać o Prawdę? Cóżście uczynili, aby to prawo uzyskać? Więc uczuli, że wątpią o sobie. Że postąpili jak nurek nieopatrzny, co opuścił się w najgłębszą otchłań oceanu. Tafla zielona zamknęła mu się nad głową i droga powrotna jest dłuższa od najdłuższego żywota. Ale wówczas uśmiech jakby odmienił się nagle. Zajaśniał prostotą mądrą i radosną. Ujrzeni ruch rąk, wybiegający z ciemności, podobny do nieoczekiwanego gestu ratownika. Palce lewej ręki ufnie spoczywające na sercu i prawą dłoń, w górę wzniesioną, wskazującą, krzepiącą, miłosierną. I jak uśmiech pytał ich przed chwilą, tak teraz dłonie dawały im odpowiedź. Nie lękajcie się. Prawda jest w sercu. Ta Sama, która światem rządzi, oświeca i ocala. Przez Nią wyszedł człowiek z nicości swego bytu i przez Nią podążył w światło łaski i zbawienia. Bóg. Miłość. Wieczność.

— Oto — mówił Jacek — prawdopodobnie jedno z dzieł ostatnich, zamykające, streszczające w sobie cały wysiłek geniusza. Synteza ostateczna nie tylko jego sztuki malarskiej, ale przede wszystkim jego dociekań, wahań i końcowego zwycięs-

kiego doznania. Akt wiary, która przeszła przez próbę wielokrotnych załamania, aby odrodzić się w końcu w żarliwości twórczej. Dzieje myśli, zawarte w płaszczyźnie niewielkiego płótna.

— Czemżeż w istocie musiało być życie tego człowieka? Leonardo, nieprawdy syn chłopki, bezdomny, wieczystie samotny. Leonardo, którego Michelet nazywał „włoskim bratem Fausta“. I on niewątpliwie miewał swoje godziny pokusy, kiedy Mefistofel nachylał mu się do ucha. Nie można posiadać bezkarnie umysłu chłonnego jak morze. Nie można obejmować myślą horyzontów niezmiernych, a nie spotkać się nigdy z cieniem Kusiela. Wielkość jest w walce. Leonardo przez walkę osiągnął wielkość swoją.

Ciemne oczy dziewczyny patrzyły uważnie i głęboko.

— Mówią o nim — rzekła — że był magiem właśnie. Że na Wschodzie dostąpił jakichś tajemniczeń. Że pisma jego zawierają wiele myśli rozmyślnie ukrytych. Wiele niezrozumiałych anagramów i symboli.

Lecz Jacek uśmiechnął się na to.

— Leonardo niewątpliwie był magiem — od-rzekł, kładąc jej dłoń na ramieniu — jak magiem jest mędzec każdy, wnikliwy i rzetelny. Nie wszystko chciał rozgłaszać. Ale profesor Bogusławski mówił mi kiedyś, że Maspero również nie wszystko ogłaszał w drukowanym słowie. Są sprawy, których nie podobna pościć inaczej, niż

przez pracę własną. Istnieje Droga Prawdy, którą trzeba przebyć samotnie.

Tuż za nimi przystanęła amerykańska wycieczka. Starsze panie w rogowych okularach i w sportowym obuwiu. Zażywni panowie w jasnych garniturach. Mały *guide* hotelowy prowadził ich pośpiesznie, zbliżała się bowiem pora południowego posiłku. *Guide* zatrzymał się przed Św. Janem Leonarda i monotonnym głosem tłumaczył pochodzenie obrazu.

— Chodźmy — szepnęła Małgorzata Per-
rault. — Magia się skończyła.

II

Pan Cezary Polko wyniosłym ruchem ominął służącą i z przedpokoju skierował się do salonu. Szedł jednak ostrożnie, gdyż przedpokój był słabo oświetlony i z obu stron zapchany warstwami pałt i narzutek. Pan Cezary wiedział, że niezręczność często ośmiesza, i pragnął wejść do salonu z godnością i powagą.

Wszakże w salonie państwa Mickiewiczów było niemniej tłoczno. Pośrodku przy stole okrągłym siedziało kilka osób pijąc herbatę z wielkich staroświeckich filiżanek. Na kanapie przy wejściu siedziały starsze panie. Na prawo w wielkich fotelach gwarzyli głośno panowie. Władysław Mickiewicz zajmował zwykle swe miejsce w głębi salonu, pomiędzy kominkiem a klatką z papugą. W wąskim przejściu znajdowało się jeszcze paru gości o charakterystycznych brodach i fantazyjnych krawatach. Pan Cezary wbrew swoim zwyczajom zawahał się przez chwilę. Po czym chrząknął głośno, uniósł brwi, głowę w tył przechylił i ruszył majestatycznie w stronę kominka.

— *Pardon, pardon* — mówił ciepłym, głębokim swoim głosem, przesuając się zwolna pomię-

dzy rozstawionymi krzesłami.—*Pardon, pardon*—powtarzał swobodnie i dostojnie, widząc, że nikt nie usuwa się z drogi. Zatrzymał się i raz jeszcze chrząknął ostrzegawczo, lecz i to przecie nie odniosło skutku. Wtedy pan Cezary zmierzył owych panów nieprzychylnym okiem i rzekł już po polsku dobitnie i niemal opryskliwie:

— Przepraszam. Panowie pozwolą.

Wówczas tamci po raz pierwszy spojrzeli na niego i bez słowa odsunęli krzesła.

— Pragnąłem złożyć państwu moje uszanowanie — mówił pan Polko, ściskając nareszcie dłoń sędziwego gospodarza. — Jest to niewątpliwie obowiązkiem moralnym każdego Polaka przebywającego w Paryżu. Tym bardziej, gdy się tu przybywa w misji nie oficjalnej wprawdzie, lecz pożytecznej dla państwa. Jest to wtedy obowiązek podwójny.

Władysław Mickiewicz wstał z krzesła. Był ubrany w staromodny żakiet, z którym nie rozstawał się nigdy. Długie siwe włosy i broda siwa, rozwiana okalały twarz jego pokrytą głębokimi bruzdami. Ale w tej twarzy starczej świeciły oczy bystre o żywym, ironicznym nieco spojrzeniu. Oczy, które zbyt wiele widziały. Pomimo różnicy wieku był uderzająco podobny do portretów swego ojca z ostatnich lat paryskich.

— Bardzo mi miło — rzekł obojętnie i grzecznie. — Bardzo miło. Pan daruje...

Patrzył na gościa pytająco i trochę niecierpliwie. Wyraźnie nie wiedział, z kim mówi. Przez

chwilę starał się odszukać tę twarz w archiwach swojej pamięci. Tę twarz obrzękłą, jakby przesyconą godnością własną i utajonym zuchwalstwem. Twarz o rozrośniętych szczękach i zmrużonym oku. O wypukłych liniach czoła i wargach mięsistych, obwisłych.

— Pan daruje — powtórzył — chciałbym przedstawić żonie...

— Jestem Polko. Senator Cezary Polko z zespołu większości rządowej.

Towarzystwo pijące herbatę przy okrągłym stole przerwało właśnie rozmowę. Pani Ludwika Hornowa podniosła jasną głowę. Patrzyła na stojącego obok gospodarza domu, to znów na nieznanego pana w poprawnym wieczorowym stroju. Jej zielonkawę oczy wyrażały zaciekawienie i krztę złośliwości zarazem.

— Kto to jest? — zapytała cicho w stronę Jacka.

Ale Jacek uśmiechnął się tylko. Była cisza w salonie.

— Moja droga — mówił po francusku Władysław Mickiewicz prowadząc gościa w stronę kanapy. — Oto pan Cezary Polko, który nas zechciał odwiedzić. Każ podać herbatę.

Nie z kanapy, ale z przystawionego do niej niewielkiego krzeselka odpowiedział mu głos żony również po francusku. Siedziała dziwnie drobna, zgarbiona, z rękoma bezwładnie opuszczonymi wzdłuż ciała. Od czasu wypadku ze złamaniem ręki nie mogła już odzyskać poprzedniego zdrowia

i pogodnego humoru. Nie przerwała tradycyjnych przyjęć w poniedziałki, lecz chociaż obecna, coraz mniejszy brała w nich udział. Zamieniała po kilka zdań ze znajomymi z lat dawnych. Pytała o żony i dzieci. Po czym znów milkła i wśród ogólnego gwaru pograżała się w jakieś długie rozmyślania.

— Herbaty? — zapytała nie zwracając uwagi na nowego gościa. — Zaraz będzie herbata, Władysławie.

I pochyliwszy głowę zamyśliła się znowu.

Wszedł profesor Bogusławski i rozpoczęły się nowe powitania. Profesor przyszedł bez Hani, gdyż była pora spóźniona. Pani Mickiewiczowa poznała go natychmiast i poczęła wypytywać o wnuczkę. Pamiętała Hanię sprzed lat kilku i w dalszym ciągu uważała ją za dziecko.

— Pamięta pani — zwróciła się do Hornowej — jak Hania lubi osmażane kasztany? zjada je tuzinami. Każę kupić dla niej kasztanów, gdy przyjdzie.

Przymknęła oczy. Stała się jakby jeszcze drobniejsza, bardziej niematerialna i nikła. Bezbarwne, szare usta poruszyły się lekko. Mówiła teraz szeptem zaledwie dosłyszalnym:

— Pamiętam panią Wandę. Tak, tak. Doskonale pamiętam. To była matka Hani. Miała oczy śliczne. Takie dobre.

I naraz, nie wiadomo dlaczego, zwróciła się wprost do siedzącego naprzeciw senatora Polka.

— Pan nie spotykał pani Orsini? — zapytała go głośno.

— Owszem — odparł pan Polko niepewnie. — Tak, tak — dorzucił natychmiast — spotykałem na pewno.

Kiwnęła porozumiewawczo głową. Wychudłe ręce opadły bezwładnie wzdłuż ciała. Zaprzystała szeptać. Popadła w zadumę głęboką.

Wśród chwilowej ciszy słychać było opowiadanie Władysława Mickiewicza od kominka:

— Cesarz był pewien bezwzględного zwycięstwa. Generałowie wmówili weń, że posiada najświetniejszą armię. Leboeuf przysięgał, że armia pruska załamie się od razu. Cesarz patrzył na wszystko oczami generałów. Gambetty nie chciał przyjać. Zarzucał mu brak patriotyzmu i nierozumienie interesów państwowych. Partia dworska nienawidziła Gambetty.

— Kiedy przyszedł Sedan, nikt nie mógł zrozumieć tego, co się stało. Nikt tego nie przewidywał. Nawet opozycja. Ludzie stali całą noc na ulicach Paryża. Patrzyli na Tuilerie. Czekali. Nikt nie groził. Ale rząd pierwszy załamał się moralnie. I wtedy ustrój runął, jak domek z kart. Bez sprzeciwów.

— Proszę pana — odezwał się Jacek Białynia. — Napoleon sam był spiskowcem i rewolucjonistą. Przeszedł przez więzienia. Znał technikę zamachów, gdyż po dwóch nieudanych próbach osiągnął władzę dzięki zamachowi właśnie. Czym więc należy tłumaczyć tę niepojętą bezkrytyczność sądu? To zaufanie naiwne do stworzonego przez siebie régime'u?

Władysław Mickiewicz podniósł siwą głowę. Jego bystre oczy zapaliły się nagle młodzieńczą niemal żywością. Bardziej niż kiedykolwiek był podobny do portretów Adama.

— Los się mści — rzekł zawzięcie i twardo. — Napoleon oszukał społeczeństwo. Sfałszował prawdę. Sfałszował wolę Francji. Oparł się na oficjalnych wynikach plebiscytu, który był dziełem prefektów i policji. Od tej chwili pomiędzy nim a narodem francuskim powstała przepaść kłamstwa. Mógł ufać tylko dworakom i pochlebcom.

Czerwony odbłask kominka oświecił postać starca. Padł na twarz jego, okoloną aureolą rozrzedzonych siwych włosów. Zabarwił zwiędłe policzki.

— Od daty plebiscytu — mówił dalej — upłynęło lat prawie dwadzieścia. Świat się zmienił. Nowa rzeczywistość powstała wraz z nowym pokoleniem. Napoleon-cesarz tej rzeczywistości już nie znał. Był znowu więźniem. Tym razem więźniem własnego swego régime'u. Kamarylli dygnitarzy, których sam stworzył, a którzy go teraz informowali o potrzebach i nastrojach kraju. Informowali fałszywie, gdyż w grę wchodziła, jak zawsze, osobista kariera informatorów. Powtarzam: Napoleon już nie znał rzeczywistości francuskiej. Był oszukiwany. On, który świadomie sfałszował wolę i zawiódł nadzieje narodu. I to jest właśnie owa zemsza losu. Niezlomne prawo złego i dobrego.

— Czy pan nie sądzi — szepnęła w stronę Janka pani Ludwika Hornowa — że tak właśnie o Napoleonie III mógłby mówić Wiktor Hugo?

— Tak mówiłby o nim Adam Mickiewicz, gdyby żył dłużej — odrzekł Jacek.

Siedzieli obok siebie przy okrągłym stole pośrodku salonu. Naprzeciw siedział malarz Zawadziński z żoną. Jego łysa, lekko wydłużona czaszka stanowiła kontrast z rudymi włosami pani Zawadzińskiej. On był milkliwy i stale jakby nieufny. Ona mówiła szybko warszawskim ostrym akcentem. Zbliżył się do nich rzeźbiarz Bałzukiewicz, mały czarny człowieczek o zwichrzonych brodzie i łagodnych oczach. Uczeń Wiwulskiego z okresu prac nad pomnikiem Grunwaldzkim. Nachylił się dyskretnie i tłumaczył coś, czego oni nie mogli zrozumieć. Widać było, że Bałzukiewicz czyni ostateczne wysiłki, aby stać się możliwie zrozumiałym i jasnym. Jego wielkie dłonie przesuwwały się ciężko w powietrzu. Na czole pojawiły się zmarszczki.

— Rozumiecie, kolego — mówił przeciągając z litewską. — Ja nie mogę. To jest nie to, abym nie mógł... ale... no, przecie rozumiecie to sami, że gdybym mógł... ale on właśnie nie rozumie tego. Więc co mam robić, jeżeli on nie rozumie? Czy wy to rozumiecie, kolego?

Naraz ogarnęła go pasja. Zacisnął pięść bohatersko.

— Psiakrew! — zawołał głośno. — Chyba będę walił.

Zawstydził się tych słów i cofnął się za rozstawione fotele. Zmieszany przemykał chyłkiem ku wyjściu. Przez przedpokój ku bocznej jadalni, gdzie

przy stole z dymiącym samowarkiem urzędowała panna Marietta Mickiewiczówna. Tam ochłonął i przysiadłszy do malarza Szpondrowskiego pił trzecią z kolei filiżankę herbaty.

— Teraz — mówił uroczyście senator Cezary Polko — nie ma w Polsce miejsca na walki wewnętrzne. Wszyscy do pracy dla państwa! Socjaliści i endecy podali sobie ręce. Rząd konieczności państwowych pod prezesurą hr. Aleksandra Skrzyńskiego. To zdobycz ogromna! To rękojmia ładu i rozwoju! Uważam, że pan premier jest jedynym w Polsce prawdziwym mężem stanu. Za granicą on jeden reprezentuje Polskę. W Polsce on jeden jest arbitrem pomiędzy lewicą i prawicą. Gdy z nim rozmawiałem przed wyjazdem, wiedząc panowie, co mi pan premier powiedział? „Panie Polko, powiem panu poufnie, gdyby mnie nie było, nie byłoby mego rządu. A cóż by wtedy było, panie Polko?” Odpowiedziałem hrabiemu jednym słowem: „Anarchia”.

Wydał mięsiste wargi i zmrużonym okiem patrzył po obecnych. Ale słowa jego nie sprawiły widocznie pożądanego wrażenia. Słuchacze trwali nieporuszeni jacyś, obojętni. Pan Polko mówił dalej:

— Tak. Powiedziałem „anarchia” i tego słowa nie cofam. Ono jedno określa wewnętrzne położenie kraju. Bo po cóż ukrywać? Jesienią położenie było jak najgorsze. Poprzednie rządy pozostawiły po sobie fatalną wprost spuściznę. Trze-

ba było ratować państwo. Hrabia Skrzyński uczynił to wbrew woli opozycji. Opozycja bowiem pozbawiona jest zmysłu państwowości.

— Jaka opozycja? — zapytał od stołu Jacek Białynia.

— Każda opozycja — z majestatycznym spokojem odpowiedział pan Polko.

Wówczas usta Jacka zadrgały wyraźnie w uśmiechu ironicznym. Nie mógł powstrzymać się dłużej.

— Nawet jeżeli jest to opozycja Marszałka Piłsudskiego? — zapytał wstając z krzesła.

— Nawet — odpowiedział pan Polko dostojnie i wyzywająco. — Nawet, proszę ja pana.

— A czy panu, panie senatorze, nie zdarzyło się kiedykolwiek znajdować w opozycji? — pytał dalej Jacek.

— Nie, łaskawy panie — wycedził tamten przez zęby. — Ja należałem zawsze do większości rządowej. To jest moja zasada.

Wtedy Jacek odsunął krzesło tak mocno, że zabrzękły filiżanki na stole.

— Och, duszno jest w Polsce! — zawołał. — Należałoby wentylatory otworzyć!

I krokiem równym przeszedł do jadalni.

— Haneczka Orsini — mówiła pani Ludwika do pani Mickiewiczowej — to już duża dziewczynka. Ma lat piętnaście. Jest śniada jak prawdziwa Włoszka. Widziałam ją wczoraj w kościele.

Rozmawialiśmy chwilę. Wybiera się do pani. Chce przyjść koniecznie z dziadkiem.

Zamglony wzrok staruszki przesunął się po twarzach obecnych. Suche ręce zaplotły się u kolan. Rzekła cicho:

— Tak. Tak. Niech przyjdzie. Koniecznie niechaj przyjdzie. Chcę ją zobaczyć. Ostatni to już raz.

Potrząsnęła głową, jakby odpędzając natarczywe myśli, i dodała:

— Kiedy poznałam jej matkę, pani Wanda była również dziewczynką. Ale to już dawno. Dawno. Nie byłam wtedy tak stara.

— Pani Orsini była bardzo piękna?

— Była dobra. Bardzo dobra. Miała śliczne oczy.

— Dlaczego wyszła za Włocha? Czy wówczas mieszkała we Włoszech?

— To było w Egipcie. Pojechała z ojcem. Poznała męża w Egipcie.

Zamyśliła się nad czymś i po chwili znowu potrząsnęła głową.

— Przeznaczenie — szepnęła cicho bardzo.

Siedziała nieruchomo na niewielkim krzeselku przy kanapie, dziwnie drobna, nikła, niematerialna już prawie. Spod czarnej koronki wymykały się pasma siwych gładkich włosów. Bezbarwne, szare usta poruszały się od czasu do czasu. Oczy nie patrzyły już nigdzie. Rozmyślała.

— Podczas komuny — słychać było głos Władysława Mickiewicza od kominka — byliśmy w bardzo trudnym położeniu. Część emigracji była życzliwie usposobiona dla ruchu komunistycznego. Niektórzy brali w nim udział wybitny. Jarosław Dąbrowski, który był powstańcem z Wołynia, został naczelnym dowódcą zbrojnych sił komuny. Był odważny. Bił się doskonale przeciwko wojskom rządowym. Niektórzy pokładali w tym jakieś nadzieje. Myśleli, że nowa rewolucja wysunie sprawę polską. Raz przyszedł do mnie jeden emigrant. Starszy już człowiek. Ze szkoły Lelewela. Pyta, co myślę. Odpowiedziałem, że nie spodziewam się wiele. A on mi na to: „Pański ojciec był za rewolucją” powiada. Nie mogłem mu wytłumaczyć różnicy. Dla tego człowieka istniały tylko dwa pojęcia polityczne: rządy i rewolucja. Uważał, że kto nie popiera rewolucji, ten popiera rządy. Był gotów walczyć z regularną armią francuską dlatego tylko, że reprezentowała istniejący porządek rzeczy. Jego wiara w zbawczą wartość rewolucji posiadała charakter mistyczny.

— Gdyby ów emigrant dożył naszych czasów — odezwał się profesor Bogusławski — jestem pewien, że nader szybko zmieniłby swój pogląd.

— Dlaczego?

— Bo w naszej epoce rewolucja zatraciła charakter ideologiczny. Stała się po prostu interesem. Entreprizą. Jeżeli jednostka czy grupa pragnie

osiągnąć władzę, a nie ma widoków osiągnięcia jej w drodze legalnej, inscenizuje wówczas rewolucję. W razie powodzenia „rewolucjoniści” obalają dotychczasowych ministrów i sami zostają ministrami. I wtedy — niemal nazajutrz po dokonanych przewrocie — oświadczają, że cel został osiągnięty. Rezygnują z dalszych konsekwencji. Taka rewolucja technicznie nazywa się rewolucją bez rewolucyjnych konsekwencji. Programowo nie różni się od obalonego przez siebie gabinetu. Polega zaś przede wszystkim na przesunięciach personalnych.

— Tego się nie da powiedzieć o Rosji.

— Tak jest. Tego się nie da powiedzieć o Rosji. Jest to jedyny wypadek rewolucji z konsekwencjami. I dlatego ja, proszę państwa — profesor Bogusławski uśmiechnął się łagodnie — którego trudno doprawdy nazwać bolszewikiem, dlatego ja przecie szanuję rewolucję rosyjską. Ale świat się boi takiej rewolucji *à la russe*. Woli rewolucję *à la portugaise*. Don Pedro obala don Miguela i sam rządzi.

W salonie było duszno. Na wpół ciemno od dymu papierosów i fajek. Stare fotele w stylu Tudor ginęły w mrokach u ściany. Portret Celiny Szymanowskiej w kaszmirowym szalu przy fortepianie, osnuty mgiełką niebieskiego dymu, nabierał cech życia dalekiego wprawdzie, lecz rzeczywistego. Jakby trzy ćwierci wieku dokonały półobrotu do koła własnej osi, pozostawiając tę oto szczelinę. Oko widza sięgało przez nią głęboko w rdzeń wspomnień. W świat zmarły, a przecie obecny

tu i bliski. W ciągłość duchowego istnienia niezachwianą, pewną.

Władysław Mickiewicz wstał z krzesła i oparł się o kominek.

— Mój ojciec — rzekł — wierzył zawsze w zwycięstwo rewolucji. W zwycięstwo odrodzonej ludzkości, którą nazywał czasem „człowiekiem zbiorowym”. W przeciwieństwie do mistyki rosyjskiej, która zło akceptuje, mój ojciec żądał walki ze złem. Żądanie to wypływało z jego wiary w Boga bezkompromisowej, żarliwej. „Dzieckiem Boga — pisał — jest człowiek zbiorowy, ludzkość. Teraz młodzieńcem jest człowiek zbiorowy i pójdzie na walkę ze złem. Ojciec miłujący stanie z tobą, człowiecze, w postaci kolegi, towarzysza broni, owszem luzaka wiernego. Przypasze tobie miecz, konia tobie poda”. Ale rewolucja była dla mego ojca walką o prawdę ducha, o najwyższe dobro moralne społeczeństwa. Nie uznałby nigdy rewolucji, która zamiast idei miałaby za cel faktyczny, choć nie ogłoszony, zmianę garnituru rządzącego. Zapewnienie posad i wpływów. Zadośćuczynienie ambicjom.

Głos jego brzmiał uroczyście i mocno. Siwe włosy rozwiały się nad czołem. Oczy płonęły. Wyprostowany, z głową podniesioną, górował nad półkolem zgromadzonych gości i przyjaciół. W przekonaniu własnym spełniał obowiązek, jaki na nim ciążył. Obowiązek przekazania autentycznej tradycji wielkiego swego ojca. I wśród milczących

słuchaczy słowa jego w ten właśnie sposób zostały zrozumiane. Jakby usłyszeli wśród siebie głos Adama.

Już rozchodzono się zwolna. Pustoszał salon i powstał tłok w przedpokoju. Senator Polko wycofał się jeden z pierwszych. Zrećźnie. Dyskretnie. Nie zwracając niczyjej uwagi. Włożył płaszcz bez pomocy służącej i zaraz był już na schodach. Nie dostrzegł nawet malarzy, którzy wyszli za nim owinieci w fantastyczne narzutki. Wsiadł do najbliższej taksówki i odjechał.

Pani Hornowa wychodząc zajrzała do jadalni. Zobaczyła tam Jacka i podeszła do niego. Siedział na uboczu, nieco zasępiony. Bez słowa usiadła tuż przy nim. On spojrzał na nią i uśmiechnął się, jakby dziękując, że pamiętała i przyszła.

— Dlaczego pan uciekł z salonu? — zapytała przyjaźnie.

— Tam było naprawdę zbyt duszno... jak dla mnie.

Zrozumiała. Pochyliła ku niemu swoją jasną głowę i zapytała znowu, ale tym razem głosem przyciszonym, poufnym:

— Kim jest ten senator Polko? kim on jest naprawdę?

— Nie wiem — odrzekł Jacek Białynia. — Dotychczas nie spotykaliśmy się nigdy.

Zielonkawę czy pani Ludwika spozcęty uważnie na twarzy Jacka.

— Więc tak? od pierwszego spotkania?

Jacek skinął głową.

— Niech pan wstąpi do mnie do pracowni — powiedziała serdecznie i podała rękę.

Po niej wyszli zaraz oboje Zawadzińscy. On milkliwy i nieufny, jak zawsze. Ona mówiąca szybko i dobitnie. Jeszcze z przedpokoju słysząc było jej głos. Nie mogła zapewne odnaleźć swego okrycia. Powtarzała słów kilka ostrym, warszawskim akcentem. Stara służąca dreptała bezradnie. Wreszcie się palto znalazło.

Popijając herbatę malarz Szpondrowski mówił do Bałzukiewicza rzeźbiarza:

— Więc niech mu pan sam to wreszcie powie. Chyba zrozumie. No, i będzie koniec.

Ale Bałzukiewicz targał zwichrzoną czarną brodę.

— Przecie on właśnie nie rozumie tego — powtarzał z rozpaczą w głosie. — On mówi, że nie może zrozumieć. Więc, co ja mogę? czy wy to rozumiecie, kolego?

Szpondrowski przyjrzał się uważnie próżnej filiżance, po czym rzekł z rezygnacją:

— Więc i ja nie mogę zrozumieć. Ha, trudno. Widocznie nikt już nie zrozumie tego.

Jacek wstał i wrócił do salonu, aby się pożegnać. Zastał tam jeszcze kilka obcych osób. Jakaś starsza dama drzemała wygodnie w fotelu. Profesor Bogusławski rozmawiał z gospodarzem.

Przy pani Mickiewiczowej stały niezajęte krzesła. Jacek usiadł i w milczeniu patrzył na staruszkę.

Musiała zapewne poczuć ten wzrok, uniosła bowiem powieki i pytająco spojrzała w jego stronę. Ze zdziwieniem, jakby nie poznając, przyjrzała się Jackowi. Podniosła dłoń i przetarła skronie. Czyniła to bardzo powoli gestem znużonym, niepewnym, jakby nie mogąc się ocknąć.

— Późno już — rzekł Jacek — chciałem się pożegnać.

Milczała chwilę zbierając myśli. Parę razy głową skinęła machinalnie i znów milczała. Od kominika dobiegł głośniejszy urywek rozmowy dwóch starców.

— Myślę — mówił profesor Bogusławski — że jesteśmy w przededniu rozstrzygnięć. Niepodobna trzymać przez czas dłuższy kotła politycznego pod tak silnym ciśnieniem. Skrzyński jest figurą na szachownicy, na której gra kto inny. Wybuch jest nieunikniony.

Naraz pani Mickiewiczowa zwróciła się do Jacka:

— Już pan idzie? — rzekła. — Ja jeszcze muszę tu pozostać.

— Ale już niedługo — dodała w zamyśleniu. — I ja pójdę sobie. I ja pójdę.

Podszedł i pocałował ją w rękę. Pani Mickiewiczowa dzwignęła się nieco i wolną ręką objęła go za głowę. Ręka drżała.

— Niech pana Bóg prowadzi — szepnęła.

— Myślę, że pan ma słuszość, profesorze — mówił tymczasem Władysław Mickiewicz od kominika. — Przeżyłem kilka takich momentów. W roku 1851 w jesieni...

— Idziemy razem, Jacku? — zapytał profesor żegnając się z gospodarzem.

Znalazłszy się na ulicy skręcili na prawo ku rzece. Była to droga dłuższa, lecz znacznie miłsza. Drzewa na wybrzeżu, bezlistne jeszcze, czerniały w nocnej poświacie. W dole, w obramieniu kamiennym płynęła Sekwana leniwym, sennym nurtem. Szkuty spłynęły i powierzchnia rzeki lśniła jednostajnym, metalowym połyskiem. Po stronie przeciwnej wzdłuż wybrzeża Złotników szarzały zwarte mury Pałacu Sprawiedliwości. Na wprost, za mostem wznosiły się wieże katedry. Idąc, nieustannie mieli przed oczyma ich zarys majestatyczny, królewski.

Pomimo ruchu w śródmieściu, nad rzeką było zacisznie, niemal wiejsko. Szli w milczeniu. Wyminał ich furgon, zaprzężony w koniska ogromne i włochate. Jeden z ostatnich konnych furgonów Paryża, zdążający nocą bocznymi ulicami ku Hal-lom. Ciężkie perszerony przebiegały kosmatymi nogami, woźnica gwizdał przeciągle. Czerwone światło latarki zbliżyło się, odbiegło i znikło. Byli znowu sam na sam z pluskającą rzeką. Z nocą ciepłą, już prawie wiosenną.

— Jacku — odezwał się profesor Bogusławski — kto to jest ten senator Polko?

— Drugi raz już dzisiaj słyszę to pytanie — zaśmiał się Jacek — ale doprawdy sam nie wiem. Nie spotykałem go nigdy.

— Przecie z Warszawą rozstałeś się niedawno? musiałeś słyszeć o nim?

— Słyszałem jego nazwisko w związku z jakąś aferą finansową. Nie będę tego powtarzał, gdyż nie pamiętam dokładnie. Zresztą sprawę zatuszowano starannie, wchodziły w grę bowiem i inne nazwiska. Ważniejsze. Ale, jak pan widzi, nie przeszkodziło to panu Polkowi zostać senatorem. A teraz bawi tu podobno w jakiejś misji. Poufnej. Pracuje, jak sam twierdzi, dla potęgi państwa. On właśnie.

— No, do tego, mój drogi, musisz się przyzwyczaić. Będiesz słyszał twierdzenie takie coraz częściej. Dopóki trzeba było żyć dla Polski, mówiono o niej rzadko i ostrożnie. Za rzadko i za ostrożnie. Od czasu, gdy można żyć z Polski, z jej skarbu, urzędów i godności, tysiące ludzi poczuło się gorliwymi państwowcami. Ci nawet, którzy do niedawna woleli stwierdzać swą lojalność w stosunku do państwowości obcej.

Jacek zatrzymał się nagle.

— Ależ to jest podłość! — wykrzyknął.

— Niewątpliwie — potwierdził profesor Bogusławski zatrzymując się również. — Ale taka podłość szerzy się gwałtownie jak epidemiczna choroba, przynosi bowiem natychmiastowe korzyści.

— Z tym trzeba walczyć!

— Tak. Walczyć trzeba. Ale, mój Jacku, walka jest trudna i musi być obliczona na dłuższy okres czasu. Pozory słuszności znajdują się często w ręku zręczniejszych od nas graczy. W ręku Polków. To, co od wieku było najtajniejszą miłością narodu, oni zdyskontują i rzucają na giełdę polityczną. Społeczeństwo usłyszy przez radio wyznanie własnych swych pragnień. Przeczyta w subwencjonowanych dziennikach liryczny wylew nadziei i uniesień. I społeczeństwo utraci orientację. Reszty dokona administracja ogólna.

— Więc to jest szantaż po prostu?

— Gra polityczna, mój Jacku. Fałszywa gra w podpatrzone karty.

Stali oparci o obramienie kamienne. Księżyc wypłynął zza chmur i świecił nad miastem okrągłą, świetną tarczą. Woda Sekwany rozjaśniała się naraz. Nabrała blasków srebrzystych i mieniących. Płynęła z pluskiem wesołym, jakby się spiesząc ku morzu.

— Smutną zapowiada pan przyszłość — rzekł Jacek Białynia patrząc w nurt rzeki.

— Bynajmniej — odparł profesor Bogusławski. — Wierzyłem zawsze i wierzę w przyszłość mego narodu. W jego moc niespożyta, nieustannie odradzająca się, twórczą. Ale najsilniejsze organizmy podlegają wstrząsom i chorobom. Stawiam diagnozę choroby. Oto wszystko.

— Myślę również — dodał po chwili — że w danych okolicznościach choroba jest zjawiskiem

niemal naturalnym. Przejście od stanu niewoli do niezależności państwowej nastąpiło zbyt szybko. W ciągu lat czterech. Nie byliśmy przygotowani. Organizm społeczny nie zdołał przystosować swych funkcji, wdrożonych do działania w odmiennych warunkach politycznych. Musiały wystąpić, że tak powiem, procesy gnilne uboczne. O ograniczonej możliwości oddziaływania. O nieistotnym, lokalnym znaczeniu. Bowiem rdzeń narodu zdrowy jest i silny. Jedno pokolenie wystarczy, aby wyrównać zaległość.

Nasunął kapelusz na czoło i laskę w rękę zacisnął. Jaskrawa smuga światła rozlała się od mostu Św. Michała, do którego zbliżali się właśnie. Zegary miejskie wydzwoniły północ. Na bulwarze było jeszcze rojno.

III

Na pierwszy dźwięk dzwonka Małgorzata Perault była już w drzwiach saloniku.

— Proszę, Jacku, proszę — wołała wesoło, wyciągając rękę. — Stryj Klaudiusz telefonował, że będzie tu za kwadrans. Pan przyszedł o kwadrans za wcześniej.

— O kwadrans za wcześniej? to znaczy? — pytał Jacek zatrzymując jej dłoń.

Zaśmiała się wesoło. Jej piękne, ciemne oczy jaśniały radośnie pod cienistymi rzęsami. Usta drobne, delikatnie wycięte rozchylały się lekko, niby płatki kwiatu. Wsunęła mu rękę pod ramię. Gestem odesłała służącą.

Od wielu lat znał Jacek to mieszkanie przy ulicy d'Assas, tuż obok ulicy Vavin, z oknami wychodzącymi na skraj Luksemburskiego ogrodu. Bywał tu jeszcze za swoich lat studenckich, podczas pierwszego pobytu w Paryżu. Wówczas Małgorzata była małą pensjonarką, wychowanką Sióstr i przychodziła tutaj tylko na niedziele. Czasami przynosiła z sobą swe zeszyty i wtedy pokazywała je Jackowi.

— Pan jest studentem — mówiła. — Pan to musi wiedzieć. Jaki jest kraj na wschód od Berlina? No, tam, gdzie się Niemcy kończą?

— Polska — odpowiadał Jacek.

— Tak. Polska — powtarzała poważnie. — Ja wiem, że to jest Polska. Stryj Klaudiusz to samo mi mówił. Ale nauczyciel chce, aby nazywać to Rosją. Dlaczego?

To znów innym razem:

— Ja jestem Francuzką, a pan, panie Jacku?

— Jestem Polakiem — odpowiadał Jacek.

— Tak. Stryj Klaudiusz mi mówił. Ale ja nie mogę zrozumieć, jaka w tym różnica. Pan kocha Francję?

— Tak, Małgorzato. Polacy kochają Francję.

— To już wiem — ucieszyła się szczerze. — Polska i Francja, to to samo.

Teraz Małgorzata była już dorosłą panną i od lat paru mieszkała ze stryjem, emerytowanym pułkownikiem artylerii. Stryj Klaudiusz był jej najbliższym krewnym i opiekunem. Jej drugi stryj, Piotr, był księdzem. Wykładał socjologię na uniwersytecie katolickim, kierowanym przez znakomitego biskupa Baudrillart. Oprócz tych dwóch stryjów Małgorzata nie miała bliskich krewnych. Jej ojciec zmarł młodo na febrę kolonialną, którą zaraził się na Madagaskarze. Matka po kilku latach wdowieństwa powtórnie wyszła za mąż i niespodzianie umarła przy porodzie. Małgorzatą zajęli się stryjowie.

— Będą oczywiście kraby — mówiła już w saloniku — ale wino wybierze stryj Klaudiusz. On jest nieomylny.

— Piję chętnie, cokolwiek podają.

— Och, Jacku — oburzyła się — tak nie można mówić! Trzeba wybierać. Trzeba koniecznie wybierać. Inaczej nic nie smakuje.

Usiedli obok siebie na małej orzechowej kanapie i Jacek z przyjemnością rozejrzał się wokół. Salonik od lat wielu zachował niezmieniony wygląd. Miał ściany obciągnięte staroświecką tkaniną jedwabną, koloru wody morskiej, ujętą w białe regularne ramy. Meble orzechowe z końca XVIII-go wieku. Autentyczne. O liniach prostych. O czarującej skromności wielkopańskiej. Bez bronzów, gładkie, wygodne. Dywan Aubusson pośrodku pokoju o ciepłych, brzoskwiniowych barwach. Na inkrustowanej komodzie pomiędzy dwoma wazonami perskimi Wielki Kondeusz przez Frémieta. W pełnej zbroi, konno, z laską marszałkowską w ręku. Orli profil wodza. Wspinały koń andaluzyjski.

— Po obiedzie — mówiła tymczasem Małgorzata — ma przyjść mój drugi stryj. Ksiądz Piotr Perrault. Jest to rzadki wypadek. Ksiądz Piotr, jeśli kogo odwiedza, to chyba swoich ubogich na przedmieściu. Znają go w Montrouge i w Malakoff.

Oczy Jacka błędząc zatrzymały się na ścianie przeciwległej. Łagodnie oświetlony „Odjazd na

Cytherę" Watteau nęcił wzrok wdziękiem pół-tonów. Powabem skonkretyzowanego, w kształt zaklętego marzenia. Doskonała kopia z XVIII-go wieku, może nieomal współczesna oryginałowi. Uśmiech minionej epoki przez pół szczęśliwy, przez pół melancholijny. Niezrównanie wykwin-tny. Rzucony lekko, pełen jednak głębszej treści myślowej. Jak cały ten wiek pozornie lekko-myślny, a rozkochany przecie w intelektualnym wysiłku. W doktrynie.

— To jest mój obraz — powiedziała Małgorzata patrząc za Jackiem. — Od dziecka mu się przyglądam. Byłam małą dziewczynką, kiedy tu przychodziłam w niedzielę. Wtedy stawałam przed nim i patrzyłam długo. Starałam się zrozumieć jego treść. Raz opowiedziałam to Siostrom, ale Siostry zganiły. Powiedziały, że nie należy patrzeć. Martwiłam się bardzo. Obraz nie przestał pociągać mnie tajemnie. Uważałam to za grzech. Ale ksiądz Piotr wytłumaczył mi potem, że nie jest to grzechem bynajmniej, gdyż obraz jest piękny prawdziwie. „Piękno każde — powiedział wówczas — o ile jest pięknem prawdziwym, zbliża duszę do Boga. Dlatego wielcy artyści, tak samo prawie jak święci, są Mu najbliżsi. Najwierniejsi zarazem. Kościół katolicki uczy kochać piękno, aby życie doczesne uczynić mniej cielesnym”. Od tej pory bez obaw patrzę na Watteau.

— I cóż tam widać, Małgorzato? — zapytał Jacek przekornie.

Nie zdążyła jednak z odpowiedzią. Drzwi się rozwarły i bezręki pułkownik Klaudiusz Perrault pośpiesznie wszedł do salonu.

Wśród cudzoziemców nie znających Francji, lub ją znających z kilkotygodniowego pobytu w Paryżu czy w Nicei, utarło się przekonanie, że jest to kraj wielkich magazynów, nocnych restauracji i niedwuznacznych lokali rozrywkowych. Turystyka, przynosząc korzyści materialne, przyniosła jednocześnie szkodę moralną: pomniejszyła autorytet Francji. Tysiące drobnych, prostodusznych mieszczan zza Renu, czy nawet zza Atlantyku, podróżowało po Francji wraz z żonami, córkami. Czasem w towarzystwie przygodnych przyjaciółek, to znów ciotek, świekr i teściowych. U siebie w domu byli to zazwyczaj ludzie godni, pracowici, oszczędni, skrupulatni. Raz w życiu postanowili zakosztować innej doli. Poznać czar życia. Zabawić się w Ludwikowskich markizów. Jechali na trzy tygodnie. Na miesiąc. Zabierali w podróż książeczkę czekową oraz Baedekera. Pragnęli olśnić samych siebie. Przekroczyć własną miarę rozrzutności. Raz w życiu. Przez trzy tygodnie czy miesiąc. Potem powrót do rodzinnego miasteczka. Sklep. Interesy. Kółko rodzinne. Nie kończące się opowiadania o odbytej przed laty podróży.

Życie współczesne jest skomplikowane niezmiernie, różnorodnie. Żaden umysł, nawet umysł bezsprzecznie wybitny nie jest w stanie ogarnąć

całokształtu jego przejawów. Życie współczesne dostarcza strawy dla wszystkich. W tym wszakże znaczeniu, że każdy wybiera sam swoją część. Nie wybiera jej jednak dowolnie. Prawo przyczynowości psychologicznej działa tu, jak w każdym zakresie. Ogranicza możliwości wyboru. Sprawia, że każdy otrzymuje to tylko, na co go stać. Bowiem świat jest na miarę człowieka. Na miarę duszy ludzkiej, bez której każda rzeczywistość trwałaby nadal w chaosie. W człowieku świat się objawia. Świat jego. Nie inny.

Jakiegoż dokonują wyboru te rzesze turystów zza Renu i zza Atlantyku? Piją Médoc i chodzą do Casino. Kupują rękawiczki. Zwiedzają nocne lokale. Nazwisko Jana de Chelles jest dla nich całkowicie obce. Nic nie mówiące. Nie istnieje. W lepszym wypadku poszukują śladów pani Dubarry. W gorszym zadowolniają się Dubarry współczesną.

Ale potem jest powrót. Przedsiębiorstwo. Księgi handlowe. Bilans. Kółko rodzinne. Długie wieczory jesienne. Potem są wspomnienia tych trzech tygodni osobliwych, niezapomnianych, jedynych. Nie mogących już nigdy więcej się powtórzyć. Lafayette. Printemps. Casino. Olimpia. Francuzi żądni zysku. (Sosiski z chrzanem kosztowały 48 franków!) Francuzki lubieżne, sprzedajne. Degeneracja rasy. (Mulaci w roli zoferów!) Upadek obyczajów. Wyzysk. Rozpusta.

Jest inna Francja? Jakaż to Francja? Oni tam byli. Całe trzy tygodnie. Widzieli. Oglądali.

Zwiedzali. Przywieźli nawet album z widokami. A przecie nie widzieli „tamtej” innej Francji.

Do „tamtej” Francji trudno jest dotrzeć. Bardzo trudno. Cook nie organizuje do niej wycieczek zbiorowych. Baedeker nie zamieszcza nazw ani adresów. Trzeba samemu tam dotrzeć. Całkowicie samemu. Posiadanie książeczki czekowej nie stanowi tutaj *passe-partout*.

„Tamta” Francja jest w sobie zamknięta, nieufna. Pieniądz cudzoziemców nie imponuje jej. Raczej drażni. „Tamta” Francja jest dumna. Zamiast pytać: „ile masz w kieszeni?” pyta: „kto zasz jestes?” To jest znacznie trudniejsze i częściej... takie krępujące. Jestem Taki Taki. Grosista. Bankier. Przedsiębiorca. Dyplomata. A „tamta” Francja chłodno: „Przepraszam. Jeszcze się nie znamy”. I nie wiadomo jak wejść. Jak mur przekroczyć graniczny.

Cokolwiek piszę, piszę o „tamtej” Francji, która jest Francją Francuzów. Która jest także moją Francją. Przyjaciółką serdeczną i wierną. Francją, do której wszedłem bez dyplomatycznego paszportu i bez książeczki czekowej. Poprzez rytm Ronsarda. Poprzez krąg myśli Montesquieu i Alberta Sorela. Przez uśmiech Watteau. Przez patos Delacroix. Przez twórcze szaleństwo Rodina.

Pułkownik Perrault odłożył widelec i rzekł z żartobliwą powagą:

— Przez długi czas nie mogłem pojąć, dlaczego w czasie wojny Francja miała tak licznych

przyjaciół, Niemcy zaś od razu znalazły się odosobnione. Zrozumiałem to dopiero po wojnie. Dzięki przypadkowi.

Napił się lekkiego mozelskiego wina i dorzucił:

— Pan wie, co powiedział Brillat-Savarin? „Los narodów zależny jest od sposobu, w jaki się odżywiają”. Nie mniej, nie więcej. Ale w Niemczech Brillat-Savarin nie zyskał uznania. Tam woła Kanta.

Znowu napił się wina i jedyną swoją ręką dołożył porcję langusta.

— Otóż w kilka lat po wojnie wypadło mi z Szwajcarii udać się do Monachium. Wybrałem drogę najkrótszą. Przez Zurich, Romanshorn i Lindau. Wczesnym rankiem na statku szwajcarskim przepравиłem się przez piękne jezioro. Po drugiej stronie w Lindau była granica niemiecka. Na statku wypilem tylko kawę. Poczciwą kawę szwajcarską: mleko, chleb, marmolada. W Lindau byłem głodny. Skoro pociąg ruszył, udałem się na śniadanie do wagonu restauracyjnego. Było już południe. Cudowny dzień majowy. Alpy. Zielone potoki górskie. Wagner. Poezja. Panie! to, co mi podano w tym kraju, było haniebne. Zupa przy pełnym słońcu! Wieprzowina, pływająca w sosie! Duszona kapusta! Kawa nędzna! Z mlekiem! Tłuszcz i kłajster z maki! Wtedy zrozumiałem wszystko. Tę głuchą nienawiść wszystkich narodów do Niemiec. Tę ich entuzjastyczną przyjaźń dla nas, dla Francuzów. Jakto? Za własne

pieniądze być tak haniebnie karmionym? Nie, tego nikt nie wybacz. Narody pamiętają o tym.

— Stryju — śmiejąc się rzekła Małgorzata — stryj nie zna kuchni polskiej. Może tam karmią jak w Niemczech wieprzowiną pływającą w sosie?

— Mam lepsze pojęcie o Polakach.

— Ale zupeł — wtrącił Jacek — to jednak u nas podają w południe. Przy pełnym słońcu, jak to pan powiedział.

Pułkownik spojrzał nań ze zdziwieniem.

— I wam to nie szkodzi? — zapytał. — Zupa w południe czyni ociężałym. Nie można potem pracować.

Niewielki stół okrągły oświetlony był parą białych porcelanowych świeczników. Pomiędzy nimi zalotna pasterka niosła nad głową koszyk pełen różowych goździków. Nie Sèvres. Capo di Monte rzadkie i szacowne z epoki rządów Bourbonów w Neapolu. Jacek wiedział, że zarówno świeczniki jak pasterka mają od spodu niebieskie „N” w koronie. Nie „N” napoleonowskie ciężkie i pospolite, jak cały styl cesarskiej soldateski, ale „N” z czasów, kiedy ojczysta wyspa Napoleona nie była jeszcze francuską. Kiedy natomiast kultura francuska sprawowała w Europie hegemonię, jakiej Bonapartemu nigdy nie udało się osiągnąć. Kiedy uczeni i artyści francuscy dokonywali podbojów większych, szlachetniejszych i trwalszych od korsykańskiego „boga Wojny”.

— Małgorzato — zapytał Jacek — jaka jest historia tej porcelany?

— Te świeczniki — odrzekła — nabył mój pradziad po rewolucji lipcowej. Ale piękna pasterka jest darem Marii Józefy, niedoszłej królowej Francji, a córki waszego króla Augusta.

— Matki Ludwika XVI?

— Tak. Tej pocziwej księżniczki polskiej — potwierdził pułkownik Perrault — którą za Delfina Francji wydał jej stryj Maurycy Saski, marszałek Francji, a syn Augusta Mocnego. Trzech jej synów zasiadało kolejno na tronie francuskim. Trzech wnuków waszego Augusta.

— My nie mamy powodów do dumy z tej dynastii. Sasi byli i pozostali nam obcy. Rządzili opierając się na wojsku. Żadna więc duchowa nie wytworzyła się pomiędzy królem i narodem. Istnieją również podstawy, aby ich posądzać o działanie na szkodę Polski. O zdradę.

— Wiem o tym. Dynastją Saską interesowałem się, gdyż mi chodziło o wyjaśnienie niektórych cech charakteru Ludwika XVI. Był apatyczny. Bez temperamentu. Bez wyobraźni. Nie posiadał instynktu władzy, poczucia swej odpowiedzialności dziejowej. To nie są cechy Burbonów. Doszedłem do przekonania, że psychologię Ludwika XVI należy powiązać z jego pochodzeniem matczystym. Przypominał on swego dziadka polskiego króla Augusta. To wszystko tłumaczy. Nawet rewolucję.

Podano kotlecki z jagnięcia soczyste i rumiane. Małgorzata z dymiącej wazki wkładała świeży groszek. Pułkownik badał temperaturę

Chambertin, po czym butelkę na powrót troskliwie serwetą owinął. Było świetne.

— Sądziłem zawsze — ciągnął — że bez znajomości psychologii nie można zrozumieć historii. Wypadki polityczne same przez się nie stanowią określonej wartości. Chodzi przede wszystkim o to, w jaki sposób reaguje na nie jednostka. Szczególniej jednostka rządząca. Człowiek polityczny. A człowiek, każdy człowiek reaguje w zależności od swej postawy duchowej. Czy pan widzi Ludwika XIV tam, w Varennes? Nie. Ludwik XVI był Sasem.

Napił się wina i rzekł:

— Myślę, że gdybyście wy zrobili rewolucję, August III tak właśnie uciekałby z Warszawy.

— Tylko my byśmy go nie łapali po drogach — zaśmiał się Jacek. — Pozwolilibyśmy mu uciec do Drezna. Bez przeszkód.

— Tak. Lecz to dlatego, że August, jak pan powiedział przed chwilą, był dla was obcy. Myślimy w Varennes szukali swego króla. Byliśmy wciąż rojalistami. Król był dla nas Francją.

Pułkownik Perrault jedyną swoją ręką oparł się o stół i zapatrzył się w ciemny kąt jadalni. Lewy rękaw luźno zwisał mu przy ramieniu. Pamiętka ze Chemin des Dames, tej Drogi Pań, która się stała straszliwą Drogą Śmierci. Pusty rękaw i blizna podłużna nad okiem.

Pułkownik nie lubił wspominać tych dziejów. Mówił chętnie o wszystkim, byleby nie o wojnie.

Twierdził, że o bitwach rozprawiają najchętniej ci właśnie, którzy poznali je szczegółowo z gazet. Ci zresztą może najwięcej o tym wiedzą. Dla żołnierza natomiast, dla bezpośredniego uczestnika walki sprawa przedstawia się mniej więcej tak właśnie, jak dla Stendhalowskiego bohatera, który pod Waterloo widział... końskie zady. Reszta jest fantazją, lub przeróbką komunikatów sztabowych. Ale takie opisy najlepiej udają się cywilom.

— Piękna pasterka Marii Józefy — powiedziała Małgorzata krając sery — miała kiedyś swego partnera. Ale pasterz z czasem zaginął.

— Czy z inną damą odpłynął na Cytherę?

— Być może. Dlaczego pan sądzi, że niewierność jest cechą wyłącznie człowieka? Niewiernymi mogą być także przedmioty. W swoisty sposób co prawda.

— Na przykład?

— Na przykład książka, która „niechcący” z ręki mi wypada. Na przykład drobiazg jakiś, który stale ginie. Przerzucam szuflady i nie mogę go znaleźć, choć on się tam przecie znajduje. Na przykład rokokowy pasterz, co się źle prowadzi.

Spojrzała mu w oczy i parsknęła śmiechem.

— Och, niewierność jest wszędzie. Wszędzie! — zawołała.

— Więc i wierność jest wszędzie — odrzekł poważnie. — Niewierność i wierność nie mogą jednak istnieć bez siebie. Jak cień i światło.

Nie odpowiedziała. Ciemne oczy nakryła starymi rękawami. Patrzyła w zielone rozpadliny sera, usiłując krajać równo, bez okruszyn. Potem podsunęła mu talerz.

— Proszę. Roquefort, czy Chester? — zapytała.

Wszakże pułkownik obudził się z zadumy i zapytał również:

— Czy pan jest pewien, że Augusty odeszli z Warszawy? Że na stałe odeszli? Niech mi pan wybaczy mą szczerość, ale z panem właśnie mogę o tym mówić.

Jacek nie rozumiał na razie.

— To dzieje dalekie — rzekł. — Któż teraz myśli o prawach tej dynastii, gdyby nawet te prawa teoretycznie istniały? Ale Sasi byli obieralni. Nie mieli dziedzicznych praw do tronu.

Pułkownik Perrault zaprzeczył ruchem głowy.

— Nie. Nie o to chodzi. Mówię o tendencjach, nie o osobistościach. Sasi mieli swój własny system polityczny. Mieli zręcznych ministrów. Brühl rządził długo w Warszawie. Polska była mu uległa.

Wtedy Jacek zrozumiał.

— Panie pułkowniku — rzekł ostro — Polską muszą rządzić Polacy. Wyłącznie. We wszystkim i bez ograniczeń.

Zamiast urazy na twarzy gospodarza ukazał się uśmiech szczery. Wyciągnął rękę do Jacka.

— Dziękuję. Takiej właśnie chciałem odpowiedzi — rzekł z otwartością żołnierską.

W zielonym saloniku Małgorzata nalewała kawę, gdy w przedpokoju rozległ się dzwonek dwukrotny. Pułkownik wyszedł na spotkanie brata. Młoda panna zbliżyła się do gościa.

— Oto kawa, Jacku — i pochyliwszy się nieco ku niemu:

— Stryj Klaudiusz lubi pana. Nie trzeba brać mu za złe, jeżeli czasem pyta o rzeczy drażliwe. Nie czyni tego bynajmniej w złej intencji.

— Wiem o tym. I wiem również, że z pułkownikiem porozumiemy się zawsze.

Uśmiechnęła się, jak grzeczna dziewczynka:

— A ze mną, Jacku?

Lecz on już nie mógł zdążyć z odpowiedzią. W otwartych drzwiach stali obaj jej stryjowie. Klaudiusz i Piotr. Wojskowy i ksiądz. Obaj równi wzrostem. O rysach ściągłych. O ciemnych, szczerzych oczach. Tylko że twarz księdza była znacznie bledsza, jakby naświetlona odbłaskiem nocy niespanych. Wyciągnął rękę do Jacka. Poglądził bratanicę po głowie. Usiadł w fotelu jak najbliżej kominka. Spod sutanny stopy wysunął i grzał je teraz u ognia. Musiał odbyć zamiejską wycieczkę, gdyż miał przemoczone obuwie i odpryski błota na pończochach.

Małgorzata podeszła z filiżanką kawy, lecz on odsunął ją lekko.

— Nie. Napiję się raczej wina. Przemarzłem.

Wyglądał istotnie zmęczenie, ale ciemne oczy świeciły jasnym blaskiem. Gorączka myśli tliła

w tym spojrzeniu. Pożar dociekań i nagły promień odkrywczy.

— To nie jest prawdą — wybuchnął zwracając się do brata — iż w fabryce kotłów Michelson i Ska robotnicy dokonali gwałtu. Ja tam byłem. W Montrouge. Zawinił przedsiębiorca.

Mówił krótkimi, urywanymi zdaniami. Słowa wypadały mu z krtani, jak pociski. Rozpalone, nabrzmiałe mocą przekonania. Zwrócił się do Jacka:

— Dziś po południu czytał pan w prasie opis tych wypadków. Prasa podała fałszywie. Na podstawie komunikatu policji. Zniekształcono fakty.

Poczem znów do brata:

— Jutro będę w prefekturze. Złożę zeznania. To są ludzie niewinni.

Napił się naprędce zażranego wina i mówił dalej urywanie i szybko:

— W południe tam byłem. Widziałem. Rozmawiałem z ludźmi. Żądali usunięcia dozorczy, który zbił pewną dziewczynę. Mieli z nim dawno na pieńku. Nie chcieli. Porzucili pracę. Przedsiębiorca mógł nie wypłacić zarobków, ale on wezwał policję. Wówczas zakrzyknęli dopiero. Ktoś rzucił kamieniem. Kto? Wepchnięto ich gwałtem w podwórze. Bito. Bito gumowymi pałkami. Za co? Że się ujeli, że nie chcieli pozwolić na bicie tamtej dziewczyny? Sami byli bici. Przez policję.

Suche, krzepkie ręce zacisnęły się kurczowo na poręczach fotela. W bladej, przezroczystej twa-

rzy płonęły źrenice rozszerzone i gniewne. Pochwycił pułkownika za rękaw. Za rękaw pusty, zwieszający się luźno, niby płachta.

— Ty ich znasz, Klaudiuszu? Widziałeś ich na wojnie. Szli. Nie żalowali swojej krwi dla Francji. Te same gazety zamieszczały wówczas płomienne artykuły. Za wolność! Za ojczyznę! Na front! Nazywano ich bohaterami. Posyłano do koszar paczki tytoniu, tabliczki czekolady. Chrzęśniacy! Dziś dla tych samych ludzi istnieje pałka gumowa. Spłata długu! Wdzięczność ocalonej ojczyzny!

Zerwał się z fotela. Przebiegł kilka kroków, aby się zatrzymać znowu u kominka. Patrzył w ogień płonący.

— Poganie! Poganie! — powtarzał uporczywie. — Żadne społeczeństwo nie było równie bez serca. Bardziej obce nauce Chrystusa. Mniej miłosierne.

— Kto to jest ten Michelson? — zagadnął pułkownik półgłosem.

— Nie wiem. Ale to nie Francuz. Niemiec? Żyd? Amerykanin? Kapitał międzynarodowy? Bezimienna spółka akcyjna?

— A policja? — pytał dalej oficer. — Czy też cudzoziemcy, lub żydzi?

Ksiądz ze zdumieniem spojrzał na brata.

— Oczywiście Francuzi — odparł. — Tak samo jak robotnicy. Lud paryski. Może sąsiedzi lub krewni. Może bracia tamtych robotników.

— Tak. Niewątpliwie masz słuszość. Oto wszystko, co stwierdzić chciałem — powiedział pułkownik równym, chłodnym głosem.

Zrozumieli. I ksiądz, i Małgorzata, i Jacek. Wszyscy troje. Jednocześnie, jasno, wyraziście. Zrozumieli, co przez to chciał powiedzieć. Że istnieje oto potęga nieznana, obojętna z imienia, ukryta za szyldem nic nie znaczącego nazwiska. Potęga, rzucająca Francuzów na Francuzów, sąsiadów na sąsiadów, krewniaków na krewniaków. Rozszczepiająca ten sam naród, tę samą klasę społeczną. Niszcząca więzy zwyczajowe, moralne, religijne. Przetwarzająca zatargi w konflikty długotrwałe. Zasiewająca nienawiść. Spychająca człowieka w odmet ślepej, nieustannej walki. Przygotowująca przewrót, ogólną katastrofę. Potęgą pieniądza, który stał się bóstwem i tyranem. Pożercą człowieka, jego praw i woli. Żywiołem niszczycielskim, nieokiełznanym, okrutnym. Klęską.

— Jesteśmy niewolnikami — mówił ksiądz Perrault, zasiadłszy z powrotem w fotelu. — Jesteśmy niewolnikami w tym samym właśnie znaczeniu, w jakim były nimi ofiary legalnej instytucji niewolnictwa u schyłku cesarstwa rzymskiego. Niewolnikami pieniądza. Niewolnikami ustroju, który powstał stopniowo w myśl żądań tego tyrana. Zaprzedaliśmy się sami, jak to wówczas czynili zrujnowani lub niezdolni do pracy klienci. Utraciliśmy dobrowolnie własną osobowość.

Przestaliśmy niemal być ludźmi, aby stać się przedmiotami, którymi właściciel zarządza według woli.

Zapatrzył się w płomień jasny, migotliwy. W tajemnicę ognia niezrozumiałą, najgłębszą. Żółte smugi wystrzelały radośnie z czerwonej wnęki komina. Rozpinały się świetnym wachlarzem tuż u skraju. Czasem biegly aż do nóg człowieka, przyjazne, zapobiegliwe i ufne. To znowu odwracały się nagle. Pierzchały. Przygasały i nikły.

— Cóż uczynimy? — mówił ksiądz tymczasem. — Zło jest jako mara nocna: na pierś przypadło i dławi. Dzisiaj w Montrouge, ale jutro w Lyon i Belfort. Pojutrze w Niemczech i w Ameryce. To samo. To samo wszędzie, gdziekolwiek spojrzą oczy. Materia zawładnęła człowiekiem i człowiek służy materii. Najokrutniejsze to zaiste niewolnictwo i poniżające najbardziej.

Z bocznej kieszeni wyjął książeczkę niewielką. Przerzucił szereg stronic. Nachylił się i czytał:

„Kamienie zaś białe i okrągłe, i nie przystające do budowy jakież mają znaczenie, o Pani? W odpowiedzi odezwała się do mnie: Jak długo jeszcze będziesz niemądry i tępy i o wszystko się pytał i nic nie rozumiał? To ci, którzy wprowadzie mają wiarę, ale mają również bogactwa tego świata. Gdy nastaje ucisk, tedy oni dla bogactwa i dla swych interesów zapierają się Pana swego. Odpowiedziałem jej,

mówiąc: O Pani, a kiedy ich można będzie użyć do budowy? Wtenczas odrzekła: Gdy odpadnie od nich bogactwo, które ich dusze uwodzi. Wtenczas ich będzie można użyć dla Boga. Albowiem, jak kamień okrągły, jeśli się go nie ociosa i części jego niektórych nie usunie, nie może się stać czworobocznym, tak samo bogactwo tego świata, jeśli nie odpadnie od nich bogactwo, nie mogą się stać pożyteczni dla Boga“^{*)}).

— To były ideały społeczne pierwszych chrześcijan — rzekł Jacek. — Czy ksiądz sądzi, że dziś po wiekach kilkunastu nawrót do nich byłby w praktyce możliwy?

Ksiądz Piotr powoli złożył swą książeczkę i z powrotem ukrył ją w kieszeni.

— Czy pan, panie dyplomato — zagadnął go nawzajem — widzi gdziekolwiek inne ideały, bardziej zalecenia godne? Proszę być szczerzy.

— Przyznaję, że nie widzę.

— Cóż by pan zatem powiedział o lekarzu — pytał ksiądz dalej — który znając jeden tylko środek leczniczy nie zastosowałby go jednak z obawy, że środek ten już przestarzałym być może? Że już nie współczesny? Starej marki?

— Nie kwestionuję wartości moralnej. Mówię wyłącznie o zastosowaniu praktycznym w określonych warunkach. W danym wypadku chodzi mi

^{*)} „Pasterz“ Hermasa, brata papieża Piusa I (II wiek po Chrystusie). Tłumaczenie biskupa A. Lisieckiego.

o działanie, nie o zasady. Zasady mogą mieć własny swój walor.

Ksiądz Piotr powstał z fotela.

— Dla mnie — rzekł — nie ma rozdziału pomiędzy zasadą i jej działaniem. Cokolwiek uznaję za słuszne, usiłuję spełnić w miarę sił moich, aby wykonać, co św. Klemens zalecił: „Mądry niech okazuje swą mądrość nie w słowach, lecz w dobrych uczynkach”. Bronię tego, w co uwierzyłem, tak jak brat mój, pułkownik, bronił swego sztandaru. Czynem. Oto wszystko.

I wyciągnąwszy ręce zęgnął się ze wszystkimi serdecznie.

IV

Jacek odłożył dzienniki i patrzył w okno przed siebie. Z sąsiedniego pokoju słychać było miarowy stukot maszyny i głos Romana Mikulicza, attaché ambasady, dyktującego właśnie jakiś raport. Za oknem na gałęziach cedru ćwierkały ptaki radośnie. Po chwili maszyna zamilkła i Mikulicz, utykając na nogę, wszedł do pokoju Jacka.

— Słuchaj — rzekł monotonnym swym głosem. — Zapomniałem ci powiedzieć. Mielśmy tu wczoraj wizytę.

Usiadł na kanapce. Zapalił papierosa i dodał:

— Zdaje się również, że była mowa o tobie.

Mówił wolno, nie śpiesząc. Z rozmysłem i rzeczowo. Jego blada, znużona twarz tkwiła nieruchomo nad fałdami ciemnego, zbyt obszernego ubrania. Lewą, krótszą nogę unosił pieczęlowicie, jakby w trosce starannej, podświadomej. Siedząc rozcierał sobie gołeń.

— No, więc cóż? — zapytał Jacek nie odwracając się prawie. — Któż to był w ambasadzie?

Ale Mikulicz zaciągnął się dymem i nie odpowiedział od razu. Namyslał się zapewne.

Zza ściany dobiegł znów stukot maszyny i inny głos, dyktujący jakiś inny raport. Ptactwo na gałęzi cedru ćwierkało coraz głośniej.

— Przepraszam — odezwał się wreszcie Mikulicz. — Nie bierz mi za złe, Jacku. Chciałbym cię ostrzec po prostu.

Wtedy Jacek obrócił się nagle wraz z krzesłem.

— Ostrzec? Cóż to znaczy? — zapytał.

— Wczoraj był w ambasadzie senator Cezary Polko — odpowiedział tamten znacząco i umilkł zaciągając się dymem.

— Senator Polko?

— Tak. Senator Polko z zespołu większości rządowej, jak sam to wyraźnie zaznacza. On ma tu jakąś misję, czy też interesy.

— Misja i interesy, to przecie nie jest to samo.

Mikulicz ponownie roztarł sobie gołęń.

— Zapewne — rzekł obojętnie. — Ale granica pomiędzy nimi jest dość nieuchwytna. Ludzie chętnie swe interesy uważają właśnie za misję. Nie o to zresztą chodzi.

Wyciągnął chorą nogę i nie wstając z kanapy ułożył ją obok na krześle.

— Polko mówił z ambasadorem o tobie.

Jacek gwałtownie wstał z krzesła.

— Nie rozumiem — zawołał. — Przecie się prawie nie znamy.

— Cóż z tego? On ma jakieś informacje o tobie, czy też po prostu własną swą opinię. Dość,

że poufnie wyraził swoje zdanie. Przestrzegł podobno.

— Przestrzegł? Ambasadora?

Mikulicz popatrzył przez okno i rzekł tym samym monotonnym głosem:

— No, tak. Że podobno jesteś piłsudczykiem.

Jacek usiadł z powrotem. Był już całkowicie spokojny.

— Słuchaj, Roman — zapytał — skąd jest ta wiadomość?

Mikulicz machinalnie sięgnął do kieszeni. Wydobył papierosnicę. Ostrożnie wyjął z niej nowego papierosa i zapalił.

— Celina — rzekł, zaciągając się obficie.

Do pokoju wszedł woźny i podał teczkę zamkniętą. Jacek otworzył, wyjął akta. Patrzył na żółte, grubo wypchane koszulki. Przerzucał w milczeniu ich zawartość.

— No, tak — odezwał się wreszcie. — W takim razie informacja jest dobra.

— Nawet na pewno jest dobra — potwierdził Mikulicz. — Nawet na pewno.

Patrzyli obaj przez okno w błękitny, wiosenny szmat nieba. W odbłask Sekwany zawieszony na drzewach nadbrzeżnych poczynających właśnie się rozwijać. Obłok różowy nawinął się zniecka. Płynął od Inwalidów jak statek żaglowy, płochliwy. Odbił się w wodzie. Załopotał drobniutko i przepłynął.

— Przestrzegaj ambasadora — powtórzył Jacek Białynia — że podobno jestem piłsudczy-

kiem? No, a gdybym był nim w istocie? No, to co, Romanie?

Mikulicz powrócił na kanapkę. Ułożył nogę na krześle i rzekł obojętnie:

— No, to byłaby rzecz niepotrzebna. Przy najmniej niepotrzebna dla ciebie. Piłsudski jest w opozycji. Z tym się musisz liczyć.

— Dlaczego?

— Bo istnieje okólnik, podpisany przez ministra Romana Dmowskiego, nakazujący pod rygorem apolityczność urzędników. W praktyce ten okólnik jest oczywiście zakazem sympatyzowania z opozycją, gdyż żaden rząd nie tępił dotąd własnych zwolenników, choćby najgorliwszych.

— A gdybym nie był jednak zwolennikiem rządu?

Mikulicz w dalszym ciągu rozcierał chorą nogę. Był niewzruszony.

— W takim razie — rzekł z odcieniem przykrości i znużenia w głosie — nie mógłbyś być urzędnikiem. Musiałbyś dla dobra służby zostać zastąpiony przez innych.

Jacek roześmiał się głośno.

— Słuchaj, Roman, paradoks staje się żartem. Czy wyobrażasz sobie, jak kosztowną musiałyby być taka zasada? I jeszcze coś. Coś ważniejszego od kosztów. W razie zmiany rządu musiałyby się zmieniać cały aparat państwowy. Żadnej stałości. Żadnej ciągłości. Żadnej tradycji państwowej. System elekcyjny. Periodyczna nieuchronna anarchia. Jak w dawnej Rzeczypospolitej szlacheckiej.

Jak dziś w Meksyku i w Boliwii. Kontredans od góry do dołu. Co lat kilka.

Ale Roman Mikulicz tym razem wydał usta i rzekł cedząc słowa:

— Przesadzasz. Przesadzasz, mój drogi. Dlaczego zaraz kontredans? Dlaczego ta periodyczna anarchia? W rzeczywistości to nie jest tak ogólne. Odchodzą zazwyczaj nieliczni. Ci, co się nie chcą nawrócić. Większość odbywa ewolucję, powiedzmy, w przyspieszonym tempie. Ciągłość, tradycja biurokratyczna czy, jeśli wolisz, państwowa zostaje ocalona. Przez nich. Przez tych, co potrafili pozostać. Co, zamiast odejść, w czas przypomnieli sobie okólnik, zakazujący sympatyzowania z opozycją. Oni pracują dla państwa. Oni wytwarzają tradycję. To nie jest Meksyk, ani Boliwia. Nie, to jest Polska po prostu.

Był dwór, jak grzyb stary, rozplaszczony, rozmiękły. Wrosły w ziemię tuzinem kolejnych przybudówek. Wtulony pod drzewa stuletnie. Przed nim, tuż przed wrotami — cerkiewka białozielona, dawniej unicka, potem prawosławna. Chaty malowane rozsiadły się wokoło, młodsze, jędrniejsze, bardziej zwarte w sobie. Ale dwór trwał nadal, powagą lat zasobny, jak dziad ogromny, wsparty na kosturach. Pamiętał może czasy Chmielnickiego. Ów cyklon straszliwy, co zerwał się znad Dniepru, by zamienić Ukrainę w pustynię. Pamiętał z pewnością czasy hajdamackie. Potworne rzezie. Masowy krwawy obłęd. Ziemie

te bowiem nie znały ciągłości rozwoju i każdy wiek przynosił nową żywiołową klęskę.

Biegły pokoje dworu nieregularnym następstwem. Mniejsze i większe, podłużne, czworoboczne. Nierówne wymiarem, na niejednostajnym poziomie. Do przybudówek wchodziło się po stopniach, gdyż poziom części środkowej osiadł był najbardziej. Salon główny, rozległy i płaski, wpie-rał się oszklonymi drzwiami w stary, cichy ogród. Stanowił on rdzeń budowli, jej część niewątpliwie najstarszą: dawne sienie. Tu przed wiekami musiała wisieć na ścianach rodowa broń Białyniów. Tu gromadziły się kolejno pokolenia, aby w wieczór zimowy gwarzyć bez końca o zasiewach i zbiorach. Tu może dopadł ich nocą Krzywonoś, watażka ukraiński, i ścinał w pień wraz z dziećmi i czeladzią. Krzywe ściany widziały tak wiele. Nie raczyły tylko zdradzać swych tajemnic.

Ale przyszedł wiek dziewiętnasty i dawne sienie skwapliwie przekształcono. Miał swe salony Czernichów Niemiryczów. Miał je kasztelan Bierzynski w Ksawerowie. I w Siole Białyniów zbudowano salon. Jeno przezornie. Zgodnie z odwieczną tradycją tego rodu. Zamiast dwór burzyć, a wznosić nowy pałac, rozebrano jedynie jakieś wewnętrzne przegródki. Znikły alkierze i schowki. Sypialnie przerzucono do świeżych przybudówek. Środkiem dworu powstał salon ogromny, zdolny zmieścić w sobie wszystkie trzy francuskie salony kasztelana. To był system Białyniów: oszczędnie a dostatnio. Nie przed innymi, lecz przecie nie na

końcu. Kiedy panowie Lacczańscy, ich krewniacy, szwendali się po Europie od Gdańska do Madrytu, Białyniowie kupą obsiadali Wołyń. Pełnili urzędy ziemskie, zaszczytne i spokojne. Nabywali folwarki. Swatali synów, wydawali córki. Pod wiosnę wzywali rządców na narady. Pod jesień doglądali młócki osobiście. Sioło było już tylko centralą głównego zarządu ich majątków. Siedzibą patriarchalną, dostojną w swej prostocie. Ogromny salon, wparty w ogród oszklonymi drzwiami, gromadził, jak dawne sienie, z których niegdyś powstał, ten klan mężczyzn roślących, pewnych godności własnej i znaczenia. Opanowanych, przezornych, nieustępliwych. Wrosłych w ziemię, jak kamień omszały.

Wszystko tu było ustalone od dawien i na zawsze. Czas siewów wiosennych i czas zbiorowych posiłków. Nie wolno było zaniedbać pory orki, ani się spóźnić z dymiącą wagą krupniku. Wszystko szło trybem niezmiennym, powszechnie wiadomym, jak zegar gdański w bielonej wapnem jadalni. Mijały lata i pokolenia, ale tryb spraw domowych nie odmieniał się wcale. Trwał w skostniałości jakiejs heroicznej, jakby stanowił ukrytą oś wszystkich tych istnień. I nigdy nikt nie starał się wyłamać spod tych reguł. Spod tyranii zwyczaju, który był zwyczajem Białyniów. Zwyczaj ten bowiem odpowiadał psychologicznym właściwościom rasy, wśród której powstał i utrzymywał się, jak kłoda drewna na stojącej wodzie. Był treścią tej rasy, jej mocą i samoobroną zarazem.

Ale w Jacku — po matce — płynęła już krew inna. Burzliwa krew panów Lacczańskich, którzy niegdyś tańczyli w Tuileriach i bili się w Hiszpanii. Ta krew nie podlegała asymilacji łatwej i pośpiesznej, jak krew tyłu innych panien szlacheckich, z którymi Białyniowie kojarzyli swe małżeństwa. Była to krew nazbyt stara, o własnej, od wieków ustalonej rasie. Zjawisko to samo, co u Białyniów, ale o odmiennych cechach formacji. Krystalizacja odrębna, tworząca wartość odrębną.

Jackowi od dziecka ciążył spokój Sioła. Ład rzeczy każdej, nieomylna mądrość zwyczaju. Od kiedy mógł myśleć świadomie, myślał już tylko protestem. Był rewolucjonistą, zanim się dowiedział, czym jest rewolucja. Miał ją we krwi. We krwi Lacczańskich, którzy w XVI wieku jeździli pilnie na Zachód po intelektualne nowinki. Którzy w XVIII byli apostołami „oświecenia“, a w XIX wierzyli w liberalizm. Szli zawsze w pierwszym szeregu swej epoki, dzielając jej błędy, lecz także i jej wielkość każdą. Ponosił ich temperament ich rasy. Zapalała cudowna wyobraźnia. Trawił głód umysłu nienasyconiem upartym, rzeczywistym. Była to rasa niewątpliwie twórcza, niezdolna jednak planowo się wyładować. Zbliżała się wielokrotnie do kręgu urzeczywistnień niezwykłych i nie mogła go przecie przekroczyć. Rasa stara o świeżości sił niespożytej. Wpatrzona w jutro, wzdgardliwa dla rzeczywistości współczesnej.

Andrzej Lacczański był jednym z najbliższych towarzyszy Karola XII. Sam młody, o parę lat zaledwie starszy od króla, wywierał wpływ ogromny na fantastycznego młodzika. W radzie ścierał się nieustannie ze Stanisławem Poniatowskim. Rywalizował z nim jawnie. Grał grę, w której stawką były losy Europy. Wpływ Poniatowskiego zwyciężył i Karol XII ruszył pod Połtawę, aby się znaleźć w Benderach. Wtedy Lacczański z tychże Bender przedarł się przez Turcję do Francji. Do Wersalu.

Dwieście lat dzieliło Jacka od jego przodka Andrzeja Lacczańskiego. Dwieście lat, które w heraldyce grają znaczną rolę, ale o wiele skromniejszą — w biologii. Przerzutem nagłym fizjologiczne tworzywo Jacka zbliżyło się dziwnie do tamtego tworzywa sprzed siedmiu, czy ośmiu pokoleń. Był doń podobny, jak wnuk do dziadka z macierzystej linii. Nie rozumiał właśnie Białyniów.

Kiedy rankiem w biało-zielonej cerkiewce dzwoniło na „obiednię“, głos dzwonów wyraźnie dobiegał pokoi sypialnych. Budząc się słyszał Jacek ten rytm głęboki, poważny, przerywany od czasu do czasu łomotem drobnych dzwoneczków. Było to dla Sioła zjawisko naturalne, odwieczne. Cerkiew istniała tak dawno, jak i dwór. Współżyła z nim w zgodzie sąsiedzkiej.

Wśród służby dworskiej, pośród rzeszy wiejskiej mieszały się nieustannie oba języki, splecione

z sobą tysiącem pośrednich wyrażań i wyrazów. Poza samym dworem nie wiadomo wprost było, kto tu mówi po polsku, kto po rusku. Zaczynano nieraz w jednym i niespodzianie przechodzono do drugiego języka. Bez oczywistego powodu. „Bo tak się język powinien”. Zresztą nie mogło to mieć żadnego praktycznego znaczenia, gdyż wszyscy rozumieli oba języki, a nie obchodziło nikogo, kto chętniej mówił „z polska”, albo „po prostemu”.

Nie wyznanie, nie mowa dzieliły owych ludzi. Istotą różnic była ilość morgów. Sprawą zasadniczą, rozstrzygającą o przynależności kastowej. Nie tylko w Siole. Wszędzie. Po niezliczonych wioskach i folwarkach. Po pałacach, po dworach i po chatach. Materialistyczny punkt widzenia, przyjęty przez „góre” i przenikający stopniowo ku owym „dołom”, które następnie miały go na swój użytek obrócić. Zamiast solidaryzmu warstwy rolniczej, głębokie jej zróżniczkowanie wewnętrzne w zależności od posiadanego obszaru.

Jacek nader wcześniej dostrzegł tę „rzeczywistą” rzeczywistość kraju. Poprzez konwenans sielanki. Poprzez obyczaj „dożynek” i „weseli”. Z niepokojem wpatrywał się w skrytość duszy chłopskiej, urzeczonej fantasmagorią ziemi bliskiej, po stokroć znajomej, a przecie niedostępnej. Ślepym pożądanym „morgów” tak częstym zresztą i pośród warstwy ziemiańskiej. Tylko że masy chłopskie, szare i rozlazłe posiadały naturalną przewagę liczebności i głodu. Straszliwą siłę ludzi, którzy nie mają nic lub prawie nic do stracenia,

a wygrać mogą niemal wszechświat cały. Z każdym rokiem napór tych mas wzrastał i potężniał. Cóż można mu było przeciwstawić?

Przeciwstawiano konserwatyzm naiwny i lękliwy, polegający na sojuszu z administracją, policją i wojskiem. Na deklaracjach lojalności wobec rządu, który w zamian miał chronić stan obszarów. Działacze ziemiańscy wyjeżdżali do stolicy, aby tam wyjednać jakieś zapewnienia. Uważano za zdobycz byle okrucich łaski. Rozczulano się. Wiązano los własny i los następnych pokoleń z regimem istniejącym w danej chwili. Nieopatrznie! Jacek czuł się, jak człowiek, który wszedł na pokrywę lodową, pękającą, topniejącą, mogącą lada chwila załamać się ostatecznie.

— Ideologia konserwatywna — mówił z porywczością właściwą nie Białyniom, ale chyba panom Lacczańskim — nie jest ideologią. Jest głupstwem. Wytwarzanie rozbieżności pomiędzy stanem prawnym a faktycznym rozwojem stosunków jest niebezpieczne dla tych przede wszystkim, którzy stanowią klasę rządzącą. Stwarza ono warunki sprzyjające rewolucji. Za każdą rewolucję płacić trzeba. Płacą oczywiście nie ci, którzy nic nie posiadają. Za rewolucję płacą posiadacze.

— Jesteśmy nazbyt słabi — odpowiadano mu wówczas z namaszczeniem i powagą. — Jesteśmy jednostkami zaledwie. Folwarki nasze otacza morze chłopskie. Grozi nam zalew. Możemy się utrzymać jedynie przy poparciu rządu. Mniejsza o to, jaki to jest rząd. Czyj i który. Każdy rząd

rozporządza wojskiem i policją. Jest siłą. My potrzebujemy tej siły. Musimy ją dla siebie pozyskać. Wykorzystać. Konserwatyzm jest sztuką pozyskiwania siły. Choćby obcej.

Odpowiadano mu szczerze, bez osłonek, bowiem przynależność kastowa Jacka Białyni nie mogła budzić żadnych wątpliwości. Z racji pochodzenia i stanu zamożności należał do tej samej gromady. Do tego samego szczepu. Był swój, jak jest swoim dzieciół między dzieciółami. O tym, aby mógł on ulec jakimś odchyleniom, nie myślano nigdy poważnie. Zbyt dobrze tu znano Białyniów. Ich trzeźwość, umiarkowanie, zalety gospodarskie i domowe. Wiedzano co prawda o fantazjach panów Lacczańskich, ale uważano je właśnie za „pańskie” fantazje. To był ród znakomity, choć podupadły obecnie. Ludzie tego typu mogli się bawić w liberalizm i w demokrację. Niegdyś z Karolem XII, a teraz z francuską republiką. Nie lękano się, aby z tej krwi miał się zrodzić markiz Mirabeau. Historii Lenina nie znano wtedy jeszcze.

— Co to jest siła? — zapytywał Jacek czasami. — Co to jest siła istotna? Gdzie ona leży i czym jest uwarunkowana? Czy siłą jest przymoc? Czy siłą jest bierność przeciwnika? Co to znaczy: pozyskiwanie siły? Dla słabości?

I wtedy dokoła siebie słyszał te same niemal wyrazy, którymi zbył go teraz Roman Mikulicz, attaché Ambasady. „Przesadzasz, przesadzasz, mówiono. Masz w sobie skłonność do abstrakcyjnego rozumowania, a polityka wszak nie jest ab-

strakcją. W rzeczywistości rzecz się ma odmiennie. Siłą w polityce jest to, co w danej chwili powszechnie uchodzi za siłę. Fetysz. Pozór siły. My sami nie łudzimy się zbyt, ale dyskontujemy złudzenia przeciwników. Dopóki tamci wierzą, trwamy przy fetyszu chwili. Robimy mu rozgłos, owacje. Po cichu, między sobą, na ucho powtarzamy o nim drastyczne anegdotki, ale publicznie go czcimy. Gdyby wszelako on zawiódł, zastąpimy go innym fetyszem. Przerzucimy się nawet do ich własnego obozu, aby tam znaleźć to, co dla nas jest niezbędne. Z namiotu przeciwnika potrafimy wykraść bożki. Jego własne. Fetysza zastąpimy fetyszem. Coraz innym.”

Wychodząc z biura Jacek raz jeszcze spotkał się z Mikuliczem. Zeszli w milczeniu wąskimi, wewnętrzными schodami i po chwili byli nad Sekwana. Dzień dogasał. Kopuła Inwalidów gorzała w blaskach zachodu, ale na rzekę przypadł już cień fioletowy, głęboki. Cedr przed Ambasadą stał się niemal czarny i cały gmach robił wrażenie zasępiętego protestanckiego pastora.

Szli wolno, gdyż Mikulicz utykał na nogę. Zamiast jednak, jak zwykle, wsiąść do najbliższej taksówki, postanowił przejść pieszo do następnego mostu. Domyślał się, że Jacek może być urażony, i pragnął dać dowód swych uczuć przyjacielskich. Zatrzeć tamto i wyrównać stosunek. Wyprostować.

Mówił rozmyślnie o rzeczach błahych i wesołych. O teatrze. Grano w Odeonie Musseta, a Ra-

cina w Teatrze Francuskim. Wczoraj na wieczorze u pani Mancini śpiewano jawańskie melodie. Pani de Flers nazwała je „objawieniem”. Wówczas Vincent d'Indy, znakomity muzyk, mówił przez czas cały o „objawieniu pani de Flers”. Nie podobna było zgadnąć, czy aprobuje jej zachwyt, czy też go wykpiwa. Może i jedno i drugie. Jednocześnie.

— Znam go — rzekł Jacek. — Spotykałem podczas wojny dosyć często. Musiał gdzieś mieszkać w pobliżu, gdyż widywałem go w towarzystwie młodej kobiety na ulicy. Oboje byli bardzo piękni. Chodzili stale pod rękę. Pamiętam ich sylwetki na ulicy Vavin albo na Montparnassie. Rozmawiałem z nim parę razy w kawiarni. Potem znikł mi z oczu.

Minęli most Alma i szli dalej aleją wysypaną żwirem. Zmierzch już zapadał i rzeka była prawie ciemna. Stalowa. Wracały statki z Saint Cloud i z Suresnes. Naprzeciw od placu Zgody pędziły samochody. Zapalały się pierwsze latarnie. Białe wzdłuż ulic, czerwono w dole nad rzeką.

— Świat stał się mały — mówił Jacek Białynia. — Niemal wszyscy słyszą o sobie, spotykają się, znają. Jeszcze w połowie ubiegłego stulecia stosunki były odmienne. Znały się między sobą sfery dworskie, arystokracja. Ale dystans żabia Wola — Paryż zazwyczaj był nieprzebyty. Dziś tak już nie jest. Ekspresy wszystko zbliżyły. W każdym towarzystwie można spotkać kogoś z dawnych znajomych. Najniespodziewaniej. Ktoś,

z kim się piło małe jasne na dworcu kolejowym w Kobryniu, zastępuje ci drogę w Rzymie, w Barcelonie. I to nie jest ujemnym objawem, gdyż zwiększa się możliwość kontroli. Bezpieczeństwa.

— Jak to — zapytał Mikulicz. — Co też masz na myśli?

— Myślę — odparł Jacek — że teraz jest trudniej grać fałszowane role. Większe ryzyko i prędzej kończy się komedia. Znajdzie się zawsze ktoś taki, nieoczekiwany przechodzień, co pozna i wygrzebie z kobiałki muchomora. Nawet tutaj. W Paryżu.

Mikulicz zatrzymał się. Przekładał laskę z ręki do ręki.

— I znów się mylisz — rzekł wreszcie. — Ludzie najchętniej przymykają oko. Choćby kto poznał... tego muchomora, pozostawi go przecie w spokoju. No, tak. Aby samemu przypadkiem nie być uwikłanym w aferze.

Jacek badawczo przyjrzał się towarzyszowi. Jego twarzy bladej, pomimo młodego wieku obręklej już i nieruchomej. Twarzy, co tkwiła nad fałdami nazbyt obszernego palta, jak pełnia księżycy nad poszarpanymi chmurami.

On jest jakiś inny niż ja — pomyślał. — Mądrzejszy, czy też niedokrwesty tylko?

Myśl, że temperament jednostki jest związany, a może wprost uzależniony od jej wegetatywnego ustroju, nie była obca Jackowi. Znał pogląd, że dawny podział na sangwiników, limfatyków itd. znajduje potwierdzenie w nowoczesnych zdoby-

2
czach fizjologii. Nie siła, nie wzrost, ale niewydzielne, niezwykle trudne do wykrycia procesy wydzielcze organów wpływają na charakter człowieka. Decydują częstokroć o jego indywidualnej postawie wobec życia. Jacek wiedział o tym, ale po raz pierwszy uderzyła go oczywista zbieżność tych rzeczy. Paralelizm objawów. Narzucająca się sama przez się koncepcja współzależności.

On jest realistą i sceptykiem — pomyślał — gdyż niczym innym być by nie mógł. To jest limfa.

Mikulicz gestem zatrzymał przejeżdżającą taksówkę. Był zmęczony. Chora noga zaczęła dukać mu dotkliwie. Wsiadając rzekł jeszcze do Jacka:

— Jeśli zobaczysz Celinę, nie zdradź się czasami. Pamiętaj.

Doszedłszy do Concorde Jacek wsiadł również do taksówki i kazał się zawieźć do domu. Mieszkał dotychczas w hotelu nie mogąc znaleźć odpowiedniego mieszkania w dzielnicy, do której był przywiązany. Od trzech miesięcy zamieszkiwał w Trianon-Hotel przy ulicy de Vaugirard. Miał stąd kilka kroków do Luksemburskiego ogrodu, do wielkiej księgarni Flammariona, i do niezliczonych kramików ze starymi książkami i sztychami. Czuł się swojsko w tych stronach, tak dobrze znanych, pełnych wspomnień z lat dawnych, studenckich. Lubił przesiadywać wieczorem na tarasie niewielkich kawiarni. Tych właśnie, gdzie siadywał nie-

gdys z notatkami wykładów pod pachą. Czasem zdarzało się, że stary kelner go poznał i pytał poufale o zdrowie i zajęcia. Czasem zbliżał się „patron“, właściciel kawiarni. Gawędził przez chwilę. Wspominał bombardowanie, „grubą Bertę“, lub najazd samolotów niemieckich. Wreszcie prosił o przyjęcie poczęstunku i Jacek wypijał z patronem szklankę białego wina. Uważano go tutaj za swego. Pani Denis, sałaciarka, pozdrawiała go, ile razy przechodził obok jej straganu. Pani Thivin, kwaciarka, uśmiechała się przyjaźnie, choć Jacek nie należał bynajmniej do najhojniejszych klientów. Był swój, gdyż był oszczędny właśnie na sposób francuski. Na sposób tych rodowitych paryżan, co chodzą pieszo w ciemnym, wytartym nieco ubraniu, a w mieszkaniu zawieszają na ścianach bezcenne Renoiry i Manety.

Powróciwszy do hotelu, Jacek zszedł do sali jadalnej i siadł na zwykłym miejscu. Wieczorne dzienniki leżały przy nakryciu. Rozwinął i zaczął przeglądać.

Uderzyły go wiadomości z Polski liczne, nerwowe, pełne niedomówień. W przeciwieństwie do prasy polskiej, którą czytał z rana w Ambasadzie, informacje francuskie nie odznaczały się optymistycznym nastrojem. Ostrożnie, lecz przecie wyraźnie podkreślały one wewnętrzne trudności rządu warszawskiego. Jego chwiejność, niezdecydowanie, brak jednolitego programu. Jedno z pism donosiło o poufnych zebraniach w Resursie, na

których Roman Dmowski przedstawiał wyniki swych studiów nad faszyzmem włoskim, a obecni oklaskiwali je gorąco. W innej korespondencji była wzmianka o manifestacji oficerów w Sulejówku. Na tle tych faktów rola szefa rządu wyglądała raczej zagadkowo, lub mizernie.

— Jest figurą na szachownicy — mruknął Jacek do siebie — którą gra kto inny.

Odsunął talerz i zapatrzył się w przestrzeń daleką. W świat bezwymiarowy, gdzie wszystko skupia się, by jednocześnie rozbłysnąć. W myśl wszechobecną, rozpętnującą łańcuch przyczynowości własnej, niezależnej od praw rządzących przyczynowością ogólną. Jak film, przesuwały się przed oczyma Jacka obrazy zdarzeń i ludzi. Ludziły wyrazistością plastycznego kształtu, niedościgłą logiką bezpośredniego widzenia. Jak we śnie. Jak we śnie właśnie, gdzie wszystko jest tak proste, zrozumiałe, nieuniknione. Gdzie wszystko staje się tak, jak się stać musiało. Gdzie nie ma możliwości dwoistej do wyboru, lecz tylko jedna prawda i jedna konieczność wewnętrzna. Widział wszystkich ich naraz i przy tym każdego z osobna. Ministrów, generałów, posłów, dyrektorów. Tłum żywy, rozpierzchnięty i skłębiony zarazem. Polskę współczesną. Oficjalną. Rządzącą. Mundury. Mundury i fraki. Ordery, wstęgi. Fundusze. Fundusze. Fundusze. Kawalkadę podrygów. Czołobitność. Pochlebstwo. Służalstwo.

Trzeba wyjść stąd, zrozumiał. Trzeba odwrócić polską rzeczywistość. Przeorać.

I wydało mu się, że jest to możliwe i łatwe. Że przecie poza tą mundurową hałastrą istnieje naród. Olbrzymi zasób sił niewykorzystanych, ukrytych, które poruszyć trzeba. Rozkołysać. Przyjdzie pożar krótki, kilkudniowy i strawi strupieszalą zewnętrzną. Wydobędzie to, co było dotąd u spodu. Nowe życie wykwitnie, jak na przeoranych ugorze. Nowa Polska.

Dostrzegł, że obraz odmienia się od razu. Że nowi ludzie ukazują się nagle na scenie. Że jest przewiewniej i jaśniej. Jakby się wyszło w szczere polskie pole. W przestrzeń.

Rewolucja! — przeleciało mu przez myśl słowo nabrzmiałe znaczeniem.

— Rewolucja! — wyrzekł prawie głośno odsuwając zmięte dzienniki.

V

— Od czasu powstania odrodzonej Polski — mówił Cezary Polko — sytuacja wewnętrzna nie była tak ustabilizowana. Żaden rząd nie rozporządzał takim autorytetem. Proszę rzucić okiem chociażby na te dzienniki. (Tu wyjął z teki i położył na stole grubą paczkę gazet.) Nawet bez znajomości języka mogą się panowie przekonać o ogromnej popularności szefa rządu. Każdy numer zawiera jego fotografię. Jest to sylwetka najbardziej znana w Polsce.

— I u nas — rzekł uprzejmie Armand Aubert kiwając siwą głową.

— I u nas — potwierdził jego wspólnik Raoul Leguay.

Pan Polko promieniał.

— Jak widzę, panowie posiadają doskonałe informacje. Nie dziwię się. Sprawy finansowe nieodłączne są od polityki. Nie można dziś robić wielkich interesów bez ich ścisłego oparcia o stronę polityczną. Żyjemy w dobie współpracy polityki i wielkich finansów. Dla dobra społeczeństw. Oczywiście. Dla ich dobra. I dlatego ja właśnie pracuję jednocześnie w obu tych dziedzinach.

Głowę w tył lekko przechylił i zmrużonym, triumfującym już okiem patrzył na bankierów. Ale twarze panów Aubert i Leguay nie zdradzały bynajmniej myśli ich i planów. Były tak samo uprzejme i staranne. Wygolone, poprawne, o nieprzeniknionym spojrzeniu. Pan Cezary zaniepokoił się cokolwiek.

— Dlatego ja, proszę panów, zwróciłem się tutaj od razu. Do spółki „Aubert i Leguay” reprezentującej jeden z najstarszych domów bankowych. Złożyłem panom memoriał w sprawie tej pożyczki, która jest zarazem niezwykle korzystną operacją finansową, i uzupełniłem go dzisiaj w drodze osobistych wyjaśnień. A teraz pragnąłbym usłyszeć zdanie panów.

Zamilkł i wygodniej rozsiadł się w fotelu. Przy-mrużył oko i starał się nadać twarzy obojętny wyraz. Widział stół wielki przed sobą, skórą obity, o brązowych złożonych okuciach. Ludwik XV. Taki właśnie jak w pałacu hr. Kiszki na Krakowskim. Plika gazet polskich leżała boczkiem na stole. Kałamarz. Książka. Czarna przestrzeń skóry. I po przeciwnej stronie — dalekiej, jak przeciwległy brzeg zatoki morskiej, twarze panów Aubert i Leguay, spowite niebieskawym dymkiem papierosów. Nieruchome.

— Dziękujemy przede wszystkim panu, panie senatorze Polko — rzekł pan Aubert — w imieniu naszej spółki. Zechciał pan zwrócić się do nas. Nasz dom bankowy, chociaż jeden z najstarszych, jak zaznaczył pan to łaskawie, cenił zawsze i ceni

wszelkie możliwości nowych przedsięwzięć. Dlatego propozycja pańska zainteresowała nas istotnie i obaj z panem Leguay poświęciliśmy jej tyle czasu i uwagi, ile było niezbędne dla jej dokładnego zbadania.

Mówił wyraźnie, nieco uroczyście, z oczyma utkwionymi w wąski skrawek papieru leżący przed nim na stole. Pan Polko domyślił się, że były to poprzednio przygotowane notatki i wyciągi. Powszechny zwyczaj francuski: nic nie improwizować, ale przemówienie każde, czy też ważniejszą rozmowę opracować zawczasu ściśle, metodycznie. Wiedzieć, co się powie, i móc zachować na przyszłość wierne streszczenie słów własnych.

— Otóż badając pańską propozycję — ciągnął pan Aubert — przyszliśmy z panem Leguay do identycznych konkluzji. Niech mi wolno będzie prosić zatem pana o parę chwil uwagi. Pragnąłbym wyczerpać całą sprawę.

Przełożył swój skrawek papieru, odszukał jakieś cyfry i mówił znowu tym samym równym, cokolwiek uroczystym głosem:

— „Centrala Suszarni Krajowych” stanowi związek 17 stowarzyszeń. Tak. Bardzo dobrze. Majątek stowarzyszonych podług szacunku z roku 1923 wynosi 418 miliardów, 329 milionów, 527 tysięcy marek polskich łącznie.

Zatrzymał się. Nabrał oddechu i oderwawszy wzrok od notatek, po raz pierwszy spojrzał na rozmówcę. Zimno. Ironicznie.

— To są cyfry — rzekł — jakimi spółka „Aubert i Leguay” nie operowała dotychczas. Czy mógłbym prosić pana o przewalutowanie tych sum na franki?

Pan Polko ręce rozłożył. Westchnął i odrzekł:

— Niestety, nie mógłbym uczynić tego tak pośpiesznie.

— A na złote polskie? — wtrącił pan Leguay z uśmiechem.

Pan Cezary obrócił głowę i pilnie patrzył w okno. W obłoki.

— Niecałe ćwierć miliona — przyznał z zakłopotaniem po chwili.

— Tak — potwierdził pan Aubert zaglądając do swoich notatek. — Około 232 tysięcy. Jesteśmy zgodni co do tego punktu. Przechodzę do następnych.

Pochylił głowę i ponownie szukał czegoś na wąskim skrawku papieru.

Pan Polko uczuł się dotknięty tą metodą.

Do licha! Sąd! Inkwizycja! — pomyślał z oburzeniem.

Wszakże stary Francuz podniósł już głowę i mówił z uprzejmością niezmienną:

— Otóż łaskawy panie, siedemnastu stowarzyszonych, posiadających łącznie majątek w wysokości przez nich określonej circa 232 tysiące złotych, zwraca się do nas z zaszczytną propozycją udzielenia im pożyczki w wysokości 2 i $\frac{1}{2}$ miliona

franków szwajcarskich. Czy dobrze ująłem treść pańskiego memoriału?

— Najzupełniej.

Panowie Aubert i Leguay szybko spojrzeli na siebie. Byli wyraźnie zdumieni.

— Najzupełniej — potwierdził pan Polko swobodnie i z powagą. — Prosimy o 2 i $\frac{1}{2}$ miliona franków szwajcarskich, które zostaną zabezpieczone na majątku „Centrali”. Jest to operacja korzystna dla stron obu.

— W jaki sposób? — zapytał pan Leguay, mimowolnie przecierając oczy.

— Dzięki wspaniałej dochodowości naszego przedsiębiorstwa — oświadczył pan Polko z godnością i z naciskiem. — Gwarantujemy panom 38% w stosunku rocznym. Cyfra powyższa znajduje się w memoriale.

— Istotnie — zauważył pan Aubert. — Memoriał podaje 38% jako oprocentowanie roczne kapitału.

— A zatem? — zagadnął pan Polko niemal protekcjonalnie.

Obaj bankierzy raz jeszcze pochyłili się nad wąskim skrawkiem papieru. Szukali czegoś wśród liczb i urywanych notatek. Spojrzeniem naradzali się z sobą. Wreszcie pan Leguay chrząknął i wraz z krzesłem odsunął się od stołu. Jak lekkoatleta, nabierający rozpędu przed przesadzeniem przeskody.

— Panie senatorze — zapytał — przepraszam za niedyskrecję. Chcielibyśmy jednak wiedzieć,

pan Aubert i ja, na czym jest oparta tak niezwykła, tak wyjątkowa dochodowość tego przedsiębiorstwa? Memoriał, niestety, nie wyjaśnia tego.

Zamiast odpowiedzi pan Cezary przechylił się w tył w swym fotelu i wybuchnął śmiechem. Był teraz pewien zwycięstwa.

— Ach — mówił śmiejąc się ciągle — oto nareszcie pytanie, które przyjąć musiało. Naturalnie. Całkiem naturalnie. Poznaje po nim całą trzeźwość francuską. Wasz realizm. Tak. Tak. Teraz porozumiemy się z sobą. Na pewno.

Przysunął się. Łokciami wsparł się o brzeg stołu. Głowę wyciągnął. Zmniejszył wydatnie przestrzeń, dotąd ich dzielącą. Rozgrzał atmosferę ciepłem konfidencji.

— Panowie chcą wiedzieć? Tak, zupełnie między nami?

Ręce do ust przyłożył komicznie trwożnym gestem, jakby chcąc podkreślić sekretność swoich wyznań, i śmiejąc się ciągle, mówił urywanym szeptem:

— Dochodowość spółki... ale, panowie, wszak zdradzam tajemnicę... dochodowość... to udziałowcy po prostu. Tak jest: nasi udziałowcy. Dawniej sądzono, że dochodowość zależna jest od majątku. Ha, ha! Złudzenia. Majątek nie ma dziś znaczenia. Podstawą dochodowości spółek są ich akcjonariusze. Tak. Tak. Jak wszędzie: ludzie... ludzie... ludzie...

I widząc, że tamci nie rozumieją go jednak:

— Akcjonariuszami spółki, którą tu reprezentuję — odmienił głos naraz i śmiać się przestał — są przede wszystkim osoby... hm... elita gospodarczo-państwowa. Mógłbym wymienić nazwiska... przy zapewnieniu poufności ze strony panów wszelako... nazwiska, które więcej znaczą od faktycznego aportu. Po stokroć! Po tysiąckroć więcej! No, wszak już powiedziałem: elita gospodarczo-państwowa. Panowie mię rozumieją naturalnie?

— Istotnie zaczynamy rozumieć — powiedział chłodno bankier Armand Aubert.

— Więc?

Obaj wspólnicy jeszcze raz spojrzeli na siebie w milczeniu. Byli zgodni.

— Więc nie — odpowiedzieli obaj równocześnie. — Więc nie. To nie dla nas.

Pan Polko szedł po ulicy Rivoli w stronę Avenue de l'Opéra. Był wzburzony. Zdawało mu się, że jego plany zostały pokrzyżowane po to jedynie, aby go upokorzyć. Zmiażdżyć. Unicestwić na zawsze. Kto to mógł uczynić? Tego na razie nie wiedział. Nie domyślał się. Nie zastanawiał się nawet. Obchodziła go tylko rzecz jedna: nie otrzyma zagranicznej pożyczki tak niezbędnej. Dla „Centrali Suszarni Krajowych” oczywiście. Nie dla siebie. Broń Boże. Nie dla siebie przecie. Ale dla Związku, którego był twórcą, prezesem i głównym akcjonariuszem zarazem. Z którym złączył

swe losy, jak dwoje ludzi w małżeństwie. Na którym płynął bezpiecznie w karierze politycznej poprzez wzburzone fale koniunktur, sojuszków i doraznie kleconych gabinetów.

Miliardy z roku 1923 (można przemilczać tę datę, wymieniając cyfry jedynie) sugestionowały dotychczas opinię. W każdej rozgrywce względy pana Polka były specjalnie i nader wysoko cennione. Był potentatem. Szarą eminencją. I oto tak od razu z łaski panów Aubert i Leguay? No, bo przecie to jest chyba kryzys. Może katastrofa.

— Przekłęci Francuzi — zaklął niespodziewanie dla samego siebie po rosyjsku, mijając skromny pomnik admirała Coligny.

Środkiem ulicy przesuwala się wolno zwarta ławica samochodów i taksówek. Ani jednej konnej dorożki. Jakby ostatni koń Paryża zakupiony został do zwierzyńca w Jardin des Plantes dla dostrzymywania towarzystwa zebrom i żyrafie. Maszyny. Same maszyny. I szoferzy jacyś niewyraźni. Mulaci albo arystokracja rosyjska. Emigranci.

Rosja — pomyślał pan Polko — ot, to był kraj! Szeroki, szczery, słowiański. Ot, tam się żyło. W Baku albo w Kazaniu. Wyjdzie człowiek na ulicę, a lichacz zaraz zajeżdża. Jakby przeczuł. Odgadł. Czapkę zdejmie. „Barin, a barin — pojedziemy?” Jedziemy, ma się rozumieć. Do banku. Do kantoru. Do restauracji. Wszędzie

twarze swojskie takie i życzliwe. Kucharz na salę wyleci. „Bliny, a barin, bliny z kawiozem!” Kelner za głupie trzy ruble poci się, uwija. Eh, żyło się. Co tu mówić. Żyło się.

— Przeklęty naród: Francuzi — zaklął po raz drugi. — Gadać nie umieją z człowiekiem.

Przeszedł na przeciwną stronę ulicy tuż przed Teatrem Francuskim. Machinalnie spojrzął na afisz i zdziwił się: Andromaka. Balet, czy co? — pomyślał. Pewnie balet. Balet to muszą mieć dobry. Może taki, jak w Pitrze bywał? Ale z człowiekiem interesu załatwić nie umieją.

Jak dostałem administrację dóbr książąt Golicynów — rozmyślał — to dyrektor Banku z Tuły do mnie sam przyjechał. Młody byłem. Zaczynałem. A on mi na rękę sto i osiemdziesiąt tysięcy. „Na pierwsze wydatki”, żeby tylko zięć jego mógł ze mną lasami handlować. I do papierków tam żadnych nie zaglądał, a tylko po prostu wypiliśmy na zdrowie. To byli ludzie: swoi, serdeczni, otwarci. I rozumieli w lot wszystko. Sami żyli i innym nie marnowali życia.

A tutaj taki — oburzył się już całkowicie — z papierkiem w oczy ci lezie. Z papierku gada. Mądrała. Uczzonego udaje, albo kaznodzieję? Za słówka łapie, jak na egzaminie sztubaka. I jeszcze fochy stroi. Głową trzęsie. Odmawia.

Zawrócił i zatrzymał się znowu przed wejściem do teatru. Z zaciekawieniem przyglądał się lakonicznemu obwieszczeniu: Andromaka.

A może by jednak wziąć bilet — zastanowił się. — Tańce jakieś zobaczyć? Wieczór wolny. Szkoda w domu siedzieć.

Pchnął drzwi i wszedł do wnętrza.

Maurycy Monitz wysiadał właśnie z samochodu, gdy drzwi Francuskiego Teatru rozwarły się szeroko i pan Cezary ponownie ukazał się na ulicy. Przez chwilę patrzyli na siebie, nie mogąc nawzajem się poznać, a czując przecie, że znają się od dawna. Wreszcie Monitz pierwszy podskoczył żwawo i uprzejmie. Ten człowiek istotnie odznaczał się pięknymi manierami.

— O ile się nie mylę, mam zaszczyt widzieć senatora Polka? — zapytał wyborną francuszczyzną.

Pan Polko w jednej chwili ocenił sytuację: samochód, który się przed nim zatrzymał, był prywatnym samochodem Maurycyego Monitza.

— Kochany panie Maurycy! — zakrzyknął. — Kochany panie Maurycy!

— Skąd? Jak? Czy na długo?

Stali na wprost siebie, ściskając się serdecznie. Monokl Monitza wypadł mu z oka i zadygotał na jedwabnej nitce. Na szczęście był cały.

— Od dwóch tygodni — mówił pan Cezary. — Od dwóch tygodni. Jak zawsze: w interesach.

Jeszcze raz uśmiechnęli się do siebie i pan Cezary zapytał:

— A pan tu do teatru zapewne? Po bilety również?

Maurycy Monitz wybuchnął naraz śmiechem. Śmiał się długo, serdecznie.

— Tu? Do Francuskiego? O nie! Tu chodzą sami Francuzi. Nuda straszna!

Poprawił monokl i spojrzał na afisz. Na lakoniczne obwieszczenie: Andromaka.

— No, oczywiście — rzekł. — Starożytności! Klasycyzm! To nie dla nas.

Ujął pana Polka konfidencjonalnie pod ramię i dorzucił z uśmiechem pogodnym:

— Ja tu do jubilera. Trzeba coś wybrać. Dla pewnej miłej dziewczynki.

Teraz pan Polko był już całkowicie i wszechstronnie zorientowany. Maurycy Monitz, dawny agent petersburskiego towarzystwa ubezpieczeń „Rossija“, jeździł po Paryżu własnym samochodem i robił zakupy w sklepach jubilerskich.

— Kochany panie Maurycy — rzekł ciepło i poufale — jakże się cieszę, żeśmy się znowu spotkali. Nie uwierzy pan, jak często wspominam tamte czasy. Musimy się z panem rozgadać i nagadać. Ot tak, jak dawniej bywało.

— Koniecznie! Koniecznie! — zgodził się Monitz przypominając sobie jednakże, że za „tamtych czasów“ pan Polko mniejsze okazywał względy. — Oto mój adres: 15 Avenue Kléber. Będę szczęśliwy, jeśli pan senator zechce wpaść do mnie pojutrze na skromne kawalerskie śniadanko. Będę ogromnie szczęśliwy.

Uśmiechnął się raz jeszcze i sprężystym krokiem podążył ku Palais Royal, pozostawiając pana Cezarego przed świecącą jak lustro limuzyną.

Jednak w tej Rosji szkoła była dobra — rozważał pan Polko idąc wolno w stronę Opery. — Wyrabiali się ludzie. Dochodzili do pięknych stanowisk. Nie tak, jak obecnie. A dlaczego? Dlaczego?

Przystanął przed wystawą sklepową i patrzył na kosztowne damskie fatałaszkę. Torebki ze skóry węża. Lusterka w szyldkret oprawne. Puderniczki z połyskliwego metalu, ozdobione emalią albo szmaragdowymi skrzydłami egzotycznych motyli. Jakaś kobietka zatrzymała się obok. Z zachwytem przyglądała się torebce.

— To jest kobra — powiedziała głośno. — Autentyczna kobra.

— Co? — zapytał pan Polko mimo woli.

— Ta torebka. Dwieście osiemdziesiąt franków. Ze skóry kobry. To niedrogo. Najmniejsza.

Pan Polko badawczo przyjrzał się kobiecie. Nie była w jego guście. Nazbyt krucha.

— Za drogo — wyrzekł powoli — i zresztą ośobiście niecierpię skóry kobry.

Roześmiała się głośno. Porozumiewawczo.

— Dlaczego? Czy ma pan może osobiste nieprzyjemne wspomnienia?

Tego było zbyt wiele. Senator odczuł całą niewłaściwość sytuacji.

— Jestem cudzoziemcem — rzekł chłodno i w miarę wyniosłe. — Jestem cudzoziemcem i nie mam zwyczaju przedstawiać się damom na ulicy.

Wówczas ona skoczyła jak kotka.

— Cudzoziemcem? Naturalnie! Zaraz pomyślałam to sobie, że pan jest cudzoziemcem. Mogę nawet określić, do jakiej należy pan narodowości. Ależ tak! Pan jest kwakrem. Mój Boże! Taki kwakier w Paryżu!

I odeszła, wzruszając ramionami, aby okazać, że nie żywi złudzeń.

Paryż jest niemoralny — pomyślał pan Cezary. — Słyszałem to zawsze, a dziś się przekonałem. Kobiety są wyzywające i wyrachowane. Złe matki. Naród taki musi w końcu zginąć.

Ale zaraz, jak owad natrętny, powracający do światła, zjawiała się myśl inna: Jednakże taki Monitz... no, cóż? Trzeba przyznać: rozkwitł. Kto by się spodziewał: Maurycy Monitz, dawny agent ubezpieczeniowy petersburskiego towarzystwa „Rossija”. Jak on to zrobił? Przez kogo? Dzielný chłopiec.

Zbliżył się do innej wystawy i oglądał flakony perfum, słoiki z kremami, przybory toaletowe. Stał nieruchomo, wpatrzony w stos kolorowych mydełek. Patrzył nie widząc, jak człowiek olśniony blaskiem niespodzianej idei. Jak w natchnieniu. Tak. Jak w natchnieniu właśnie.

— Monitz, kochany chłopiec — wyszeptał. — Przecie z nim trzeba pogadać. Przecie on tu musi mieć stosunki. Duże. Bardzo duże.

Wyjął z kieszeni bilet Monitza i spojrzął na adres. 15 Avenue Kléber.

— No, tak. To Etoile, pierwszorzędna dzielnica. Wszystko się zgadza. Monitz niewątpliwie zrobił tu karierę. Wyłynął. Rozkwitł. Posiada rozległe stosunki. Ach, panowie Aubert i Leguay, panowie Aubert i Leguay — szepnął zjadliwie, chowając bilet Monitza do portfela.

Dochodząc do gmachu opery pan Polko już wiedział dokładnie, co uczyni. Opracował w myśli cały plan tej kampanii, jak wódz przedsiębiorczy, oskrzydłający armię przeciwnika. Do najdrobniejszych posunięć. Do najszczegółowszych kombinacji. Miał w oku grę całą, jak partię szachów na stoliku. Ciężkie wieże przemysłu i zwinne koniki stosunków towarzyskich. Dyplomatyczne laufry i zwykłe pionki prasowe. No, i królową! Królową przede wszystkim. Zapobiegliwą, zwrotną, biegnącą z tą samą swobodą po wszystkich liniach równych i ukośnych. Zespół większości rządowej, do którego wiernie należał. Bo królem w grze był oczywiście on sam, Cezary Polko, zarosowany bezpiecznie w Centrali Suszarni Krajowych. Z olimpijskim spokojem przyglądający się stamtąd dookolnym podstępom, wybiegom i utarczkom.

— Cokolwiek nastąpi — oświadczył kiedyś jednemu z premierów — może pan prezes być pewien, że Centrala nie znajdzie się w opozycyjnym obozie.

W trzy tygodnie później rząd upadł i dany premier przeszedł sam do szeregów opozycji. Spotkawszy się z panem Polkiem w kuluarach, podszedł do niego:

— Cóż, panie senatorze — zagadnął. — Wywalamy projekt rządowy?

— Panie — odpowiedział pan Polko zgorszony i gniewny — ja nigdy nie brałem udziału w robocie destrukcyjnej. Potępiam partyjnictwo. „Centrala” będzie nadal współpracować z rządem.

— Ależ to inny jest rząd. Rząd wczorajszej opozycji.

— Tak — odparł pan Polko z godnością. — Rząd jest inny, ale ja jestem ten sam. Ja, panie prezesie, moich zasad nie zmieniam. Cokolwiek by nastąpiło, „Centrala” nie będzie popierać opozycji. Żadnej opozycji. Wczorajszej, ani dzisiejszej.

To było jasne i pan Polko zyskał opinię wyrobionego, trzeźwego polityka. Dalekiego od wszelkich teorii i nieżyciowych, papierowych haseł. Jego pozytywizm praktyczny zrobił szkołę. Znalazł naśladowców umiemych, licznych i gorliwych. Poczęto go wysuwać na stanowiska reprezentacyjne, wymagające kontaktu z nieustannie zmieniającymi się sferami rządowymi. Był tu niezastąpiony. Reprezentował ciągłość wśród powszechnego braku jakiejkolwiek ciągłości.

— A jednak to nie to, co by być powinno — powtarzał czasem z przekąsem. — To nie to. W Rosji to było lepiej urządzone. Znacznie lepiej.

Pomimo wszystko trwał w nim podziw głęboki dla owej Rosji dawnej, bogatej i potężnej. Dla Rosji rządzonej przez władzę jednolitą. Jednoosobową. Nieodpowiedzialną przed nikim. W umyśle pana Polka potęga i bogactwo tej Rosji łączyły się przyczynowo z jej strukturą wewnętrzną. Wynikały z niej właśnie. Były zewnętrznym, funkcyjnym niemal objawem, jak światło i ciepło są objawem energii słonecznej. Zawsze skłonny do empirycznego ujmowania zagadnień, pan Polko twierdził przekonywająco, że nie co innego, lecz właśnie zachwianie owej swoistej struktury stało się źródłem rewolucji, rozkładu i upadku potężnego państwa.

— Gdyby liberali nie zmusili cesarza do abdykacji — powtarzał — nie byłoby przewrotu. Naród rosyjski wiedziałby, gdzie jest jego władza. Współzawodnictwo Lenina z Mikołajem okazałoby się wręcz niemożliwe. Ale liberali, podszczuwani przez zachodnich aliantów, zniszczyli zasadę władzy jednoosobowej, przed Bogiem odpowiedzialnej jedynie. Na jej miejsce lekkomyślnie wstawili parlamentaryzm zachodni. Władzę wielogłową, jak hydra. Bezosobową. Teoretyczną. Rosyjski człowiek zgubił się w tym lesie i zanim się spostrzegł, już Rosją rządził Lenin, a rządził tak, jak cesarz właśnie. Bez głupich europejskich wymysłów. Po rosyjsku. Widomie. Samowładnie. Twardo. Car czerwony!

Zachód dla pana Polka trącił perwersją i zgnilizną. Był mieszaniną wyrafinowania, zepsucia

i obłądy. Rozsądnikiem niebezpiecznych chorób politycznych. Owszem, do Paryża można pojechać. Zabawić się, życia użyć. Można i na Riwierę. Do Monte Carlo na przykład. Ale trzeba zapatrywać się trzeźwo na ten Zachód. Wystrzegać się głupstw, zgubnego zawracania głowy. Nie nam od nich się uczyć! Sami żyć potrafimy i innym jeszcze pokazemy. Byleby pieniędzy starczyło, bo są ciężkie czasy. Otóż ten Zachód jednak miał pieniądze. Jedyną rzecz dobrą i bezsprzecznie godną uznania. Kiedy dla „Centrali” nadeszły „ciężkie czasy”, pan Polko przypomniał sobie, że dawniej, jeżeli w Rosji zabrakło komu pieniędzy, jechało się wprost pociągiem pośpiesznym do Paryża. Sam car pojechał tam nawet. No, a kolejni ministrowie skarbu jeździli tam furt, jakby to była regularna podróż służbowa.

— Cóż? — powiedział sobie pan Polko — póki co, mogę i ja tam pojechać. Zobaczymy.

Pan Cezary skręcił w ulicę Daunou i po chwili był już na Bulwarach.

— Tu jednak czuć Paryż — zauważył wymijając dwie eleganckie kokotki. Spojrzał na zegarek i zastanowił się, czy teraz zje śniadanie. Była pierwsza. Sakramentalna godzina posiłku.

— Niech będzie — zgodził się sam z sobą. — Można i po francusku. O pierwszej.

Rozejrzał się i wszedł do najbliższej wielkiej restauracji. Zajął miejsce przy oknie i po krót-

kiej naradzie ustalił z kelnerem dość zajmujące menu.

Wszakże jadł wolno pomimo apetytu. Przy tym samym stole po przeciwnej stronie usiadła młoda dama. „Hiszpanka”, przemknęło mu przez myśl i okrągłym ruchem podsunął kartę. Podziękowała spojrzeniem palących czarnych oczu. Zęby białe, prześliczne błysły w oprawie malowanych usteczek. Królewskim ruchem zrzuciła z siebie okrycie.

— To ktoś z wielkiego świata — domyślił się. — Może ktoś z arystokracji francuskiej.

Dama jadła ostrygi, pasztet i karczochy. Bez systemu. Piła wodę Vichy z domieszką czerwonego wina. Na palcu lewej ręki błyszczał cenny sygnet z wrytą koroną hrabiowską.

To ktoś jednak z arystokracji — utwierdził się pan Cezary we własnym przekonaniu i począł żałować, że zbyt szczupła znajomość heraldyki nie pozwala mu określić herbu pięknej pani. Miałby doskonałą sposobność do nawiązania rozmowy.

Ale rozmowa i tak została nawiązana. Przy pieczyście. Nieznajoma wyjęła złotą papierosniczkę, ozdobioną nieznanym bliżej herbem i niewątpliwą koroną hrabiowską, i poprosiła pana Polka o zapalkę. Po kwadransie byli już niemal na stopie przyjacielskiej.

Przy sałacie dowiedział się pan Cezary, że piękna pani istotnie jest Hiszpanką. Przyjechała tu wczoraj dopiero. Z Seville. Tak. Tak. Z Seville. (Andaluzja. Walki byków. Toreadorzy.

Krew na arenie.) Poszukuje swego męża hr. Rodryga dela Garcia. (Więc pan Cezary nie omylił się przecie. Przed nim siedzi hrabina Rodrygowa dela Garcia.) Który to mąż (Rodryg hr. dela Garcia) zgrał się do sucha w Monaco i uciekł z francuską ulicznicą do Paryża. To jest oczywiście nikczemne, lecz wina spada przede wszystkim na te wyuzdane Francuzki. W Hiszpanii taka rzecz byłaby nie do pomyślenia. Ale tu — hrabina pogardliwie wzruszyła ramionami — upadek moralności jest powszechny. Niebываły. Zmaterializowanie. Zanik rodzinnego życia.

— Jestem szczęśliwy — powiedział pan Polko przy kremie z owocami — że z ust pani hrabiny (już ją tytułował) usłyszałem te słowa. Z tym samym zdaniem o Francji spotykałem się niemal wszędzie. Choćby na przykład w Kazaniu... I dziś sam...

— W Kazaniu? — przerwała mu żywo hrabina. — Czy pan jest Rosjaninem?

— Właściwie nie — odrzekł senator. — Nie jestem Rosjaninem. Lecz Rosję znam wybornie. I wzdłuż i wszerz. I lud i zwyczaje. Spędziłem tam...

Spojrzała na zegarek i zaniepokoiła się nagle.

— Już druga. Mój Boże! Za dziesięć minut mam konferencję z adwokatem, któremu zamierzam powierzyć sprawę rozwodową.

Zgasiła papierosa. Zapięła rękawiczki pośpiesznie.

— Pan wybaczy tym razem — miała szczerzy żal w głosie, głęboki smutek w palących, czarnych oczach. — Pan wybaczy, że dzisiaj tak śpiesznie muszę odejść. Ale za to jutro — twarz jej rozjaśniła się, na purpurowych wargach wykwitł uśmiech szczęśliwy. — Ale jutro za to i pojutrze, i jeżeli pan zechce, to codziennie nawet możemy się tu spotykać. Na śniadaniu.

Pan Polko wstał i wzruszony ucałował rączkę hrabiny dela Garcia. Wyszła.

Czarująca kobieta — myślał patrząc na nią — i jaka dystygowana. Hiszpanka!

Gdy skończył kawę, gestem przywołał płatniczego. Zbliżył się mały staruszek w okularach.

— Czy to pan dziś płaci za damę, która wyszła? — zapytał obojętnie.

— Jaktó: dziś? Ta dama była tu po raz pierwszy. Wczoraj przyjechała z Hiszpanii.

Suchy, kościsty staruszek uśmiechnął się po-błażliwie.

— Tę damę znamy od roku — rzekł cicho, układając starannie otrzymane banknoty. — Codziennie spożywa tu śniadanie, czasem obiad. To jest tancerka rosyjska z Plaisirs de Paris. Znakomita. Tańczy na linie. Cudownie. Nazywa się Sonia Baumann.

VI

Kiedy Andrzej Lacczański z Bender przez Turcję przedarł się do Francji, była już zima 1712 roku. Dwa lata przeszło zajęła mu ta podróż od ujścia Dniestru do francuskiego wybrzeża. Dwa lata wysiłków, wybiegów, niebezpieczeństw. Wyruszył z Bender samotrzeć i ubogo. Konie miał tylko świeże, najprzedniejsze. Dwóch ludzi pewnych spod chorągwi ojca nieboszczyka. Jechali na Galac Stepem Akermańskim. W pierwsze zadymki zimowe. W zmierzch przedwczesny, lepki, ołowiany. Byle tylko zbiec stamtąd. Nie patrzeć i nie słuchać. Nie uczestniczyć w tych sporach jałowych. Nie targać sił ostatka w wewnętrznej nędznej walce.

Wszystko było stracone i Lacczański widział to jasno. August i Piotr w triumfie podali sobie ręce. Ponad Polską obezwładnioną, rozbitą, najechaną. Ponad Polską zdradzoną przez własnego króla. Teraz moc tamtych dwóch potęg utrwali się i wzrośnie. Złowieszczo zacieśni się ich sojusz. Powstanie związek wilczy.

Jechali przez Step Akermański, omijając tatarskie auły. Osiedla mizerne, rozsiane rzadko

po obu brzegach Dunaju. Szły wilki śladem podróżnych, to znowu oni tropili na stepie zwierzynę byle jaką. I Wołosza nie była bogatsza. W kurnych chatach gryźli kukurydziane placki z owczym serem. Chłopy wielkie w kozuchach i czapach baranich patrzyły na nich spode łba. Nieufnie, czasem wrogo.

W Giurgiu zdążyli jeszcze przeprowadzić się przez Dunaj, ale w Ruszczuku musieli przecie zaniechać dalszej podróży. Spędzili tu zimę do marca, opowiadając w gospodach tureckim oficerom o wielkiej bitwie połtawskiej. O królu Karolu i o carze Piotrze moskiewskim. Przyjął ich basza na zamku i zaopatrzył dostatnio. I on także wypyttywał o bitwę. O Karola, Piotra i Augusta. Był już stary i pamiętał wiedeńską wyprawę Sobieskiego. Do Polski nie żywił urazy. Rosji się lękał. O Szwedach słyszał zaledwie.

Ruszyli z wiosną najpierwszą i po tygodniu przeprowili się przez góry. To był najcięższy etap tej podróży. Zaraz za Tyrnową leżał śnieg obfity, choć już w Ruszczuku zazieleniła się trawa. Kiedy wjechali w wąwozy, mróz ich ogarnął na nowo, lecz za to śnieg był twardszy, zeszlony, i wierzchowce przechodziły szczęśliwie. Ze zgrozą patrzyli na ten świat tak odmienny, niepodobny do słodkich równin Ukrainy, ani do polskich regularnych pól. Spoglądali z podziwem na szczyty niedostępne, okryte siwymi chmurami jak turbanem. Wszakże basza Ruszczuku dostarczył im istotnie wybornych przewodników. Dzięki porze

zbyt wczesnej wody potoków jeszcze nie rozlały. Mogli więc przebyć tę drogę pośród chmur i śniegu, aby spaść niespodzianie, jak ptaki, w zieloną, słoneczną dolinę Kazanłyku.

Przyjęła ich bystra Marica wodą przejrzystości błękitną. Odezwały się pierwsze skowronki nad uprawnymi polami. Jechali wolno, świątecznie, ciesząc się słońcu, ptakom i różnym krzewom. Wymieniali z ludem proste pozdrowienia rozumiejąc się nawzajem, jakby w tym oddaleniu wracała do nich część ojczystego kraju. Czasem w wieczór nad brzegiem Maricy koniuchy przy ogniskach śpiewały stare pieśni. Wtedy stawało się jasne, że w rytmie tych pieśni tęskliwych odzywa się przeszłość, daleka bardzo, lecz wspólna.

Wkrótce minęła Marica i znów rozpoczęły się stopy, porosłe kłującymi krzaczkami, niegościnne. Kępy traw wiosennych wynurzały się dziwnie lekliwie, pytająco. Było trudno o wodę dla koni. O noclegi. Sypiali pokotem na polu, owinięci włochatymi burkami. Strzegli koni na przemian, gdyż nocą znowu podchodziły wilki. Tracja. Kraj głuchy, posępny i pusty, kędy oszalałe bachantki rozdarły niegdyś na strzępy boskiego pieśniarza — Orfeusza.

Aż oto któregoś ranka — niespodzianie dla wszystkich — spoza płaszczyzny stepu szarożółtej zabłysło morze szmaragdową tarczą. Wstrzymali konie i patrzyli przed siebie w milczeniu. W ten blask niewidziany nigdy, czarodziejski. W zamęt barw, mieniający się połyskli-

wością metalu. W przestrzeń nieogarniętą, wabiącą i rozkoszną, jak marzenie u rzes zawisłe. Jak rzeński sen chłopięcy. Poczuli powiew słodki, od brzegów Azji płynący. Woń na pół omdlała, a na pół łechcącą, przekorną. Zapach róż, czy też krwi zapach? I zabiły w nich serca gwałtownie, jak biją serca kochanków.

Wjeżdżali o zachodzie do miasta, gdy Złoty Róg płonął odbłaskiem roztopionej miedzi, a czarne cypisy Eyubu pięły się w niebo milczące. Z wąskich uliczek wyległa kolorowa ciżba i patrzyła ciekawie na jeźdźców, śpieszących pod górę ku Perze. Minęli wieżę Galaty i pięli się dalej stromym spadkiem ulic ku dzielnicy chrześcijan, zamieszkałej przez Ormian i Greków. Odezwał się głos muezzina nawołujący do modlitwy wieczornej i naraz zawtórowano mu ze wsząd. Ze wszystkich minaretów olbrzymiego miasta. Jękliwie, przeciągle, żałośnie. Jakby ból i tęsknota wyczerpać się miały w tym śpiewie. Powietrze było czyste, dziwnie ciepłe. Zmierzch zapadał szybko fioletowymi płatami. Jechali jak we śnie, tak jawa do snu była podobna.

Zamieszkali przy Polskiej ulicy w gospodzie ormiańskiej obszernej i obronnej. Za murem wysokim mieściły się ich izby o oknach małych i drzwiach okutych żelazem. Tu mieli spędzić rok prawie, czekając na listy i pieniądze z Polski, bowiem tureccy Ormianie pozostawali w stosunkach z Ormianami we Lwowie i Kamieńcu i za ich pośrednictwem mógł Andrzej otrzymać należność

z dóbr zastawionych bratu. I oto rok prawie minął im tak w Carogrodzie, a nie wiedzieli sami, czy gośćmi tam są, czy jeńcami.

Ileż to razy następnie powracał Andrzej myślą do tych stron dalekich. Jakże mu lśniły te wody i pachniały ogrody Taksimu. Przemykając oczy widział olbrzymie zamki Rumeli Hissar i Anatoł Hissar, broniące miasta od północy i wschodu, i zamek Siedmiu Wież, broniący go od południa. Widział Świętą Zofię, tragicznie rozpartą nad cmentarzyskiem przeszłości, kształtny meczet Bajazeta i meczet sułtana Achmeta, który wznoszono właśnie na rozkaz tego władcy. Turkusowo jaśniały majoliki staroperskie, zdobiące grobowiec świętego młodzieńca Eyuba, i bielił się pień platana rosnącego na podwórzu jego meczetu. W latach późniejszych wśród równi mazowieckich pojawiał się Andrzejowi tamten zwid uroczy, iż patrząc nie wiedział czasem, kędy patrzy.

Aż wreszcie Ormianie wypłacili sumę zastawną i z nową wiosną Andrzej Lacczański ponownie porwał się w drogę. Wsiadł na fregatę wenecką i okrążając Grecję podążył ku Italii. Płynął po morzu zielonym, usianym rdzawymi wyspami. Po morzu znanym od dawna, choć oglądanym teraz po raz pierwszy. Tędy to pod Troję zdążała flotylla Achajów i tutaj w barce wywrotnej żeglował Odys przemysłny. Szukał Andrzej na fali bruzdy po tamtych okrętach i usiłował dostrzec Kalipso u brzegów każdej napotkanej wyspy. Ale minął mu Lemnos, Chios i Cyklady, i nic nie wykrył

oprócz skał i owiec. Na wyspie Syra w mieście Hermopolis sprzedawał kramarz grecki ułamki dawnych marmurów. I oto zbieg północny zakupił nagi tors fauna i wiozł go w skrzyni cedrowej, owinawszy burką podróżną.

I znowu zbiegło lato i jesień przeminęła, zanim Andrzej Lacczański otrzymał odpowiedź na wysłane listy. Czekał w Wenecji, nie wiedząc, dokąd mu ruszyć wypadnie. Nie do Polski tym razem pisał, lecz do Francji. Błądził na razie po uliczkach krętych, po ciemnych, cuchnących zaułkach. Przystawał na Riva degli Schiavoni oczekując na przybywające okręty. W zamyśleniu siadywał przed Colleonięgo pomnikiem i patrząc na władczy gest wodza myślał o Polsce, którą August rządził wszechwładnie. Wpadła mu do rąk Gazette de Hollande i czytał chciwie o wydarzeniach ostatnich. Wiedział już o francuskiej klęsce. O koalicji potężnej, łączącej połowę Europy przeciwko Francji samotnej, wyczerpanej, nieugiętej. Świetność Króla Słońca zdawała się dogasać jak parny dzień czerwcowy pośród burzy. Wychylały się cienie zachłanne i zuchwałe. Polska pozbawiona wolności i Francja najechana, uszczuplona w swych prawach, w swym znaczeniu. Współrzędność zjawisk, mająca się odtąd powtarzać okresowo niemal, cyklicznie. Ich współzależność głęboka, przyrodzona, wynikająca nieuchronnie z zasady geograficznego rozmieszczenia narodów, której zmienić nie mogą dyplomatyczne wybiegi. Wszystko to stało się jasne

i Andrzej Lacczański, pierwszy polski emigrant polityczny, postanowił podążyć do tej Francji właśnie.

Jacek Białynia znał te przygody naddziada. Tutaj kiedyś w Paryżu znalazł druk rzadki: *Mémoires d'André Lacczański, comte de Lackie*, oprawne w safian zielony z herbem francuskiej rodziny de Beaucaire'ów. Ta książka zżółkła ze śladami wosku na stronie tytułowej przemówiła doń dziwnie znajomym językiem. Poprzez ceremonialną układność, właściwą stylowi tej epoki, poprzez racjonalizm oschły nieco i formalny przebił w niej ton żywy, barwny, bezpośredni. Jakby coś z Paska opisującego swe przygody w Danii, ale z Paska, który zamiast oswojonej wydry kładł przy swym łóżku aleksandryny Racine'a. I jeszcze rzecz szczególna dla tamtego wieku: wycucie krajobrazu, zrozumienie piękna w przyrodzie. Jakby ów Pasek z Hobbemą był spokrewniony. Z Ruysdaëlem. Jakby bardziej od dziarskich polowań cenił samotne wycieczki w głąb szumiącej puszczy. Człowiek kultury klasycznej, który umiał spojrzeć na przyrodę miłującymi oczyma. Dostrzec jej radość, przepych i potęgę. Jej różnorodność nieograniczoną, zawsze płodną. Może malarz, któremu tyrania klasowości nie pozwoliła wypowiedzieć się w pełni? Może nieznaną poprzednik przyszłej roussowskiej już szkoły?

Jacek czuł, że Lacczański nie wiele miał związków ze środowiskiem, z którego wyszedł i do któ-

rego należał. Z ową krewką tępotą ówczesnej szlachetczyzny. Z jej bezmyślnym, obojętnym, gdy szło o sprawy publiczne, trwaniem przy folwarkach. Wszak dobra swoje puścił w zastaw bratu i ponoć już nigdy nie doszedł do ich restytucji. Pozostał wierny prawdziwemu elektowi narodu, Leszczyńskiemu, choć wojska marszałka Flemminga zdołały przekonać szlachtę o potrzebie uznania Augustowych rządów. Nad byt spokojny przeniósł niepewny chleb dobrowolnego wygnania. Emigrację. Romantyzm? Nie. Bo równocześnie — niewątpliwy realizm polityczny. Sądzę trzeźwy, bez oratorskich popisów, na dokładnej analizie oparty. Wszak był przeciwny ostatniej wyprawie moskiewskiej. Nie wierzył w pomoc kozaków. W Mazepę. W urojony sojusz Ukrainy z Polską przeciw Rosji, za którym opowiedział się król Karol pod wpływem Poniatowskiego. Lacczański już wtedy chciał szukać aliantów na Zachodzie, aby obręcz sasko-moskiewską rozsadzić skutecznie i trwale. Pod Połtawę poszedł niejako pod przymusem. Aby nie być posądzonym o prywatę. O szkodnictwo. W Benderach bawił niedługo. Bez złudzeń zegnał Karola. Bez złudzeń ruszał przez Turcję. Wiedział, że Polska pobita nie może liczyć na żadną interwencję.

Czytając tę książkę czuł Jacek wielokrotnie, że czyta oto jakby myśli własne. Treść utajoną własnych swych rozważań, zawartą w słowa znajome. Czasem tak echo powraca z głębi groty, gdy już zapomnieliśmy prawie o krzyku.

Była już zima 1712 roku, kiedy Andrzej Lacczański stanął na ziemi francuskiej. Łodzią rybacką z Genui puścił się na morze i okrążając brzeg skalny dotarł do błękitnej zatoki Saint-Tropez. Sebastian de Beaucaire czekał na niego u brzegu. Rzucili się sobie w objęcia i Lacczański po raz pierwszy od wyjazdu z Polski poczuł, że łyzy gwałtowne napływają mu do oczu.

— Andrzej! — zawołał de Beaucaire — nie-szczęście twoje stwarza twoje prawa. W domu moim odnajdziesz spokojność i przyjaciół.

Dosiedli zaraz koni i jechali w maurytańskie góry. Był dzień pogodny, słoneczny, choć zimowy. Błyszczała tafla zatoki łagodnym, srebrnym blaskiem. Czerniały sosny nad wioską Sainte-Maxime. Jastrzębie krążyły w obłokach.

Potem wjechali w mimozowe gaje. Między namioty złote, rozpięte w czystym powietrzu. Zapach odurzający i słodki rozlał się wokoło. Przesycił ich płaszcze, osiadł na dłoniach i twarzy. Słudzy Andrzeja uderzali miarowo w rozłożyste kiście i wtedy pył złotawy sypał się na jeźdźców i na konie.

— Śnieg u was złoty jest i pachnący — mówili.

Lecz gdy się wspięli na wzgórze, ujrzeli przed sobą prawdziwy śnieg daleki. Oslepiająco biały, połyskliwy. Biegły u widnokręgu stoki alpejskie i piętrzyły się coraz wyżej i śmieiej. Sięgały w niebo ostrożnymi graniami. Zawisały w nie-

bieskiej przestrzeni wieńcem wiecznych lodów. Ni to zamki olbrzymie, dostępne jedynie aniołom.

— To jest mur graniczny — rzekł Sebastian de Beaucaire — wzniesiony przez Boga dla ochrony Francji.

W Peyrolles zmienili konie i przeprawiwszy się przez rzekę Durance jechali nazajutrz wzdłuż prawego brzegu. Poprzez kraj winnic i szarych drzewek oliwnych. Zamieszkały, gospodarny, dostatni. Nie dotarła tu wojna od dawna i ziemia płodna rodziła co roku obficie. Co roku w skwarze letnim dojrzewały figi, orzechy i oliwki. Wzbierały winogrona szlachetnymi sokami. Pyszniły się po sadach warzywa i owoce, o jakich marzą na próżno północnych miast mieszkańców. Pomimo pory zimowej znać było ten dosyt ziemi, jej hojność błogosławioną, zaprawdę macierzyńską. Ale w oczach mieszkańców, napotykanym po drodze, znać było również troskę upartą, codzienną.

— Ach — mówił de Beaucaire, kiedy ruszali z postojem — gdybyś ty widział ten sam kraj przed laty! Radość tu była, dźwięczał śmiech i śpiewy. Tańczono w cieniu platanów. Na awiniońskim moście. Tańczono na placach kościelnych. Jakby ta ziemia prowanska była ojczyzną nimf i swawolnych bożków. Ale rok 1709 stłumił radość wszelką. Przeraził. Oniemił. To była straszna zima!

Raz jeszcze zmienili wierzchowce i za Cavaillon jechali już pośpiesznie. De Beaucaire mó-

wił teraz o sobie. O kampanii we Flandrii pod rozkazami Villarsa i Boufflersa. O dniu tragicznym 11 września 1709 r., kiedy Boufflers, zastępując раннего Villarsa, kawaleryjskimi szarżami osłaniał odwrót ostatniej armii francuskiej.

— Mieliliśmy przeciw sobie połączone wojska sprzymierzonych. Niemieckie, holenderskie, angielskie. Marlborough i Eugeniusz Sabaudzki. Oddajmy sprawiedliwość: wodzowie znakomici. U nas rekrut świeży. Młodzizna. W pułku moich dragonów — chłopaki. Dzieci prawie. Szarżowaliśmy sześć razy, osłaniając ten odwrót. To była walka o honor i o Francję. Jakże kosztowna.

Puścił z rąk cugle. Chwycił Andrzeja za ramię.

— Musieliśmy — mówił. — Choćbyśmy mieli wyginać do ostatniego dragona. Francja nie może trwać, wiecznie zagrożona na wszystkich swoich granicach. Od lat dwustu walczymy na wszystkich frontach jednocześnie. Rozumiesz? Karol V skuł nas w ten pierścień nieprzyjaciół. W żelazną obręcz habsburską. Ale rozsadzimy ją przecie.

Potem przechylił się w siodle i rzekł wskazując liliowe mgły nad rzeką:

— Oto Awinion. Miasto marzenia i zadumy.

W perspektywie dalekiej i zamglonej znaczyły się dla Jacka Białyni drogi tamtego wygnania. Dzieje niezrozumiałe zapewne dla przyszłych polskich pokoleń, ale dostępne jeszcze pokoleniu Jacka. Pokoleniu, które w młodości zaznało właśnie

tułactwa. Które na tej samej ziemi francuskiej kończyło rozpoczęty przed dwoma wiekami cykl wygnańczy. Już nie Lacczańscy szli na tułaczkę, ale ci, którzy szli, byli im z ducha najbliżsi. Ciągłość idei poprzez różnorodność środowisk i postaci. Wysilek ten sam, na inne przerzucony barki.

Jakże harde musiały być te dusze, nie wierzące w ustalony, konkretny stan rzeczy. Zdolne przeciwstawić rachunkowi armat i bagnetów rachunek własnej nieomyślnej wiary. Wpatrzone w przyszłość poprzez odmet współczesności okropnej. Urzeczone ideą. Opętane zbożnym szaleństwem.

Wszakże Andrzej Lacczański był intelektualnie różny od tych następnych pokoleń emigracji. On, pierwszy polski emigrant polityczny, podobny był raczej do ostatniego z pokoleń wygnańczych. Do pokolenia Jacka Białyni. Z pożółkłych kart Mémoires'ów, oprawnych w safian zielony, wyłaniał się zarys tej psychiki tak bardzo pokrewnej, iż niemal jakby współczesnej. Ktoś, co pomimo szpady i peruki, pomimo ceremonialności stylu i ukłonu był jednak bliższy i żywszy, bardziej nowoczesny od bezkrytycznych, cikliwych i wiecznie bezradnych typów szlacheckich XIX wieku. Jacek odgadywał ostrość jego spojrzenia, przenikliwość zimną, nieulekłą. Wyczuwał odwagę widzenia. Odwagę oceny rzetelnej, gardzącej kojącym plasterkiem kompromisowości i samoosłaniania. To był człowiek wieku Oświecenia, myślący jasno i wyrażający się ściśle. Liczący przede wszystkim na samego siebie. Nie łudzący ani siebie, ani innych.

Nie jestem Sarmatą — zaznaczył w pamiętnikach — jak Sarmatami nie byli Kochanowski ani Zamoyski. Sarmatyzm szlachty polskiej oznacza jej upadek. Zejście dobrowolne z areny politycznej.

Po wielokroć powracał Jacek do tych słów dosadnych, głębokich. Porównywał je z kultem tegoż sarmatyzmu, rozpowszechnionym w następnym stuleciu. Z przeoczeniem tej prawdy oczywistej, że Polska w dobie rozkwitu nie była krajem „sarmackim”, lecz strukturą swej umysłowości odpowiadała ogólnej normie zachodnio-europejskiej. Polska Kopernika. Polska Batorego. Polska trzech wielkich Janów: Zamoyskiego, Kochanowskiego, Sobieskiego, którzy kształcili się we Włoszech i w Paryżu i byli Europejczykami w najdoskonalszym tego słowa znaczeniu.

Sarmatyzm się zrodził w wyniku wojen wschodnich i stanowił poniekąd odwet psychologiczny pokonanych na polu bitwy nieprzyjaciół. Jacek zastanawiał się nieraz nad osobliwą właściwością mechanizmu psychicznego, która sprawia, iż uczucia etycznie sprzeczne, jak miłość i nienawiść, w niektórych wypadkach i przy długotrwałym napięciu przynoszą ten sam objaw powolnego upadania się do przedmiotu afektu. Istotą zjawiska w tych wypadkach jest nie co innego, jak napięcie stanu uczuciowego, powodujące przesunięcie przeżyć duchowych, ich koncentrację w płaszczyźnie stałego myślowego obcowania z przedmiotem afektu. Ta koncentracja przeżyć, ich schematyzacja

poniekąd prowadzi z kolei do wykluczenia momentów przeciwnych. Do jednostronności i częstokroć do podświadomego naśladownictwa. Do stopniowego zatem zatracania najbardziej wyrazistych cech własnej osobowości na rzecz pewnego rodzaju symbiozy psychologicznej z przedmiotem przeżywanego afektu. I to nawet wtedy, kiedy w płaszczyźnie naszej świadomości zachodzi właśnie proces walki. Kiedy świadomie rządymy się afektem o wybitnie negatywnym charakterze. Nienawiścią.

Cóż bardziej niezrozumiałego na pozór od owej szarej masy szlacheckiej, która zwycięsko odparła najazdy kozacko-tatarsko-tureckie, już po Beresteczku, Chocimiu i po Wiedniu zaczęła żyć sama z kozacka po turecku? Sarmatyzm? Cóż w nim było z rdzennie rasowych cech polskich? Z ciągłości polskiej kultury obyczajowo-moralnej? Nie kontusz. Nie łeb podgolony. Nie abnegatyzm polityczny, streszczony w okrzyku: „za króla Sasa jedz, pij i popuszczaj pasa”. Nie ciasnota horyzontu myślowego zamykająca szlachcica w kręgu wydarzeń familijno-gospodarskich. Miał słuszość Lacczański, twierdząc, że sarmatyzm szlachty polskiej oznaczał jej upadek. Ale tenże sarmatyzm miał również oznaczać upadek państwa, które wówczas było państwem szlacheckim. Miał w konsekwencjach swoich ostatecznych spowodować, a w każdym razie umożliwić ponowny powrót Wschodu. Pomimo Beresteczka, Chocimia i Wiednia. Tak dalece jest prawdą, że oręż rozstrzyga

chwilowo o granicach. Ale trwałe granice narodu leżą w jego psychice. W tych najgłębszych złożach duchowych, które stanowią istotną treść odrębności narodowej i których nie można odwrócić bezkarnie, choćby się działało pod wpływem niewiaści do wroga i najeźdźcy.

Podniósłszy głowę, w górze na stopniach tarasu ujrzał Andrzej Lacczański Arianę de Beaucaire. Schodziła ku nim przyśpieszonym krokiem i wiatr wieczorny rozwiewał nad czołem kasztanowate jej włosy. Szeleścił chustką jedwabną, zarzuconą luzno na szyję.

Podała bratu policzki i wielkimi, ciemnymi oczyma patrzyła w milczeniu na gościa. Jakby zaskoczona przybyciem tego, kogo oczekiwała przecie od tygodnia. Ale oddech jej piersi stał się naraz nierówny i w głębi źrenic zapaliły się światła.

Skinęła głową i z powrotem poczęła iść ku górze. Ku białym, marmurowym urnom, po których pełzał jeszcze ostatni promień różowy. I Andrzej szedł obok, nie wymówiwszy słowa. Ale rytm jej kroków był mu doskonale znany i Lacczański czuł, że ona idzie z nim. Z nim jedynie. W górę. Ciągłe w górę.

I oto pozostał w tym domu przez dnie i przez tygodnie. Patrzył na blaski Rodanu. Na żółte mury olbrzymiego zamku Papieży. Przebiegał place milczące i ciche podmiejskie osiedla. Gwarzył przy ogniu kominka i słuchał śpiewu Ariany.

Od świtu nad miastem płynął odgłos dzwonów. Dzwoniono z wież kościelnych. Ze szczupłych dzwonnicy klasztornych. Z otwartych drzwi świątyń dobiegał głos sygnaturki. Z pomieszczeń bractw dzwoniły małe loretańskie dzwoneczki. Melodyjnie, srebrzyście, równomiernie. Kolejnością znaną, albo zgodnym chórem.

— Awinion jest miastem Papieży — mówił Sebastian. — Legat papieski rządy tu sprawuje. Rabelais nazywał podobno Awinion „wyspą dzwoniącą“. „Wyspą“, gdyż otoczony jest zewsząd przez ziemie do korony Francji należące. „Dzwoniącą“, gdyż każda uliczka posiada tu własny kościół, klasztor, albo przynajmniej bractwo pobożne, gdzie codzień dzwonią na jutrznię.

Zbliżała się wiosna. Drzewka migdałowe okryły się kwieciami różowym. W zagajnikach nad rzecznymi zaroiło się ptactwem przelotnym, niecierpliwym. Rodan wzbierał i rozlała Durance. Topniały szybko śniegi na północnych wzgórzach. Od południa szły wiatry zamorskie tchnieniem szerokim, namiętym, jak oddech afrykańskiej pustyni przerzucony przez morze zbyt wąskie.

Siadywali we troje na tarasie spadzistym, zwróconym ku rzece kondygnacją schodów. Patrzyli w błękit powietrza rozpięty nad zieleniąjącymi łąkami. W przejrzystość przesłonecznionej przestrzeni, zawieszoną nad rzek rozlewiskiem. Mówili o latach, które dla każdego z nich zbiegły inaczej i oddzielnie. O Flandrii, Polsce, o rodzinnej posiadłości de Beaucaire'ów. Mieszały się sło-

wa i myśli. Uśmiechy i czasem — westchnienia. Ze słów rozstrzelonych tworzyły się harmonie. Jakby rytm wiersza podzielonego na strofy. I nie można było odgadnąć, kto pierwszy rytm ten wynalazł i innym go narzucił.

— Panie — mówiła Ariana — ja nie wiem, co to jest step. Ale myślę, że to jest jakby morze. I człowiek jest jakby żeglarzem, gdy zechce step ten przemierzyć.

— O nie — odpowiadał jej Andrzej. — Step raczej podobny jest do życia: nie wiemy nigdy, dokąd nas prowadzi, choćbyśmy znali kierunek

I mówiąc to myślał o niej i o sobie. Że po to ciągnął w zielony step połtawski, aby nad brzegiem Rodanu odnaleźć sen swój chłopięcy. Że po to z królem szwedzkim przedzierał się do Bender, aby w mieście Papieży usłyszeć jej głos i zajrzeć w oczy ciemne. Zrozumiał teraz, kim jest Kalipso, której wypatrywał tak pilnie na wyspach Egejskiego Morza. Słodki uśmiech Ariany był uśmiechem wróżki i Andrzej, jak Odys, zapomniał o tułactwie swoim.

— Co to jest życie? — pytała go znowu panna de Beaucaire. — Pan, który przebył drogę od władzy do wygnania, od rady królewskiej do samotnych noclegów na stepie, pan musi przecie znać życie.

Ale on potrząsał głową i przeczył.

— Nie wiem — mówił. — My nigdy nie wiemy, czym jest życie. Jesteśmy sami życiem, i wszystko co się staje, staje się przez nas jedynie. Przez nas

przepływa nurt wartki, zmienny wieczyście, wieczyście niepochwytny. Zasobny w troskę, zasobny i w wesele. Ale my nie znamy istoty tego nurtu i nie wiemy, kiedy mu ufać można, a kiedy strzec się należy.

Cienistymi rzęsami nakrywała oczy. Końcami warg chwytała suchy wiatr wiosenny. Jasna kula słoneczna spadała w dół za Rodan, a oni siedzieli jeszcze, zapałzeni w czerwień wieczoru.

Aż przyszło południe ciepłe, niemal skwarne. Z migdałowych drzewek osypały się kwiaty różowe. Pąki platanów strzeliły młodym liściem i Rodan u mostu św. Benezeta płynął spokojną, szafirową falą.

— Życie nie jest stepem — powiedział Andrzej Lacczański do panny de Beaucaire. — Nie jest stepem spalonym i jałowym. Jest raczej puszcza bez dróg i bez ścieżek. Labiryntem ciemnym od drzew bujności i splecionych gałęzi nadmiaru. W taki labirynt wstąpił niegdyś Tezeusz, aby powrócić zwycięzcą. Ariano, czy chce pani utkać nitkę srebrną, abym poszedł i wrócił, jak ów mąż ateński?

Jechali potem na północ kwitnącą doliną Rodanu. Wiosna biegła przed nimi i przygotowywała postoje. Mijali wioski rozsiane po rozsłonecznionych pagórkach. Miasta liczne, białe, o rynkach wysadzanych platanem. Tu drogi były bezpieczne, aczkolwiek w sąsiednich Sewennach wałęsały się resztki powstańczych band camisards'ów. Opo-

wiadano powszechnie o niedawnych walkach. O bratobójczej wojnie wewnętrznej. Pokazywano pogorzeliska, przy pniu wycięte winnice. Szep-tano o nocnych napadach, zasadzkach i podstępach.

— To było straszne — mówił Sebastian de Beaucaire. — Kobiety, starcy, dzieci. Koszule białe. Śmiertelne właśnie koszule. Kto włożył taką *camiso*, szedł i jakby za życia już nie żył. Walczył i ginął śpiewając psalmodie pokutne.

Jechali w ranki słoneczne drogą śródpolną, szeroką. Zrywały się ptaki przed nimi. Pomykała spłoszona zwierzyna. Widzieli łanie na gościńcu leśnym, niefrasobliwe, spokojnie się pasące. Czasem popielata czapla porwała się z grząskich mokradeł. Czasem płowe jastrzębie zatoczyły koło w powietrzu. Potem dzień nadchodził pełen jas-nień świetnych. Pachnący konwalia, falujący zbożem. Zlatywały przepiórki gromadnie. Odzywały się w gajach dzieciół.

Jechali na przemian konno i karocą, nocując po małych gospodach albo na plebanii. Słuchali ~~chętnie~~ gadek, opowiadań. Wypytywali o nowiny z Wersalu.

Mówiono im wszędzie, że już koniec wojny. Że w holenderskim Utrechcie toczą się rokowania od zimy. Wszakże wojska cesarskie posuwają się dalej i Eugeniusz Sabaudzki odgraża się, że z wizytą przyjdzie do Paryża. W Dijon dowiedzieli się nawet, że król jakoby ma opuścić Wersal i udać się z dworem do Blois albo innego zamku nad

Loarą. Ale w Auxerre wiedzieli już, że to tylko plotka i że Ludwik XIV gotów jest raczej udać się nad Somnę, aby wziąć udział w bitwie ostatecznej. Tak oto nie był nikt pewien, czy pokój nastąpi, czy też dalsza wojna, i ten stan niepewności wydawał się ludziom gorszy od najgorszej dycyzji.

— Andrzeju — powiedział Sebastian de Beaucaire — w Wersalu przedstawię cię królowi. Jeśli chcesz oto orężem służyć Francji, niechże król osobiście przyjmie te chęci Polaka.

— Wasza sprawa naszą jest zarówno — odrzekł Lacczański. — I wiem, że nie ja jeden tak myślę. Ale tak myślą ludzie nad Wisłą i nad Wartą. Ci nawet, których oficerowie Flemminga nauczylili chwalić na głos rządu saskie i w dniu imienin Augusta zapalać świeczkę w oknie od ulicy.

VII

— Wie pan? — mówiła pani Ludwika Hornowa zwracając się żywo do Jacka — dokonałam ciekawej ankiety. I to z myślą o panu, chociaż bez pańskiej wiedzy i zezwolenia.

— Dlaczego bez zezwolenia?

— Boby pan nie pozwolił — odpowiedziała śmiejąc się wesoło. — Znam pana. Zaraz by się pan wahał, czy jest to całkiem w porządku. A tak — fakt dokonany i tyle.

— Nie znoszę faktów dokonanych, skoro mnie dotyczą.

— To jest pańskie oficjalne stanowisko — mówiła wpadając w jego ton. — Ale rue Campagne Première to przecież nie Ambasada. Jeśli wypisują tu noty, to tylko noty słowne i przyjazne. Bez miarodajnych podpisów.

Pochylił się i pocałował ją w rękę.

— A zatem niech mi pani opowie o ankiecie.

— O, nie. To trzeba odczytać.

Wstała i z szuflady podręcznego stolika wyjęła mały zeszytek. Przerzuciła stron kilka. Znalazła ustęp zapisany niezbyt związłym pismem.

— Czy chce pan wiedzieć — zapytała — kim jest senator Polko? Z detalami?

Jacek Białynia uniósł się w fotelu.

— Jak to? senator Polko? Pani o Polku przeprowadziła tę ankietę?

— No, widzi pan? — Śmiała się mrużąc lekko oczy. — No, widzi pan? Wszak miałam rację nie uprzedzając pana. Zaraz by pan znalazł tysiączne zastrzeżenia.

Podsunęła mu zeszytek przed oczy. Dostrzegł litery równe, dorodnie rozwinięte. Przewagę inicjałów uproszczonych, nieco sztywnych.

— Tych kilka stron — powiedziała już poważnie — zawiera materiał obfity. Sądzę, że niejeden pisarz zrobiłby z nich znakomity użytek. Proszę tylko posłuchać i zestawzić uważnie trzy kolejne wersje. Zaznaczam, że ankietę ograniczyłam na razie do trzech tylko osób. Naturalnie wszystkie zastrzegły incognito.

Przysunęła się bliżej i oparłszy się łokciem o poręcz jego fotela, zaczęła czytać głosem rozmyślnie monotonnym i suchym:

„Polko (Cezary — Fabian — Agaton) pochodzi z Witebszczyzny. Przez matkę, Totenberg z domu, jest spokrewniony z kurlandzką rodziną baronów Totenbergów. Uczęszczał do korpusu paziów w Petersburgu. Następnie był plenipotentem książąt Golicynów w Rosji środkowej. Odznaczał się zawsze skrupulatną lojalnością wobec władz rządowych. Z książętami Golicynami rozstał się na skutek skandalu. Jednakże nic nie zdołano mu do-

wieść. Gubernator osobiście zarządził umorzenie tej sprawy. Polko był już wtedy człowiekiem bardzo zamożnym i znanym w sferach rządowych".

— No, to jest dosyć przejrzyste — powiedział Jacek Białynia. — Jak strój amerykańskiej „girlaski”.

Podniosła nań oczy jasne, skupione, pytające.

— Niekoniecznie. Pan widzi nazbyt po męsku.

I pochyliwszy się znowu nad zeszytem, czytała w dalszym ciągu:

„Polko, a właściwie Apolko (Cezary — Oktawian — Agaton) pochodzi z Połtawszczyzny. „Apolko” po ukraińsku oznacza poufałe zdrobnienie imienia Apoloniusz, względnie Apolinary. Matka, Totenberg z domu, była córką lekarza, Żyda z Białej Cerkwi. Polko, czy też Apolko uczęszczał do szkoły rolniczej w Czernichowie. Był także na kursach handlowych w Petersburgu. Nieprawdą jest, aby miał się rozstać z księżętami Golicynami, których fortuną zarządzał czas jakiś, na skutek finansowego skandalu. Stary książę Bazyli do końca życia wysoko cenił swego plenipotentę. W okresie wojny Polko zorganizował oddział Czerwonego Krzyża. Plotki powstały w związku z tą ostatnią sprawą”.

— Widzi pan? — wtrąciła. — To nie jest takie proste. Ale istnieje jeszcze trzecia wersja.

„Polko — czytała dalej — a nie Apolko, Ukraińiec z Połtawy, ale właśnie Polko (Nicefor — Fabian — Cezary) jest synem polskiego oficera, zesłanego na Kaukaz, i osetyńskiej księżniczki. Wy-

chowanie otrzymał w Petersburgu na koszt starego księcia Bazylego Golicyna, który żył wtedy z jego matką, ową osetyńską księżną Praskowią. Majątek księcia miał przejść na księżnę Praskowię i jej syna, ale sprzeciwili się temu krewni, też Golicynowie, aczkolwiek z innej linii. Polko (Nicefor — Fabian — Cezary) a nie Ukraińiec Apolko (Cezary — Oktawian — Agaton) zorganizował w czasie wojny oddział Czerwonego Krzyża. Plotki powstały nie w związku z Czerwonym Krzyżem, ale w związku ze sprawą ewakuacji zapasów cukru na Ukrainie. Jednak w tym czasie wybuchła rewolucja.”

— To wszystko? — zapytał, gdy złożyła zeszyt.

— Jak to? Wszystko? Chciał pan więcej?

Zaśmiał się i znowu pocałował ją w rękę.

— No, tak — rzekł. — Czemużby nie? Każda wersja odpowiada psychologii jej autora. Stanowi powieść rodzajową, we współczesnym duchu pojętą. *Vie romancée* Cezarego Polka. Oczywiście każdy autor uważa swą wersję za jedynie źródłową i prawdziwą. Inaczej nie mógłby pretendować do roli historyka osoby współczesnej i żyjącej. Osoby o przeszłości bądź co bądź urozmaiconej i obfitej. Niecodziennej.

Ale ona odsunęła się trochę, urażona tym tonem żartobliwym.

— Tego nie trzeba lekceważyć, panie Jacku.

Zastanowił się. Spojrzał na nią uważnie. Sie-działa na niskim tapczanie z głową o ścianę opar-

ta, z oczyma utkwionymi w kąt przeciwny pracowni. W wycięciu sukni zielonej świeciła szyja delikatnym połyskiem opalu. Drobne dłonie zaplotła u kolan. Zdawała się być naprawdę zatroskaną i bardzo przyjacielską.

Jacek nachylił się ku niej.

— Więc cóż? Dlaczego pani tem się tak przejęła? Cóż na to możemy poradzić? I po co wogóle mamy się tak liczyć z owym senatorem Polkiem?

Mówił trochę bez związku i w zwykłym, utartym szablonie, ale istotna treść jego słów znajdowała się przecie gdzie indziej. Poza ich brzmieniem. Poza etymologicznym znaczeniem. W bezpośrednim kontakcie dwojga ludzi, gdzie słowo bezużytecznym się staje i służy raczej do przyćmienia myśli, niż do ujawnienia jej błysków.

— Pani Ludwiko, myślę, że świat dosyć jest szeroki. Że można go przemierzyć swobodnie bez odnawiania spotkań niepotrzebnych. Tak jest trudno zachować bliskość osób drogich. Dlategożby obecność tych innych miała się stale narzucać? Prześladować nas?

— A jednak sędzę, że tak jest, panie Jacku — odpowiedziała powoli, jakby przemagając opór codziennego słowa. — Ludzie i zdarzenia wloką się za nami jak cienie. Nie możemy się ich pozbyć. To nieprawda, że świat jest szeroki. Świat jest ciasny, jak wnętrze szklanej kuli. Krążymy bez końca w tym samym odcinku rzeczywistości bez możliwości wyjścia na zewnątrz.

Odrzuciła w tył głowę i jej jasne włosy rozsypały się po fiołkowej makacie, rozpiętej nad tapczanem. Ukośny promień słońca przypadł na szczupłe kolana. Ogarnął ręce, ramiona wąskie i bezwładne. Tylko twarz pozostała w półcieniu, zamysłona i trochę znużona. Zarysowana greckimi liniami na tle egzotyecznej makaty.

Przyszło na myśl Jackowi, że przed tygodniem w rozmowie z Mikuliczem wyraził pogląd podobny. „Świat jest mały — powiedział. — Niemal wszyscy słyszą o sobie, spotykają się, znają. W każdym towarzystwie można spotkać kogoś ze znajomych. Najniespodziewaniej. Kogoś, z kim się piło małe jasne na dworcu kolejowym w Kobryniu”. No, tak. I potem jeszcze: „Myślę, że teraz jest trudniej grać fałszowane role. Większe ryzyko i prędzej kończy się komedia. Znajdzie się zawsze ktoś taki, nieoczekiwany przechodzień, co pozna i wygrzebie z kobiałki muchomora”. Wszak było to stwierdzenie faktów tych samych, a jednak jakże różne w ujęciu. Jakże odmienne w sposobie patrzenia na samą treść zjawiska.

Dla niego świat był poniekąd udeptanym placem. Przechodzień — sprzymierzeńcem, druhem, albo przeciwnikiem. Zamkniętość granic nie nużyła go. Nie ciążyła mu ich nieprzekraczalność. Przyjmował z góry ograniczoność rzeczywistości, jak malarz przyjmuje rozmiary swego płótna. Jak architekt — konfigurację terenu. Rozumiał, że wysiłek winien mieć na celu realizację możliwie naj-

doskonalszą, lecz przecie osiągalną. Pracował jak architekt, tworząc rzeczywistość nową w obrębie od dawna ustalonych możliwości. Rzeczywistość ograniczoną, ułomną, ale niewątpliwie własną.

Dla niej natomiast świat był zamkniętą kulą kryształową. Ścianką przeźroczystą, pozwalającą przeczuć ogrom innych nieznanych możliwości. Wewnątrz tej kuli znajdowała się wszelka rzeczywistość znana i konkretna. Rzeczywistość ograniczona, fragmentaryczna, niedoskonała. Poza ścianką — świat inny — niepoznawalny, nieosiągalny dla zmysłów. Dostępny jedynie wewnętrznemu widzeniu człowieka. Cokolwiek działo się tutaj — w płaszczyźnie konkretnego, czuła, że dzieje się szczątkowo i omylnie. Cokolwiek działo się tam — poza ścianką kuli, było niedostępne poznaniu człowieczemu.

Malowała wyłącznie kwiaty i kryształy. Przedmioty najmniej realne. Najbardziej zbliżone do form niematerialnego istnienia. Przedmioty, których byt zdawał się sprowadzać do falowań świetlnych. W zmiennej gamie kolorów i tonacji szukała harmonii wszechrzeczy, jak muzyk jej szuka w skojarzeniu dźwięków. Szafir i fiolet, czerwień i rdzawość stateczną rozkładała umiejętnie na głosy, ni to partię misternego kwartetu. Wplatała zieleni głęboką albo seledyn szlachetny. Roztafiała we mgle liliowej, złociła żółtym niecierpliwym sztychem. Zewnętrzna treść obrazu była obojętna. Zaledwie zaznaczona. Jej miejsce zastę-

powiała treść inna o charakterze abstrakcyjnego doznania.

Była to sztuka zbliżona w założeniach swoich do sztuki średniowiecznych witraży. Do owych symfonii mistycznych, zawieszonych na promieniach słonecznych w oknach katedry. Jakiż kształt konkretny odtwarzały one? Jaką rzeczywistość? Nawet wtedy, gdy tematowo wyobrażały sceny biblijne albo życie błogosławionych i świętych? Szkło nie jest substancją właściwą dla realistycznego odtwarzania życia. Z natury swojej daje ono zarys przeświecony, wiotki, nierealny. Ma w sobie urok wizji. Coś z pozazmysłowego widzenia. I dlatego szkło właśnie stało się ulubionym materiałem owych zbożnych artystów, którzy cel swej sztuki widzieli nie w odtwarzaniu realnych form doczesnego życia, ale w modlitwie wyrażonej barwą i promieniem.

— Pani Ludwiko — mówił Jacek nachylając się ku niej — w życiu nauczyłem się mierzyć z przeciwnikiem. Nauczyłem się także cenić przeciwnika. Niech pani nie za zarozumiałość uważa to, co powiem. Sądzę, że dany przeciwnik nie jest dla mnie groźny.

Spojrzała mu prosto w oczy.

— Pan się myli — rzekła. — Pan właśnie nie ocenia należycie.

— Jak to?

Ale ona mówiła już szybko:

— Pan mierzy ludzi swoją własną miarą. To jest mylne. Pańska miara nie zawsze odpowiada

wymiarom innego człowieka. Nie zawsze uwzględnia jego możliwości. Jeżeli są odmienne. W innej poniekąd płaszczyźnie. Pan rozumie? Miara i obiekt mijają się wówczas nawzajem.

Uderzyła go trafność uwagi, ale przecie nie chciał ustąpić. Nie chciał się przyznać do błędu, o którym sam wiedział od dawna.

— A pani? — zapytał. — Jak pani ocenia te możliwości? W danym wypadku?

Teraz ona pochyliła się ku niemu. Ujęła jego rękę miękkim, dobrym ruchem.

— Panie Jacku, ja znacznie, bardzo znacznie oceniam — powiedziała.

I nie dając przyjść mu do słowa, mówiła dalej prędko i serdecznie:

— Możliwości pana Polka są inne. Zupełnie inne. I dlatego właśnie są znaczne. Pan pochodzi z określonego środowiska i pan posiada określone poglądy. Dla pana jest niemożliwością odmienian się co lat kilka. Płynąć zawsze z prądem, by zawsze być na powierzchni. Pan jest ograniczony w swoich możliwościach. Rozumie pan? Ludzie tacy jak Polko nie znają tych ograniczeń. Są wolni. Całkowicie wolni. Nie znają żadnego wewnętrzного przymusu. To stwarza naturalną przewagę na ich korzyść i oni umieją ją wykorzystać.

Podniosła się. Stała przed nim w ukośnej smudze słońca. W sukni zielonej, głęboko wyciętej na szyi. Jasne włosy rozproszyły się dookoła głowy. Zabłyły metalicznym połyskiem w ciepłej fali świetlnej.

— Żyjemy — mówiła — za szklaną ścianą akwarium. Okrążamy się ciągle i nie możemy wyminąć ostatecznie. Dlaczego pan twierdzi, że świat jest szeroki? Może nim był dawniej, gdy przejazd z Warszawy do Lwowa nazywano podróżą. Teraz nie możemy już uciec w przestrzeń. Skryć się w oddaleniu. I dlatego, aby zniknąć dla innych, ludzie uciekają w kłamstwo.

Wstał również. Zbliżył się do niej. Patrzył przez chwilę w jej oczy, jakby szukając sprawdzianu słów przez nią użytych. Istotnego, bezpośredniego ich sensu.

— W tym jest sprzeczność — rzekł twardo. — Kłamstwo jest niemożliwe w warunkach stałego obcowania. Ludzie, którzy w życiu nie mogą się wyminąć, nie mogą też okłamywać się wzajemnie. Mówię o kłamstwie celowym i skutecznym. O kłamstwie polityków, nie o chorobliwym maniactwie.

Zauważył, że usta jej drgnęły. Pożałował od razu zbyt ostrego tonu.

— Pani Ludwiko — powiedział biorąc ją za rękę — pani ma słuszość i ja mam ją również. Chodzi o wymiar w czasie. To jest zasadnicza różnica. Miara czasu zmienia zazwyczaj wynik naszych sądów. Ustala właściwe winy i zasługi. Metoda kłamstwa zapewnia często sukces, ale nie daje zwycięstwa. Znamieniem zwycięstwa jest trwałość. Wartość ustalona w czasie. Znamieniem sukcesu jest płynność. Efekt bezpłodny w następstwa. Największą trudność w polityce bieżącej stanowi rozróżnienie tych dwóch odmiennych ka-

tegorii powodzenia. Zbyt często i zbyt pochopnie przypisujemy sukcesom znaczenie zwycięstwa. Ich brak jesteśmy skłonni uważać za równoznaczny z przegraną. Ale przychodzi czas i wnosi swoje poprawki. I wówczas ginie sukces, lecz pozostaje zwycięstwo.

Ostatni promień wyslizgnał się z pracowni i szyby okna zapadły w równomierną siność. Siedzieli teraz przy sobie patrząc w obszar ciemny rosnący wewnątrz pokoju. Rozpływał się stopniowo kontur otaczających przedmiotów. Odmieniały się ich kształty pierwotne. Z bezwymiarowej przestrzeni wychylały się płótna obrazów tworząc jedyną realną rzeczywistość. Kwiaty i kryształy o formach fantastycznych, oglądanych na pograniczu stanów snu i jawy. W czasie pomiędzy opadnięciem powiek i zaśnięciem, kiedy przez mózg przewija się swobodnie film niekontrolowanego marzenia.

— Chciałabym malować — mówiła pani Hornowa — na jakimś dalekim atolu. Na wąskim skrawku ziemi biegnącym w dal między morzami. Tam, gdzie człowiek, zawieszony w nieobjętej, lazurowej przestrzeni, zatracą poczucie własnej cieleności. Staje się myślą samą, wkrzewioną w jasność nieba. W przypływ fali morskich. W gwiaździstość nocy słodkich i milczących.

— Czy nie czuje pan, jakim jest ciężarem dostatek, codzienny komfort życia? Jakim jest niewolnictwem nasz materialny dobrobyt? Jesteśmy

od dziecka wprzęgnięci w jego jarzmo. Od lat najmłodszych uczą nas wyrzekać się siebie samych. Poświęcać wszystko nienasyconemu nikczemnego bożka. W imię czego? W imię szczęścia? Czy jego?

— Nauczono mnie, że powinnam mieć ludzi, którzyby pracowali dla mnie. I oto, aby posiadać tych ludzi, muszę pracować ja sama. Nie dla siebie. Dla jeszcze innych. Dla ludzi, których nie znam i których poznać nie pragnę. Dla ludzi, którzy usiłują brutalnie ować moją pracę. Wykorzystać. Wyssać z niej sok mojej duszy. Moją najgłębszą radość lub cierpienie. Wszystko, czym jestem. Mnie samą.

Słuchał jej słów nie patrząc na nią. Nie widząc jej, chociaż doskonale wyczuwał jej obecność. Siedział tuż obok na miękkim, niskim tapczanie z głową tak samo opartą o gładziszne ściany. Równoległe. Bratersko. Jego dłoń opuszczona spoczywała obok tamtej drobnej ręki. Czuł ciepło palców nie dotykanych przecie, a tak bliskich. Przenikanie niewidzialnych falowań, zespolonych z rytmem jego własnej istoty. Ich zgodność wzajemną, zupełną i celową.

Przypomniawszy sobie niedawną rozmowę z księdzem Piotrem Perrault w domu jego brata, pułkownika. „Jesteśmy niewolnikami — powiedział wówczas kapłan. — Niewolnikami pieniądza. Niewolnikami ustroju, który powstał stopniowo w myśl żądań tego tyrana. Materia zawładnęła człowie-

kiem i człowiek służy materii. Najcięższe to zaiste niewolnictwo i poniżające najbardziej."

Jakżeż się to dzieje — myślał Jacek Białynia — że protest przeciw ustrojowi, opartemu o rządy pieniądza, dojrzewa dziś pośród tych jednostek, które w myśl materialistycznej doktryny ekonomicznej powinny czuć się najbardziej związane z danym stanem rzeczy? Książd Perrault? Ludwika Hornowa? Czyż jest to tylko przypadekowa zbieżność? Czy nie ma w tym innej, głębszej i bardziej istotnej przyczyny? Jakiegoś ukrytego procesu społecznego, wytwarzającego równoległe reakcje?

Odwrocił głowę i spojrzał bacznie na siedzącą obok kobietę. Przyjrzał się jej regularnemu greckiemu profilowi. Prostej linii czoła i nosa. Ustom wąskim, cokolwiek rozchylonym. Delikatnej, całkowicie obnażonej szyi.

Przecie to kwiat rasy uprzywilejowanej — pomyślał. — Całe pokolenia musiały przeminać, aby mogła powstać ta głowa.

Wszakże ona mówiła znowu cicho, melodyjnie:

— Chciałabym odjechać na jakiś atol daleki. Zapomnieć, że są miasta, pełne luksusowych samochodów i przepelnionych hoteli. Nie widzieć światła latarni w noc na wysłizganym asfalcie. Nie słyszeć muzyki radia na skrzyżowaniu prostych, monotonnych ulic. Nie słyszeć radia. Nie słyszeć.

— Móc godzinami patrzeć, jak drzewa kołyszą się na wietrze. Jak pełźnie owad ostrożny po gładkiej, lśniącej łodydze. Jak zastęp mrówek

brunatnych przeciąga ścieżką wśród trawy. Jak krąży pszczoła gorliwa nad kwitnącymi ziołami.

— Trwać z odrzuconą głową i przymkniętymi oczyma, gdy promień słońca spada prostopadłe. Oddychać równo, miarowo oddechem łąki nad rzecznej, oddechem leśnej polany. Budząc się czuć rosę we włosach i posmak wiatrów słonych na łakomie rozchylonej wardze.

W liliowym zmierzchu wieczornym wypełniającym pracownię płynął jej głos rytmicznie i głęboko. Rósł w śpiew. W bezwiednie powiązane strofy. Zespałał się z mrokiem łagodnym, z fantastycznym światem zawieszonych i rozrzuconych obrazów, aby zaginać u okna. Wsiąknąć w jego siną, nieprzekraczalną powierzchnię. We wrogość olbrzymiego miasta i w bezmiar nocy dalekiej, naddciągającej od wschodu.

Oto więc — myślał Jacek — najgłębsza tęsknota współczesna. Tęsknota tych, którym jest dane mieszkać w domach ze szkła i żelaza, używać samochodów i bawić się w modnych dancinгах. Na toż w wysiłku najtwardszym żmudziły się pokolenia, aby osiągnąwszy dobrobyt i kulturę zatęsknić naraz do samotnego atolu?

Lecz Jacek wiedział wybornie, że zjawisko to nie jest czymś nowym i niezwykłym. Że wielokrotnie na przestrzeni dziejów zjawiała się ta nagła tęsknota za życiem prostym w bezpośrednim obcowaniu z naturą. Że ogarniała tych właśnie, którzy na pozór byli bardzo szczęśliwi, najbardziej

uprzywilejowani. Jakby przesył życia, zbytńia łatwość uciech i dóstków budzić miały głód rze- czy pierwotnych, surowych i zbawczych. Niezbę- dnych dla odrodzenia jednostki i koniecznych dla zachowania twórczych sił rasy.

Każda epoka schyłkowa tęskniła za swoją wła- sną Tebaidą. Każda zbyt wybujała i zbyt zma- terializowana cywilizacja wytwarzała w pewnym momencie prądy odrzucające osiągniętą stopę życia. Dążące do moralnego wyzwolenia czło- wieka za cenę wyrzeczenia i samotności. Nie jest bynajmniej przypadkiem, że wzory zakonnego ży- cia powstały właśnie w środowisku cywilizacji aleksandryjskiej. Że najbogatsze, najwykształ- ceńsze miasto ówczesnego świata stało się macie- rzą, z której wyszły roje ubogich pustelników. Ogrody Epikura wydały anachoretyzm chrześci- jański. Zrodziły zbawczą cierpkóść wyrzeczenia z tego samego szczepu, który przez wieki wyda- wał najwyższy wykwint i najwyszukańszą radość ziemskiego istnienia człowieka.

— Pani Ludwiko — mówił Jacek nachylając się ku niej — dlaczego nęci panią ta ucieczka? Bo wszak to jest ucieczka. Nie odwrót nawet, ale pęd na óslep. Z pracowni paryskiej w głąb mórz Polinezji. Alain Gerbault uciekł tak w swej łodzi. Przed nim Gauguin szukał samego siebie na Tahiti. Szukał rozpaczliwie swej sztuki, której nie mógł już znaleźć gdzie indziej. Cóż dzieje się z nami? Z naszą obecną, wspaniałą cywiliza-

cją? Czyż będziemy wszyscy wędrować na sa- motne wyspy?

Podniosła nań oczy jasne od skupionego ma- rzenia.

— Nie — odpowiedziała cicho. — Nie uciek- niemy stąd wszyscy. Pozostaną na pewno miliony. Ale ci, którzy uciec potrafią, odnajdą skarb utra- cony: tajemnicę samotności i milczenia.

Wyciągnęła ręce przed siebie w zgęszczony zmierzch wieczorny.

— Och — mówiła znowu — któż z nas wie dzisiaj, czym jest samotność i milczenie? Może mnich jakiś, jakiś pokorny braciszek. Może on jeden mógłby nas nauczyć, jak się osiąga praw- dziwy spokój ducha. Jak się zdobywa radosną jasność wewnętrzną.

Było już prawie ciemno. Płaszczyna okna świeciła granatowym połyskiem. Zza węgła szafy wychylały się cienie zuchwałe, napastnicze. Poga- sły barwy obrazów. Okryły się mgłą jednostajną. Zatracaąc swe rzeczywiste rozmiary, wydawała się teraz pracownia wielką, zmierzchłą pustką. Ułamkiem innej tak samo mrocznej pustki ko- smicznej, rozpiętej w górze na przesłach gwiazd dalekich. Jakże nieskończenie dalekich.

— Osiągnęliśmy — mówiła Ludwika Horno- wa — mniej, aniżeli nam się samym zdaje. Kie- dyś, idąc za miastem, spotkałam dziewczynę cy- gańską. Siedziała nad brzegiem strumyka, zapa- trzona w migotanie fali. Usiadłam obok. Zaczę- łyśmy rozmawiać. Zapytałam, skąd ona po-

chodzi. Wówczas dziewczyna wskazała ku wschodowi ręką. Nie umiała wymienić kraju ani miejscowości. Zapytałam, dokąd idzie. Dziewczyna zaśmiała się tylko. Wskazała jak poprzednio w przestrzeń ku stronie zachodniej. I oto uczułam gwałtowną chęć pójść tak jak ona. Bez celu. Ku zachodowi. W nieznane. Boso i beztrosko. I gdy zrozumiałam, że przecie dla mnie jest to niemożliwe, płakałam. Tak, płakałam.

— Sądę, że w każdym z nas tkwi ten instynkt wędrowniczy — odpowiedział Jacek. — Instynkt praojców. Czymżeż jest dwieście pokoleń osiadłych (co najwyżej) w stosunku do tysięcy ludzkich pokoleń, które wędrowały przez niezmierzone puszcze i pustynie? Jaskółka i żóraw odnajdują drogę, którą leciały ich pokolenia poprzednie, gdy lądy Europy i Afryki nie były jeszcze oddzielone morzem. Stanowi to, na pokolenia licząc, stokrotnie dłuższy okres czasu. A przecie ów instynkt do dziś żyje w ptaku. Żóraw i jaskółka muszą odlecieć na jesieni. Tą samą właśnie nieomylną drogą.

— W każdym z nas żyją tysiące poprzednich pokoleń życiem utajonym, lecz przecie rzeczywistym. W strachu bezprzyczynnym, w dziwnej zjawie nocnej, w grozie opętania powraca często przeszłość, która nie jest indywidualną przeszłością jednostki. Jest to przeszłość pokoleń odległych, zaginionych od dawna dla historii. One to w pewnych warunkach wyłaniają się na powierzchnię naszej osobowości. Szczątkowo. Chao-

tycznie. Jak cienie wizji Dantejskiej. Czasem — jak wulkaniczna irrupcja. W kataklizmie.

— Wszakże nie tylko przeszłość jest w nas. Nie tylko te pokolenia umarłe. Jest w nas również przyszłość. Pokolenia, które nadejdą. Ludzkość pierwotna przekazała nam nie tylko swe lęki i cierpienia. Przekazała nam również swoją wolę życia. I ta wola życia stanowi najpotężniejszy czynnik naszej cywilizacji. Ręką przyszości. Zarodź jutra.

Słuchała z głową pochyloną, z twarzą zasłoniętą rękami, dziwnie onieśmielona i słaba. Czuła się dzieckiem nieledwie. Małą, bezbronną dziewczynką, którą ktoś dorosły uspokaja i pociesza. Jak wówczas, gdy nocą budziła się ze snów niespokojnych w ciemnej pustce dzieciennego pokoju i nie mogła zrozumieć, skąd się tu wzięła i co się stało, że żyje. Słowa Jacka dobiegały jakby z odległości, choć czuła jego bliskość bezpośrednią. Rozumiała nie tyle ich treść, co właśnie brzmienie samo. Opanowane, mocne, skrzepłe w sobie. Treść obojętna była. Natomiast brzmienie stawało się coraz bliższe, zrozumialsze. Kołysało. Ogarniało. Krzepiło. Poczwała w nim siłę zrównoważoną, ukrytą. Pewność. Pewność właśnie, która rozstrzyga, cokolwiek sporne było i niejasne. I naraż ruchem bezwiednym położyła mu głowę na piersi.

VIII

Skoro po powitaniu okazało się, że na śniadanie przybędą również obaj panowie Moussa-Moussac, przychylność senatora Polka dla Maurycyego Monitza przeszła nieledwie w podziw i uwielbienie.

— Kochany panie Maurycy — rzekł, jeszcze raz ściskając go za rękę — spełniłeś pan nadzieje swoich dawnych przyjaciół. Byłem zawsze pewien, że wszystkie drogi otwarte są przed panem. Jakże się cieszę, że tak istotnie się stało.

— Cóż? — odpowiedział Monitz. — Trzeba pracować. Tylko praca prowadzi do celu.

Niedbałym ruchem wskazał słuchawkę telefonu.

— Ale teraz — dodał — wyłączyłem aparat. Muszę odpocząć. Zresztą nie oczekuję żadnych zmian kursów przed popołudniem jutrzejszym.

— Tak, tak — potwierdził Polko. — Rozumiem dobrze, czym jest taka praca. Jak wyczerpująca być musi. My wszyscy, panie Maurycy, jesteśmy fanatykami pracy. Uczestniczymy w tym fascynującym wyścigu.

Zapalił papierosa i szukając popielniczki rozejrzał się po gabinecie. Gabinet był urządzony

wykwintnie, w guście najbardziej nowoczesnym. Żaden historyczny przeżytek nie mącił doskonałej całości, zaprojektowanej specjalnie dla Maurycyego Monitza przez firmę „Luksus i Epoka” posiadającą filie w Hamburgu, w Buenos-Ayres i w Chicago. Cena samego projektu wynosiła w tej firmie dla normalnego czteropokojowego mieszkania 60.000 franków. Projekt obejmował fotografie i pomiary wewnątrz w stanie pierwotnym, prace artystów zaangażowanych przez firmę i wreszcie w wyniku końcowym dwanaście plansz kolorowych, przedstawiających te same wnętrza po ich przekształceniu w myśl zaleceń firmy. Realizacja projektu kosztowała oczywiście oddzielnie i nigdy nie była niższą od jego wielokrotnie powiększonej ceny. Dawała jednak przywilej polegający na wpisaniu do księgi stałych klientów, wśród których figurowały nazwiska najznakomitsze w zakresie bankowości i giełdy.

— Nie znoszę historii — powiedział Maurycy Monitz biegnąc wzrokiem za spojrzeniem pana Polka. — Nie chcę być Ludwikiem ani napoleońskim marszałkiem. My, ludzie nowocześni, potrzebujemy wypowiedzieć się sami. Firma „Luksus i Epoka” przeprowadziła tutaj całkowitą instalację.

— Tak — przyznał pan Polko rozcierając nogą puszysty dywan w czarną i różową kratę. — Jest to niewątpliwie bardzo dogodne. Dawniej nie myślano o tym.

— Dawniej — rzekł Monitz — nie myślano wogóle o kliencie. To myśmy musieli wyszukiwać każdy szczegół. Od kanapy w salonie do popielniczki i abażuru na lampę. Co do mnie, wskazałem tylko miejsce na telefon. Wszystko inne było przewidziane w projekcie. Najdokładniej.

Wszakże panowie Moussa-Moussac spóźniali się cokolwiek. Konferencja w poselstwie republiki Haiti, skąd mieli tu przybyć, przeciągnęła się widocznie i Maurycy Monitz upatrywał w tym oznakę powodzenia potężnych finansistów.

— Szybko się kończą te tylko konferencje, na których nie zależy nikomu. Przy konkretnej możliwości porozumienia nieprzewidziane trudności nasuwają się same i to powoduje zwykle nieznaczne opóźnienie.

— Ma pan słuszność — odrzekł pan Cezary. — Właśnie doświadczam tego osobiście.

Monitz włożył monokl i przyjrzał się gościowi.

— Czy o dużą sumę chodzi? — zapytał.

Miał zwyczaj mówiąc o interesach stawiać pytania trochę nieoczekiwane. Niedyskretne jednocześnie i ściśle, jak zapytania lekarza. Każdą rozmowę taką traktował jako rozgrywkę i dążył do celu przez zaskoczenie i nagły chwyt techniczny. Dawało mu to prawie zawsze przewagę. Pozwalało na badanie sytuacji bez angażowania własnego stanowiska. Lecz i pan Polko znał się na tej metodzie.

— Pan z jaką firmą pracuje? — odpowiedział zapytaniem na zapytanie.

— Z jaką firmą? — powtórzył Monitz, jak echo w głębi groty.

Sięgnął do kieszeni. Zapalił papierosa. Spojrzał na zegarek.

— Panowie Moussa-Moussac powinni już przyjechać — stwierdził z uśmiechem pogodnym.

Wtedy pan Cezary musiał przyznać, że Maurycy Monitz należy istotnie do najwyższej klasy ludzi interesu. Tak, niewątpliwie. Ten sympatyczny chłopiec z Petersburga wyrobił się i dokształcił. Z taktem właściwym najwybitniejszym pośrednikom przemilczał całkowicie gotowość pośredniczenia. Cekał, aż o to zostanie poproszony. Wówczas... No, tak. Wówczas zapewne wysunie swoje warunki.

— Kochany panie Maurycy — rzekł senator ciepło i serdecznie — moje sprawy dotychczas nie są wyjaśnione. Ociagam się. Nie zależy mi na pośpiechu. Paryż (pan to najlepiej rozumie) nie jest bynajmniej dręczącym miejscem zesłania. Być może jednak, że będę zmuszony zwrócić się do pana o pewne ułatwienia. O radę. Jako stary znajomy, drogi panie. Pan pozwoli?

Ale Monitz już wiedział, że jest nieodwołalnie potrzebny. Wyprostował się godnie w fotelu i poprawił monokl.

— Będę się cieszył, panie senatorze. Będę ogromnie się cieszyć — rzekł sucho.

Panowie Moussa-Moussac przyjechali rozdrownieni i głodni. Umowa z Haiti została wreszcie

zawarta. Właśnie ją podpisali i dlatego musieli spóźnić się cokolwiek. Sekretarz przygotowuje obecnie artykuły dla prasy. Od jutra cały Paryż będzie o tym mówić, gdyż umowa jest jednocześnie wydarzeniem politycznym.

— Haiti — mówili jednocześnie obaj bracia — to kraj przyszłości. Kraj wielkich możliwości. Tam murzyn do dziś pracuje za 60 centimów i szklaneczkę rumu. Dywidenda w tych warunkach powinna rość, jak młode drzewko w ogrodzie. W starej Europie trudno już o naprawdę dobre interesy. Wszystko tu wyczerpane, skończone.

Smarowali chlebki na przemian masłem i kawą i jedli szybko, jak wódz po wygranej batalii. Ich twarze żółte o nabrzmiałym sklepieniu czoła i mocnych szczękach bokserkich schylały się nad talerzem, napełnionym starannie. Wówczas czerep połyskiwał swą doskonałą golizną i chrząścił sztywny kołnierzyk na krótkiej, zwężłej szyi.

— Haiti to państwo murzyńskie — wtrącił Maurycy Monitz. — Ma w herbie dwie armaty, palmę i na niej czapkę frygijską. Symbolicznie oznacza to nieulekłość armii, bogactwo kraju i jego szczytne tradycje republikańskie.

Roześmiali się wszyscy. Po trosze z trafności dowcipu, po trosze, aby dać dowód wzajemnej życzliwości. Po czym rozległ się znowu suchy trzask skorup langusta i bulgot wina nalewanego w kieliszki.

— W Europie — mówili znów jednocześnie obaj panowie Moussa-Moussac — koszt produkcji nazbyt są wysokie. Udaremniają wszelkie poczynania. Przekreślają po prostu twórczość kapitału. Podatki, świadczenia socjalne, robocizna. Te trzy pozycje pochłaniają całą niemal dochodowość przedsiębiorstwa. Marża, pozostała dla zysków, kurczy się nieustannie. Pomimo przejściowej poprawy koniunktury należy się liczyć ze stałą nieopłacalnością produkcji.

Przełknęli po nowym kęsku różowawego mięsa skorupiaka, doprawili sos i kosztując mrożonego Chablis stwierdzili raz jeszcze swój pesymistyczny horoskop:

— Tak jest, panowie. Należy się liczyć z nieopłacalnością produkcji jako ze zjawiskiem stałym dla Europy. Należy z tym się liczyć na serio.

— Cóż więc pozostaje uczynić? — zapytał przezornie pan Polko.

— Wycofać się — odpowiedzieli zgodnie obaj bracia.

Ale pan Cezary nie rozumiał ich myśli. Panowie Moussa-Moussac nie wyglądali bynajmniej na dobrowolnych rentierów. Spojrzenie ich wschodnich oczu było zdobywcze i śmiałe. Przed godziną jeszcze zaangażowali się w nowe przedsiębiorstwo. Cóż mogło oznaczać to zdanie? Chyba nie rezygnację.

— Jak to? — zapytał senator. — Wycofać się? Wycofać się z interesów?

— Tego nie powiedzieliśmy — odparł starszy z braci. — Wycofać się, to znaczy po prostu wycofać się z Europy. Ze starej, głupiej Europy, gdzie już i tak niewiele dałoby się uczynić.

Położył widelec, poprawił rozłożoną serwetę i mówił dalej dobitnie i rzeczowo:

— Jeśli w Europie składowe czynniki produkcji uległy zmianie na niekorzyść kapitału, to przecie tak nie jest gdzie indziej. Azja, Afryka, częściowo nawet Ameryka są w stanie zapewnić znaczną dochodowość. Racjonalny przyrost pieniądza. Szeroką marżę zysków. Proszę zwrócić uwagę, że kraje te nie tylko pod względem bogactw przyrodzonych przewyższają znacznie ubogą Europę. (Tu zniżył głos i wpatrzył się bacznie w pana Polka.) Proszę zwrócić uwagę — powtórzył porozumiewawczo — że warunki najmu nie podlegają tam krępującym ograniczeniom i przepisom. Otóż jestem zdania, że ten ostatni moment będzie stanowić w przyszłości o ruchu kapitałów. Pieniądz z reguły szuka taniego robotnika. To jest istotą kapitalizmu.

Zaledwie skończył, gdy młodszy pan Moussa-Moussac takim samym ruchem położył swój widelec i ciągnął dalej zajmujący wykład:

— Rezerwy bogactw pozaeuropejskich są ogromne. Wszakże najważniejszym czynnikiem jest taniość tamtejszej produkcji. W Europie trzy pozycje: podatki, świadczenia i koszt robotniczy pochłaniają niemal całkowicie dochód przedsiębiorstwa. Poza Europą i Ameryką Północną, która

gospodarczo odpowiada systemowi europejskiemu, kalkulacja przedstawia się zgoła odmiennie. Podatki są nieznaczne. Świadczenia odpadają w zupełności. Koszt robotniczy stanowią zaledwie ułamek przeciętnych płac białego robotnika. Wszystko to zmienia zasadniczo rachunek. Przywraca rentowność. Wynagradza znakomicie ryzyko i inicjatywę kapitalisty.

Pan Polko był wprost olśniony. Jasność i ścisłość tego rozumowania działały nań mocniej od wina. Czuł się zmuszony przyznać wobec siebie samego, że jednak w Paryżu można się wiele nauczyć i skorzystać. Ludzie patrzą tu szerzej i myśłą bardziej generalnie. A przy tym umieją wyciągać z obserwacji odpowiednie wnioski. Gdyby nie obecność służby, krzątającej się cicho za plecami gości, pan Cezary byłby gotów uściskać znakomitych finansistów. Ot, tak prostodusznie i gorąco, jak ściskali się niegdyś dobrani przyjaciele przy stole biesiadnym w Kazaniu albo w Tule.

— Więc szanowni panowie przypuszczają — zapytał wnikliwie — że nastąpi emigracja kapitałów? Przesunięcia masowe ku nowym zasięgom działania?

— Nie tylko przypuszczamy — odpowiedzieli jednocześnie obaj bracia — ale jesteśmy tego pewni.

Wszakże ostatni jakiś szczegół wydał się panu Polkowi za mało wyjaśniony. Odsunął pusty talerz i rzekł powoli, aby nadać słowom swoim szczególniejszą wagę:

— Panowie jednak pozwolą, że zwrócę ich uwagę. Jeśli kapitały skierują się ku krajom zamorskim (do Azji przypuśćmy, która dzięki temu z odbiorcy przekształci się na producenta), to gdzie się znajdują nowe rynki zbytu? Kto wchłonie tę nową kolosalną produkcję?

Na mięsistych wargach panów Moussa-Moussac zjawił się uśmiech wzgardliwy.

— Jak to, kto? Czy pan się nie domyśla? Naprawdę? Europa!

Pan Polko doznał uczucia, jakby krzesło rozsłabało się pod nim, a on nie mógł jednak podebrać się na nogi. Zmrużył oczy.

— Przecie Europa ma swój własny przemysł — bronił się. — Własną produkcję.

— Cóż z tego? — napierali tamci groźnie i zwycięsko. — Cóż z tego? Produkcja europejska zatracza zdolność konkurencji. Jest droga. Kapitał europejski może stworzyć w Azji przypuśćmy, skoro o niej pan wspomniał, produkcję o wiele tańszą. O wiele dostępniejszą. To nie tylko wzrost dochodowości kapitału, a zatem zysk przedsiębiorcy. To także, proszę pana, obniżenie cen do niebywałego poziomu, a zatem zysk nabywcy. Produkcja azjatycka, przypuśćmy, może liczyć na zdobycie rynków europejskich. Tak jest. Niewątpliwie może liczyć na to.

Geograficznie Europa nie jest samodzielnym lądem, lecz częścią innego, znacznie większego kontynentu. Prymat Europy jest zjawiskiem sto-

sunkowo niedawnym. Jeszcze w okresie wczesnego Renesansu kultura europejska była jedynie współrzedną z kulturą Indii, Chin, Persji albo Japonii.

Przewagę swoją uzyskała Europa przede wszystkim dzięki rozwojowi techniki. Nasza dzisiejsza kultura jest w głównej mierze kulturą techniczną. W innych dziedzinach twórczości postęp jest o wiele mniej widoczny. W niektórych zaś, jak na przykład w dziedzinie obyczajowo-moralnej może być nawet podawany w wątpliwość.

Kultura techniczna z istoty swojej jest najmniej związana z określonym typem ludzkim. Z przeszłością, wierzeniami, z życiem rodzinnym i osobistym człowieka. Aby pojąć katedrę gotycką, trzeba urodzić się katolikiem. Aby opanować mechanizm samochodu, dość jest przejść odpowiedni kurs praktyczny. Murzyni są znakomitymi szofarami. Protestant, najbardziej wykształcony, nie potrafi namalować Madonny.

Nie ma żadnego powodu mniemać, aby kultura techniczna Europy miała pozostać na długo jej przywilejem wyłącznym. Piętnem odrębności, tajemniczym słowem Sezamu. Europa dzięki technice przeprowadziła ekspansję światową, ale ta ekspansja z kolei spopularyzowała technikę. Azjatycka pustynia zna już samochody, a przelot samolotu nad puszcza afrykańską nie jest osobliwym zjawiskiem.

Narody, które przyjęły od nas karabin i gramofon, nie zawsze chcą się pogodzić ze swoją rolą

odbiorców. Zasada samowystarczalności gospodarczej łączy się u nich z ideą narodową, a często nawet wyprzedza tę ostatnią. I one również chcą się „cywilizować”. Posiadać własne fabryki i wytwórnie. Marzą o chwili, kiedy „murzyn murzyńskim samolotem będzie latać nad murzyńską ziemią”.

Kontynenty pozaeuropejskie mają dwojaką przewagę nad starą Europą: są znacznie od niej bogatsze i mają ludność znacznie od naszej uboższą. Z punktu widzenia techniki przemysłowej oznacza to taniość surowca i taniość robocizny. Jest paradoksem historii, że kultura techniczna zrodziła się i rozwinęła właśnie w Europie, zamiast objąć inne, bardziej podatne kraje. Wytworzenie jednak tej kultury nie stwarza bynajmniej monopolu dla niej. Każdy wynalazek, wzięty oddzielnie, może być zabezpieczony przez patent. Nie ma jednak patentu dla całokształtu wynalazków i ulepszeń, tworzących cywilizację współczesną. Eksporter jest nie tylko kupcem, lecz i nauczycielem zarazem. Od pojętności ucznia — nabywcy zależeć będzie jakość przyszłego naśladownictwa. Nie łudźmy się, pojętność ta w wielu wypadkach dorównywa, a nawet nierzadko przewyższa przeciętną pojętność ludzi naszej rasy.

Warunki powojenne wytworzyły w Europie, a także w Ameryce Północnej zjawisko nowe, coraz częściej spotykane: nieopłacalność produkcji. Wprawdzie kapitał nadal rentuje, ale udział właściciela w dochodowości przedsiębiorstwa jest co-

raz mniejszy. Kapalista jest więc coraz mniej zainteresowany, coraz wyraźniej zdaje sobie sprawę, że bieg wypadków zmierza do wyzucia go z dochodów przy pozostawieniu jedynie zarządu przedsiębiorstwa. *Proprietas nuda*, mało powabna, a często uciążliwa. Dlatego wycofanie kapitału leży w bezpośrednim interesie właściciela i z tym objawem coraz bardziej należy się liczyć.

Warunki, które w krajach kultury europejskiej spowodowały nieopłacalność produkcji, nie istnieją, lub istnieją w nierównie mniejszym stopniu na innych kontynentach. Wytwarza to siłę atrakcyjną tych krajów w stosunku do kapitałów ruchomych i nie kontrolowanych. Podstawowa zasada kapitalizmu: prawo nieograniczonej własności umożliwia każdą operację finansową bez względu na jej walor społeczny. W tych warunkach wędrówka kapitału w pogoni za większą dochodowością, a właściwie za wyższym zyskiem przedsiębiorcy jest zjawiskiem funkcyjnym ustroju. Wynika z logiki rzeczy.

Od czasu odkrycia Ameryki Europa koncentrowała kapitał światowy. To właśnie wyjaśnia pozorny paradoks powstania kultury technicznej w Europie. Inne lądy posiadały większe bogactwa przyrodzone i liczniejsze zastępy robotnicze, ale Europa jedna posiadała Pieniądz. Obecnie, po okresie koncentracji nadchodzi okres dyfuzji kapitałów. Europa już nie przyciąga pieniądza. Przeciwnie, pieniądz wymyka się z Europy. Stopniowo, nieznacznie, lecz stale. Powraca, skąd przy-

szedł. Skąd go przywlokły hiszpańskie, holenderskie, czy wreszcie angielskie okręty. Ale powraca tam zasobny w swe europejskie zdobycze. W technikę. W to, co myśmy przywykli uważać za sprawdzian kultury europejskiej i synonim jej niewątpliwej wyższości.

Rezultatem ucieczki pieniądza jest jego drożyzna, połączona ze spadkiem cen, czyli z dalszym wzrostem nieopłacalności. Rezultatem napływu pieniądza do krajów pozaeuropejskich jest ich rozbudowa techniczna, umożliwiająca ekspansję gospodarczą. Ekspansja ta, opierając się na wyższej skali bogactw przyrodzonych i na niższych obciążeniach produkcji, posiada naturalną przewagę konkurencyjną. Może współzawodniczyć z produkcją europejską nie tylko poza Europą, lecz nawet w Europie. Od dwustu lat Europa była pochłonięta sprzedażą swych wyrobów. Od lat stu narody europejskie walczyły między sobą o rynki zbytu. Może niedalekie są czasy, kiedy życie stwierdzi odwracalność tego procesu. Kiedy do portów europejskich zamiast galer ze złotem coraz częściej zaczną zawijać okręty z ładunkiem takich zamorskich fabrykatów.

— Ha-ha-ha — śmieli się głośno panowie Moussa-Moussac gruchocąc kości indyka. — Ha-ha-ha! A przecież to jest żart nieledwie. Niele-dwie dowcip z dobrej współczesnej komedii. Zawija taki statek do portu w Marsylii albo w Hawrze. Ładunek? Osiemnaście milionów. Pieprz?

Cynamon? Bawełna? Nie! Nie! Buciki. Pantofelki damskie! Najmodniejsze. Zgrabniutkie. We wszystkich kolorach i odcieniach. Po piętnaście franków za parę. Do wyboru. Rekord! Rekord światowy! Wewnątrz każdego pantofelka adres nowej firmy: „Bracia Moussa-Moussac. Szanghaj. Chiny”. Po tygodniu cały Paryż nosi te pantofelki. Miliony pięknych Francuzek obute ręką Chińczyka. Najtaniej. Najmodniej. Ha-ha-ha!

— Ach, to jest pyszne — zachwycił się Monitz. — To jest wprost niezrównane. Ile można zarobić na takiej parze bucików? W przybliżeniu?

— Pięć franków na piętnaście. Trzydzieści trzy procent brutto. Ładunek daje zysku na czysto sześć milionów — odpowiedzieli znakomici finansisci.

Pan Cezary Polko odrzucił w tył głowę i przymrużył oczy. Myśl cudowna, twórcza zabłysła mu w tej chwili. Postanowił pójść za głosem wewnętrznego natchnienia. Wykorzystać wyjątkową sposobność.

— Myślę — rzekł chłodno, zupełnie już opamowany — że dla trzydziestu trzech procentów zysku nie trzeba do Szanghaju jeździć. To nie jest taki ideał.

Tamci spojrzeli nań i naraz przestali się śmiać. W ich oczach wschodnich o kształcie rozplaszczonego migdału pojawiła się jednocześnie ciekawość i zdumienie. Przez chwilę krótszą od ułamku minuty podejrzewali, że Polko zadrwił z nich niegodnie. Ale on siedział skupiony, uroczysty,

z oczyma utkwionymi w jakąś dal niezmierną. Jakby wpatrzony w cudowną wizję sald i podsumowań. W objawienie niezawodnej, jak matematyczny pewnik, kalkulacji.

— Jak to? Co pan powiedział? Czy na serio?

Żółte twarze na krótkich, zwięzłych szyjach pochyliły się w stronę senatora. Rozchyliły się wargi mięsiste w pytająco proszącym uśmiechu. W spojrzeniu czujnym, jak spojrzenie strzelca, zabłysła wyostrzona obserwacja.

— Ach, nie — powiedział obojętnie pan Cezary. — Ja tylko tak wspomniałem mimochodem. Nie chciałem panom przeszkodzić. Więc przepraszam.

Schylił się nad talerzem i ujmując szczypcami szparagi maczał je melancholijnie w sosie śmietanowym. Przełykał gorzką i słodką i odkładał w skupieniu łykową nasadę. Wyglądał jak człowiek, który wie, że mimo woli popełnił niedyskrepcję, i nie może sobie tego darować. Młodzieńcom w tych wypadkach udziela się nagany.

— To jest Beaune, 1889 — powiedział Monitz bardzo zwięźle.

Z konieczności trzeba było zmienić temat rozmowy i panowie Moussa-Moussac chcąc nie chcąc musieli się zainteresować smakiem wybornego wina. Rok 1889 dla Côte d'Or był rokiem wyjątkowym. Dzięki znakomitym warunkom atmosferycznym wino z tego zbioru uzyskało charakterystyczny aromat i tężyznę. Tylko Nuits Saint Georges 1897 mogło z nim walczyć o lepsze.

— Pozwolę sobie tutaj zauważyć — mówił gospodarz zwięźle i dowcipnie — że jednak Europa ma swe dobre strony. Panowie, ja stoję w obronie Europy. Ta starsza dama ma swe trwałe wdzięki. Wino jest wszędzie, ale dobre wino tylko w Europie. Wszędzie istnieje to, co pospolicie kuchnią nazywamy. Murzyn nad kamiennym ogniskiem piecze antylopę. Eskimos zakopuje do lodu poć wieloryba. Panowie, czy to jest kuchnia? Nie, to jest tylko jedzenie. Tylko wiekowa kultura kulinarna mogła wydać geniusz Brillat-Savarin.

Przechylił się na krześle. Okrążył ruchem wskazał urządzenie jadalni.

— Albo wewnątrz współczesne? — ciągnął uroczyście. — Połączenie zdobyczy technicznych z celowością i gustem. Muzułmanin siada w kucki na swoim dywaniku. Japończyk przesuwając bez końca jedwabne parawany. Współczesny Europejczyk telefonuje do firmy (na przykład „Luksus i Epoka”, pierwszorzędna), która opracowuje dla niego szybko i dokładnie całość pomyślaną gustownie i praktycznie. Od klamki do krajobrazu. *Moderne* z wykrzyknikiem. Pan przyzna (zwrócić się uprzejmie do starszego z braci), że zamówienie na Szanghaj nie byłoby celowe?

Zaśmieli się wszyscy i zaczęli mówić o kobietach, gdyż stało się jasne, że pomiędzy Maurycym Monitzem i Cezarym Polkiem panuje porozumienie, aby w obecności panów Moussa-Moussac nie poruszać spraw zawodowych, a w szczególności

tej zagadkowej sprawy zysku ponad trzydzieści trzy procent, z którą się omal nie zdradził (przez nieostrożność zapewne) sympatyczny przedstawiciel polskiej przedsiębiorczości gospodarczej.

— Ależ pan ich zagrał — śmiał się Maurycy Monitz po wyjściu panów Moussa-Moussac. — Ależ pan ich zagrał, panie senatorze! Przecież oni nie zasną, aż się dowiedzą, w jakiej pan branży pracuje.

Cezary Polko nalał kieliszek koniaku.

— W ręce pańskie, kochany panie Maurycy — rzekł. — W ręce pańskie i z całego serca.

Wypili natychmiast, patrząc sobie w oczy. Odstawili kieliszki i siedli naprzeciw siebie w głębokich, miękkich fotelach. Czuli teraz dla siebie prawdziwą, szczerą przyjaźń. Przeświadczenie, że mogą naprawdę pracować w porozumieniu życzliwym.

— Żydzi salonicy są głupi — powiedział Monitz z przekonaniem. — To są *spaniolisch*, ludzie średniowiecza. Ich zawsze kusi zysk doraźny. Obliczają procenty, ale nie uwzględniają należyćci psychologii. Przyszłość do nas należy.

Podsunał senatorowi cygaro i mówił dalej obficie i wylewnie:

— Myśmy się wychowali w odmiennej szkole życia. Och, ten Piter! Ten Piter! To było życie: Nawa, banki, giełda. Giełda, jak świątynia. Ze wszystkich stron miasta widzialna. Majestatyczna. Miliony, miliony na ulicy leżały. Byłe pod-

nieść. Tu człowiek pogada. Tam wpadnie. I już. Już zrobione. Panie senatorze, to był sen po prostu. Człowiek się budzi i wzdycha.

Westchnął rzeczywiście, otrząsając popiół z cygara, i patrzył pilnie, czy wspomnienie tamtych pięknych czasów odbije się na zamysłonym obliczu senatora. Monitz był bowiem właśnie psycho-
logiem.

I istotnie pan Polko rozczulił się ogromnie.

— Tak, tak — szepnął cicho. — Któż tego nie pamięta? Kto nie żałuje? Życie miało swój urok. Było takie czynne. Ludzie byli tacy życzliwi. Kochali przyjaciela.

Nalał jeszcze kieliszek koniaku i wypił z żałością prawdziwą.

— Za tamto, co odeszło — powiedział poetycznie. — Za naszą młodość, panie Maurycy.

Wszakże Monitz już nie pił. Oświadczył, że nie może.

— Powiedziałem panu — mówił pan Polko tymczasem — że zamierzam zwrócić się o radę. O ułatwienie pewne, jeśli pan pozwoli. Ja nigdy nie wątpiłem, że pan mię całkowicie rozumie. I proszę wierzyć, że również z mojej strony... że tak powiem...

Przerwał szukając w myśli właściwego wyrazu.

— Że i z mojej strony, o ile by pan potrzebował, kochany panie Maurycy...

Nagle wyraz potrzebny znalazł się sam. Do ust, jak w natchnieniu nadpłynął.

— To jest pakt dwustronny! — zawołał pan Cezary. — Sojusz polsko-francuski, bo pan jest obecnie francuskim obywatelem, a ja Polakiem zostałem. Nasza kolaboracja przyjacielska. Alians.

— Czy to dla Centrali Suszarni Krajowych? — zapytał Monitz jak zwykle nieoczekiwanie i ściśle. Ten miły chłopiec hołdował stanowczo metodzie działania przez zaskoczenie. Był całkowicie niewrażliwy na uczuciowe momenty. Na poezję.

— Tak. Dla Centrali — potwierdził pan Polko składając wreszcie broń przed wyższością taktyki Monitza. — Jestem prezesem Centrali. Od początku.

Lecz tamten lekko wzruszył ramionami, jakby ów fakt był dlań bez związku z omawianą sprawą.

— Ile? — zapytał sucho i rzeczowo, zapalając nowe cygaro.

— Dwa i pół miliona. Dwa i pół miliona franków szwajcarskich — recytował Polko szybko i ulegle.

Maurycy Monitz uniósł brwi i liczył. Z zawrotną szybkością, a przecie systematycznie i dokładnie. On nie potrzebował badać memoriałów, jak panowie Aubert i Leguay, ani mówić z przygotowanej zawczasu notatki. Stan interesów Cezarego Polka był mu znany od wczoraj. Teraz zestawiał tylko odsetki i pokrycie.

— Personalia? — zapytał naraz, odkładając cygaro.

Senator z głębi portfela wydobyl mały papierek. Ostentacyjnie rozłożył go i bez słowa pod-

sunął Monitzowi. Lecz ruch był wymowniejszy od słów: tryumfalny.

Maurycy Monitz wyrzucił monokl z oka. Czytał uważnie. Raz, drugi i trzeci. Zarząd. Rada. Komisje. Główniejsi akcjonariusze. Zarządy oddziałów na prowincji. I znowu: Zarząd, Rada, Komisje. Imiona, nazwiska, tytuły. Wreszcie złożył papierek tak samo ostentacyjnie, jak go pan Polko rozwinął.

— Zrobione — rzekł z miłym uśmiechem. — Cieszę się, że będę mógł oddać kochanemu panu tę usługę.

Po raz pierwszy nazwał poufale senatora Polka „kochanym panem”. On, Maurycy Monitz, dawny agent petersburskiego towarzystwa ubezpieczeń „Rossija”.

— Cieszę się bardzo — powtórzył. — Z panami Moussa-Moussac będę mówić we wtorek zapewne. Zdradzę im interesującą tajemnicę, o której pan, panie Cezary, (stawał się istotnie coraz poufalszy) napomknąłeś dzisiaj mimo woli. Mam nadzieję, że Warszawa zastąpi im Szanghaj na razie. To jest naprawdę doskonały interes.

IX

Pomimo uspokajających zapewnień lekarzy profesor Bogusławski nie pozbył się obaw co do zdrowia wnuczki. Przeciwnie, po każdej konsultacji obawy te wracały coraz pełniejszym nawrotem, jak wraca fala roztrącona dziobem okrętu. Profesor przypominał sobie podobne dyskusje, prowadzone przed ośmiu laty na temat śmierci córki. Rozmowy nieskończenie bolesne, gdy z rozpaczą w sercu usiłował zgłębić przepaść tamtej tajemnicy. Na próżno. Zawsze na próżno. On, który odczytywał sekretne znaki dawno wymarłych narodów, znalazł się całkiem bezradny wobec tej tak bliskiej, tak bezpośredniej zagadki. Badał świadków: lekarzy, przyjaciół i służących i nie mógł od nikogo usłyszeć czegoś, co by stanowiło istotne wyjaśnienie. Żaden proces nie był starannie i bardziej wszechstronnie przygotowany, a przecie dochodzenie nie dało rezultatu. Profesor był zmuszony stwierdzić, że nikt nie zna prawdy.

Od tej pory przychodziły mu na myśl słowa Henryka Sienkiewicza. Było to latem 1915 roku w Szwajcarii nad Lemanem. Sienkiewicz z Vevey

przyjechał do Morges do domu Paderewskich. Nieobecnych gospodarzy zastępowała siostra Ignacego Paderewskiego pani Wilkońska. Kończono właśnie popołudniową herbatę na tarasie willi. W dole poprzez zieleń parku świeciło jasne jezioro. Wyjątkowo nie mówiono o wojnie. O wy-czerpaniu Niemiec i o nieuniknionej kontrofenzywie rosyjskiej. Obecność wielkiego pisarza skierowała rozmowę na tory literackie. Mówiono o racjonalistycznej manierze France'a i przeciwstawiano mu Romain Rollanda. Ktoś zarzucił „Janowi Krzysztofowi” słaby tok akcji, mglistość, brak logicznych rozwiązań. Ktoś inny stwierdził, że Rolland zbyt często nie daje odpowiedzi na wysunięte przez siebie zagadnienia. Że twórczość jego obfituje w niedomówienia i nierozwiązane zagadki. Jest niezrozumiała po prostu.

— Są dwa sposoby pisarskie — powiedział Sienkiewicz gasząc papierosa. — Można pisać jasno i logicznie, jak pisze France, i wtedy utwór jest interpretacją życia, stworzoną przez autora. Ale można też tworzyć jakby współzależnie z życiem. Ekwiwalentnie. Przez rytm duchowy pisarza. I wtedy w utworze wystąpią niedomówienia. Zagadki. Tak właśnie, jak w życiu, które nie stosuje się do reguł, jakich wymagamy zazwyczaj od powieści. Proszę mi wierzyć, że to powieść bywa logicznie zbudowana i trafnie zakończona. To powieść jest zrozumiała, „prawdziwa”. Życie? Życie — nie.

Profesor Bogusławski był nieco zaskoczony tym stanowiskiem znakomitego pisarza, którego za realistę uważał. W miarę jednak jak wmyślał się w treść słów, nie mógł się oprzeć ich mocy sugestywnej. Począł się domyslać, że stanowiły one jakby podsumowanie długotrwałych prac i teoretycznych rozważań. Może uznanie własnych ułomności, oglądanych u schyłku życia — po zakończeniu okresu twórczego — już nie okiem autora, lecz mędrca. W każdym razie — wyznanie ważne i... fachowe.

— Cóż my wiemy o życiu? — zapytał kiedyś inny mędrzec współczesny, Gaston Maspero. — Cóż my wiemy o życiu, które opisujemy starannie? Gdyby którakolwiek z mumii ożyła i przeczytała swe dzieje, spisane przez nas metodą naukową, uznałaby je zapewne za historię życia całkiem innego człowieka.

Profesor Bogusławski pamiętał tę noc na wzgórzu piaszczystym nad Nilem. W otchłani nieba jarzyły się gwiazdy ogromne i jaskrawe. Na pustynię padł mrok jednolity, ciężki i bezkształtny. Z załomu opuszczonej świątyni odzywał się skowyt szakala. Żałosny, niemal człowieczy.

— Gdzież jest zatem prawda? — zagadnął przechylając się w smudze światła latarki ku płycie kamiennej, na której spoczywał Maspero. — Gdzie jest prawda, której szukamy namiętnie i przezornie? Czyż myśl jest tylko złudzeniem?

— Myśl rzeczywistością jest właśnie — usłyszał głos z głębi nocy. — Jedyną rzeczywistością,

dostępna dla nas, którzy badamy świat przy pomocy myśli. Ale rzeczywistość myśli nie wyczerpuje rzeczywistości życia. Oznacza tylko jeden jego odcinek. Jeden z wielu związków i aspektów. Poza tym nic nie wiemy. Wszystko właściwie, co dzieje się poza myślą, jest poza nami. Na zawsze.

Dominikowi Bogusławskiemu wydało się, że kopuła niebios ściemniała jeszcze bardziej i zastęglą w kształty kamienne. Odwrócił światło latarki i siedział w ciemności zupełnej słuchając skowytu szakala. Jego żalosnej, człowieczej niemal skargi. Była to noc naprawdę okropna pomimo gwiaździstego nieba i równego oddechu uśpionej jak dziecko pustyni.

Owej to nocy załamała się w nim wiara w jednoznaczność wiedzy i myśli. Wiara, którą wyniósł z uniwersytetów niemieckich i uważał za dogmat, jedynie godny współczesnego człowieka. Przeczając wszystkim innym, w ten jeden pewnik wierzył z żarliwością młodego neofity. W odkrywczą potęgę myśli. W jej nieograniczone, wszechmocne możliwości. I oto tej nocy spostrzegł po raz pierwszy, że myśl, tak samo jak zmysły, jest tylko narzędziem poznania. Narzędziem czujnym, ścisłym, znakomitym, ale obejmującym jedynie pewne ograniczone pokłady rzeczywistości. Nie obejmującym natomiast całości kształtu zjawisk, które nie z myśli naszej powstały i które istnieją poza nią. Poza jej dociekliwym, najwszechstronniejszym zasięgiem. Jak barwy istnieją poza zasięgiem wrażeń słuchowych,

a kształt przedmiotów nie zdradza bynajmniej smaku ich, ni woni.

— Możesz iść, Haniu, na spacer — powiedział profesor Bogusławski. — Idź z panią Lucją do Jardin des Plantes. Kłaniaj się od nas żyrafie.

Dziewczynka zwróciła na dziadka czarne, pytające oczy.

— Dobrze, dziadziu. Zaraz pójdziemy.

Stała jednak nadal, przekładając kwiaty w kryształowym naczyniu na stole. Jej wąska pierś poruszała się cicho i miarowo. Na smagłej twarzyczce pojawił się półuśmiech przezroczysty jakis i tęskniący.

— Dziadziu — zapytała — czy do Florencji wrócimy?

— Nie wiem, dziecko. Chyba nie tym razem. Musimy wracać do Polski.

Odeszła od stołu i stanęła przy oknie. Patrzyła na mury Collège de France. Na mały skwerek, znajdujący się przed gmachem po przeciwnej stronie ulicy.

— Dziadziu — odezwała się naraz — on jest bardzo smutny.

— Kto? — zapytali jednocześnie obaj profesorowie.

Nie odpowiedziała, jakby pytanie uszło jej uwagi. Patrzyła dalej przed siebie w zamyśleniu głębokim. Wtedy oni zbliżyli się do okna i spojrzeli wraz z nią na skwerek przed Collège de France.

— Dante? — zapytał profesor Janet dotykając ramienia dziewczynki.

— Tak — odpowiedziała cicho. — On wie, że już nigdy nie wróci do ojczyzny.

Mały, skromny pomniczek florenckiego wieszacza czerniał na skwerku wśród świeżej drzew zieleni. Zanedbany, ubogi. Nieznany prawie nikomu poza stałymi mieszkańcami tej dzielnicy. Symbol wygnania i niezakończonych tułaczki.

— Możesz iść, Haniu, na spacer — powtórzył profesor Bogusławski. — Pani Lucja czeka na ciebie na dole.

Posłusznie odeszła od okna. Włożyła kapelusz i płaszyk, potem rękawiczki. Stała już we drzwiach żegnając się z daleka. Wtem wielkie jej oczy zabłyśły w półcieniu. Zajaśniały radością nagłą i niezwykłą.

— Dziadziu — zawołała. — Ja wiem, że czekają na mnie. Ja tam wrócę.

Odwróciła się i zbiegła po schodach. Słychać było, jak wesoło witała się na dole z nauczycielką, jak opowiadała o czymś ze śmiechem szczerym, swobodnym, dziecinny.

— Czy panu nie mówili lekarze — zagadnął profesor Janet, — że w tej panience jest coś niecoś z podświadomej kokieterii i naiwnego udania? Jakby popis sceniczny? Taka mała rola niezrozumiałości, przeczuć i poezji, pozostająca w związku z przedwczesnym okresem pokwitania?

— Istotnie — odrzekł profesor Bogusławski. — Spotykałem się z tą opinią.

Profesor Janet pogłodził skąpą brodę.

— Tak — rzekł. — Na stu lekarzy dziewięćdziesięciu i ośmiu postawi tę diagnozę, zaś dwaj pozostali nie będą mogli uzgodnić swoich rozbieżnych poglądów. Oficjalna medycyna chętnie uzależnia zagadki psychiczne od fizjologicznych procesów. Jest to niewątpliwie system najłatwiejszy.

Pochylił się ciężko nad stołem. Ogromną głowę ujął delikatnymi rękami i zapadł w zadumę gorzką jak posmak pączków czereśni.

— Może byłoby prościej — odezwał się po chwili — przyznać, że nie znamy przyczyn istotnych. Tajemniczych związków ciała i duszy. Że nie możemy ściśle rozróżnić wpływu procesów fizycznych na nasz stan duchowy od odwrotnego zjawiska, jakim jest oddziaływanie życia duchowego na zdrowie cielesne człowieka. Bo że tak jest, że nie tylko ciało przez schorzenia swoje pociąga deformację psychiczną, ale że i duch kształtuje jakość ciała, o tym bynajmniej nie wątpię. Istnieje tu współzależność wzajemna, wynikająca z najgłębszych podstaw życia. Wszakże my, nie znając tych podstaw, nie możemy rozgraniczyć zasięgu czynników fizycznych i duchowych. Najczęściej bierzemy je jedno za drugie i mylimy się co do ostatecznej diagnozy.

Uniósł głowę. Badawczo spojrzął na kolegę.

— Drogi profesorze — rzekł — omyłność nie jest rzeczą wstydliwą. Skoro teza fizjologów nie wykazała dostatecznej wartości, dłaczegobyśmy nie mieli zastosować metody odwrotnej? Uznać,

że przyczyną zjawisk nie jest ciało, ale duch, który to ciało ożywia? Że dany stan fizyczny jest jedynie odpowiednikiem, naturalnym symptomem, uwarunkowanym przez zjawiska duchowe? Może by wówczas terapia okazała się bardziej skuteczna.

— Terapia duchowa? — zagadnął profesor Bogusławski.

— Tak jest. Terapia duchowa. Terapia, którą ludzkość zna i stosuje od wieków. Pod najrozmaitszą nazwą i postacią. Miłości, współczucia, pod postacią wiary przede wszystkim. Czy pan wierzy w cuda? W męczeństwa pierwszych chrześcijan, których oni zgodnie z tradycją nie czuli? Co do mnie, jestem prawie gotów opracować naukowe uzasadnienie tych zbożnych podań. Stwierdzić ich najgłębszą, nieposzlakowaną prawdziwość. Akt wiary gorącej może przeobrazić prawa ciała. To nie jest sprzeczne z nauką. Owszem, w nauce współczesnej możemy znaleźć potwierdzenie, choć nie wytłumaczenie tych faktów. I lecznictwo chorych, oparte na wierze, wydaje się również możliwe, a nawet prawdopodobne. Mówię w tej chwili nie jako katolik, lecz jako lekarz psychiatra.

Ale profesor Bogusławski potrzęsnał głową przecząco.

— Cóż z tego? — rzekł. — Jakie znaczenie mogą mieć pańskie poglądy w danym konkretnym wypadku? Choćby zasadniczo były słuszne. Jakiej terapii duchowej może wymagać dusza tej

dziewczynki, dziecka prawie? Kiedyż się mogła obarczyć grzechem i zepsuciem? Jakie czynniki rozstroju mogły tu wystąpić? Przecie ona właściwie nie weszła jeszcze w życie. Znajduje się dotychczas poza kręgiem jego burz i namiętności.

— Czy rozumując analogicznie, odrzuciłby pan możliwość organicznych schorzeń u dzieci? Przecie istoty tak młode powinnyby posiadać świeże, nieużyte organizmy. Poza wypadkami przypadkowych zakażeń nie powinnyby podlegać chorobom. Czyż tak jest w rzeczywistości?

— To inna dziedzina. Ciało dziecka ma poza sobą historię swoich przodków. Jest poniekąd przedłużeniem ich życia.

— A duch?

Profesor Bogusławski podniósł wzrok zdziwiony. Pomimo długoletniej przyjaźni, łączącej go z profesorem Janetem, nie spodziewał się przecie tego zapytania. To jedno słowo wysuwało cały problemat. Najzawilszy, najbardziej podatny dla nie kończących się nigdy dyskusji i dociekań. — Co się dzieje w tym Paryżu — pomyślał — z profesorami wielkiego uniwersytetu? Oto taki Karol Richet, a teraz Marcelin Janet. Przecie to przesławny wydział medycyny. Oni, którzy dawniej wierzyli tylko w materię.

— A duch? — pytał tamten tymczasem, dźwigając swą ogromną głowę. — Czy pan sądzi, że duch (o ile oczywiście nie zaprzecza pan jego istnieniu), że duch nie posiada własnej swej historii? Własnych praw rozwoju? Własnej ewo-

lucji? Że w tej dziedzinie wszystko jest przypadkiem i chaotyczną, nierządną gospodarką? Taki pogląd byłby w rażącej sprzeczności ze wszystkim, cokolwiek wiemy o wszechświecie. Stanowiłby wyjątek nieuzasadniony niczym, bezpodstawny. Wyjątek niezrozumiały i głupi.

Mówił spokojnie, zimno, dociekliwie, jakby się zwracał do audytorium notujących skwapliwie studentów. Słowa wybiegały mu z krtani dokładnie odważone. Gładkie, jak kamyk nadbrzeżny. Trafne i ostrożne. Delikatne dłonie spłotły się z sobą biernie i trochę bezradnie. Tylko pod powieką przymkniętą — w spojrzeniu oczu o spłowiałej szaro-żółtej barwie — zapaliły się nagle ogniki i tliły, jak szczypta węgla w wystygłej warstwie popiołu.

Po wyjściu gościa profesor Bogusławski usiadł przy biurku i wyjął z kasetki fotografie i listy. Pamiątki drobne, po śmierci córki znalezione w jej mieszkaniu, które zebrał i przywiózł sądząc, że przyczynią się może do wyjaśnienia zagadki. Ręką trochę niepewną rozkładał je przed sobą podług dat i miejsc pobytu, jak czyni to historyk, badający stare dokumenty. Oto grupa lwowska — okres przedmałżeński. Grupa egipska — poznanie i narzeczeństwo. I wreszcie grupa włoska — Wenecja — Rimini — Ankona — okres małżeńskiego pożycia i niespodziewanego wdowieństwa. Trzy małe kupki papieru — jedyny ślad życia, co weszło i zaszło, jak krótki dzień grudniowy.

Jedyny rys trwały, pozostawiony na szlaku doczesności przez kogoś, co był tu i odszedł, jak cień śpieszącego wędrowca.

Profesor Bogusławski wyjął fotografię córki i przypatrywał się długo i uważnie. Nie, pomimo wszystko Wanda była zwykłą, najzupełniej zwykłą kobietą. Jak jej matka, jak babka, jak wszystkie kobiety w tej rodzinie. Dobrze, troskliwe i czułe. Pogodne, praktyczne, gospodarne. Przywiązane do mężów, do domów, do tradycji. Chodzące w niedzielę do kościoła i przeglądające starannie szkolne wypracowania synów, potem — wnuków. Dzięki nim to w rodzinie Bogusławskich utrwaliła się zgodność, szacunek wzajemny, zaufanie. Dzięki nim w znacznej mierze w czasach trudnych — po klęsce majątkowej, wynikłej z klęsk politycznych kraju, dobrobyt powrócił znów do ich domu. Było spokojnie, dostatnio. Było pogodnie, jasno i serdecznie. Jakby burze omijały ten dom. Jakby słońce łagodne, dobrotliwe — słońce pięknego października nie opuszczało okien, szeroko otwartych na sad zasobny w dojrzewające owoce.

Ale żadna z tych kobiet nie była kobietą niezwykłą. Żadna nie wniosła w swe życie tej woli zwycięstwa, która codzienność wydarzeń przemienia w epopeję. Nie wybiegła myślą poza przeciętność miłą i poprawną. Poza krąg wyobrażeń charakterystycznych dla środowiska, z którego pochodziły. Żadna nie przeżyła namiętności żrącej, nienawistnej, a przecie niepokonanej jak ży-

wioł, zaborczej, jak zalew poranku. Dorastały w półcieniu życzliwym i wychodziły za mąż „z przychylności serca”, aby się z wolna zestarzeć wśród drobnych trosk i radości. Żywoty pracowite, zacne, dobroczynne, ale zamknięte wewnątrz rodzinnego koła, jak poczwarka owadu, który nigdy nie posiedzie skrzydeł. Skądżeż Wanda miałaby być inna? Odmienna od matki i babki? Była do nich tak z twarzy podobna. Czy jednak naprawdę podobna?

Profesor Bogusławski podniósł fotografię i zbliżył ją do oczu. Patrzył przez okulary bystro i badawczo, jak ktoś, co w tej chwili dopiero spostrzega istotne cechy oglądanego przedmiotu. Twarz córki wydała mu się naraz inną. Nie obcą. Bynajmniej. Ale jednak odmienną. Niepodobną właśnie do twarzy matki i żony. Pomimo rysów tych samych. Pomimo niewątpliwego zewnętrznego podobieństwa. Oczy tak samo jasne i ogromne patrzyły przecie inaczej. Były pełne skupionego marzenia, cichej, radosnej zadumy. Jakby odwrócone od realnego życia, utkwione w wizję daleką, nieuchwytną. Czy Simonetty Vespucci z portretu w Chantilly. Tej pięknej damy florenckiej z XV wieku, której życie cudowne i krótkie przeminęło jak sen, aby przetrwać — nienaruszone i wieczne — w twórczości znakomitych artystów.

Jakżeż to zdarzyć się mogło? Jaki związek mógł istnieć pomiędzy tamtą Sybillą Odrodzenia a skromną panną z polskiej rodziny we Lwowie? Wieki dzieliły je oto. Cały obszar Europy środ-

kowej od Apenin do dorzecza Dniestru. Cały kompleks odmiennych warunków egzystencji. Nigdy na przestrzeni historii nie mieli Bogusławscy wielkich koligacji. Nie szukali ich nawet. Ziemiańsko, spokojnie, statecznie pędzili swój żywot po bielych dworach. Służyli w wojsku. Spławiali zboże do Gdańska. Żenili się w sąsiedztwie. Nie biednie, nie bogato. O paniach włoskiego Quattrocento, o dworze Medyceuszów, o Botticellim i o Pollajuolo nie wiedzieli. Wiedzieć nie mogli. To nie był ich świat ani ich epoka. Potrzeba było kłęski politycznej, aby tę rodzinę oderwać od wsi i rzuścić w tłum wielkomijski. Dominik pierwszy w swym zawodzie obrał zawód nie związany z rolą. Został archeologiem. Zgłębiał przeszłość świata. Badał ukryte, zapomniane od dawna filiacje. On pierwszy niewątpliwie oglądał portret pięknej Simonetty i znał jej dzieje i śmierć przedwczesną nad brzegiem morza w Piombino.

Wszakże obrany zawód sprawił, że profesor Bogusławski doszukiwał się chętnie związków i filiacji. Że był wrażliwy zarówno na cechy szczątkowe, jak na wyraźne analogie i odbicia. Zbyt wiele wiedział o zależnościach wzajemnych. Zbyt często szczegół jakiś, drobny i nieznaczny, stawał się dlań punktem wyjścia lub nieomylną wskazówką. Nie lekcewał nigdy oznak przypadkowych, gdyż jak sam twierdził, nie wiedział nigdy, czy pozorny przypadek nie oznacza istotnej, najgłębszej treści rzeczy. Dążył do odkrycia całości przez jej szczegóły.

I oto oczy córki, zapatrzone w kraniec horyzontu jak oczy słynnego portretu, stały się dla niego taką wskazówką nieznaczną, lecz istotną. Wstał i odszukał w szafce książkę Roberta de la Sizeranne, zawierającą studium o Simonecie Vespucci. Obok siebie położył na stole fotografię Wandy i reprodukcję portretu z Chantilly. Usiadł i porównywał uważnie, możliwie obiektywnie, jakby chodziło o stwierdzenie podobieństwa najzupełniej mu obcych postaci historycznych. Atoli podobieństwo narzucało się samo. Występowało jasno i niezbiecie. W zarysie czoła, w dolnych częściach twarzy. W delikatnych ustach i nade wszystko — w spojrzeniu. Te same jasne sploty, zsunięte na tył głowy, ciążyły ku szyi długiej i ku spadzistym ramionom. Te same brwi, nazbyt płowe, wznosiły się nad rzęsą wyraźnie zaznaczoną. Czy Wanda wiedziała o tym podobieństwie? Czy fotografując się przybrała świadomie układ tamtego portretu? Co było tutaj naśladownictwem, przypadkiem, a co tajemniczym zjawiskiem sobowtóra?

Wtedy... Pałace słońce dosięgało zenitu i nad pustynią białawą unosił się żar przezroczysty i niemy. U wyschłych źródeł, na ziemi nasiąklej wilgocią pokładły się muły, znużone pracą poranną. W górze — w bezbrzeżnej pustce czerwcowego nieba ważył się jastrząb — wysłannik boga Hora. Patrzyli wszyscy za jego lotem kolistym i zgadywali zawczasu, kędy spaść zamierza. Wtem

Wanda schyliła się ku ziemi. Grzebała w piasku gorącym u stóp czarnej steli. O krok od miejsca, gdzie spoczywali gromadnie, osłonięci cieniem wapiennej białej skały. Naraz w palcach dziewczyny zabłyśnął skarabeusz, jakby umyślnie dla niej rzucony tam przed chwilą.

— Na wróżbę — rzekła podając go narzeczonemu.

Jan Orsini ujął znaleziony przedmiot i rozpatrywał długo i w milczeniu.

— To Khopri — wyrzekł wreszcie. — Bóg zimowego i nocnego słońca, które nie grzeje i nie świeci, lecz wraca do życia poprzez świat podziemny.

Profesor Bogusławski pamiętał ową chwilę, gdy nachyleni oglądali wspólnie błękitnego żuka. Jednego z tych, jakie kładziono zmarłym do grobowca, aby świadczyły o prawie wieczystego powrotu. Jak słońce bowiem powraca co dnia i co roku, tak i duch ludzki miewa okresy zmiernych i zachodu, a przecie powraca — nieumniejszony i świetny, gdyż życie i śmierć są tylko odmiennymi postaciami Wieczności.

— Tak, to Khopri — powtórzył Jan Orsini i zawinawszy skarabeusza zawiesił go sobie na szyi, jak amulet. Odtąd miał go stale przy sobie aż do dnia, w którym austriacka torpeda zatopiła jego statek przed portem wojennym w Ankonie. Wówczas odpłynął, jak Khopri w barce swojej, i Wanda nie odnalazła już nigdy złowieszczego

żuka z połyskliwej i modrej, jak morska toń, lapislazuli.

Kto wie — pomyślał profesor Bogusławski — co mógł oznaczać prosty ten przypadek? Dlaczego ręka kochającej kobiety natrafiła na przedmiot, będący niewątpliwym symbolem zagrobowego istnienia? Przeznaczenie? Przestroga? Znak ukryty? Czy też po prostu zdarzenie bez znaczenia?

Pochylił się i raz jeszcze przyjrzał się fotografii córki i reprodukcji portretu z Chantilly. Uderzyła go słowiańskość rysów pięknej Simonetty. Charakterystyczna linia nosa i czoło lekko wypukłe. Profil o rytmie falistym, niespotykany wcale u latynków, ale tak częsty nad Wisłą, czy nad Niemnem. Profil Wandy Bogusławskiej, jej matki i jej babki, zadziwiający jednak u Włoszki z rodu Cattanei'ów, kupców z republikańskiej Genui. — Więc cóż ostatecznie? Sarmacja czy Liguria? — zapytał sam siebie półgłosem.

Był w gruncie rzeczy niezadowolony z siebie. Niepotrzebnie, zgoła niepotrzebnie uwikłał się w rozmyślanie nie podlegające kontroli logicznej, nieopatrzne. Jako człowiek rutyny naukowej, wzdragał się przed wysnuwaniem nazbyt śmiałych wniosków. Hipotez o zabarwieniu mistycznym, oczywistych dla jednych, lecz najzupełniej dowolnych dla ludzi o odmiennym nastawieniu psychicznym. Przykład Apoloniusza z Tyany stanął mu przed oczyma. Tego filozofa i maga z Azji Mniejszej, którego nauka dla jednych była objawieniem,

gdy inni widzieli w niej tylko splot niedorzeczności i urojeń. — Ostatecznie — pomyślał — rozum ludzki skłonny jest zwykle dogadzać naszym chęciom. Widzimy to, co właśnie pragniemy zobaczyć. Historia owych obłoków, które Hamlet wskazywał Poloniuszowi i które najwyraźniej przybierały kształty „widziane” przez obserwatorów.

Wstał i uporządkowawszy papiery począł się przechadzać. Krokiem równym przemierzał przestrzeń od okna do kominka. Patrzył na stół okrągły, nakryty kolorową serwetą, i na sztych napoleoński „*Après vous, sire*” zawieszony nad mahoniową kanapką. Przeciętne wewnątrz przeciętnego paryskiego pensjonatu. Z oknami od ulicy. Z widokiem na Collège de France. Na mały pomniczek Danta, zabłąkany i jakby lękliwy.

Profesor Bogusławski pchnął drzwi i wyszedł na balkon. Kończyło się popołudnie wiosenne, pełne blasku. Płynął tłum ulicą. Przebiegały wypełnione tramwaje. Studenci szli środkiem jezdni śpiewając, pokrzykując wesoło. W rytmie ich piosnki powracał dawny Paryż. Paryż Murgera, beztroski i serdeczny. Otulony w romantyczną pelerynę, zapatrzone w błękitne oczy Mimi Pinçon.

Naraz z bocznej przecznicy wyjechało dwóch konnych żandarmów. Pomiędzy chodnikiem i przejeżdżającym tramwajem jechali milcząc pośępnie. Na ich twarzach obrzękłych zjawił się wyraz tępej zawziętości. Bez słowa wparli konie w pierwszy szereg ludzki. W grupę czterech młodzików

o chłopięcym spojrzeniu i ściągłych, delikatnych rysach. Rozepchnęli ich łbami końskimi i wtedy dopiero jęli wołać napastliwie i gromko z wysokości siodła skrzypiących i obronnych:

— Rozejść się! Przechodzić! Precz przechodzić!

Lecz tamci nie cofnęli się przecie. Nadciągnęły następne szeregi i otoczono żandarmów. Sprawnie i szybko, jak manewr doskonale znany. Zachodzono z boku, płosząc konie i przypierając do zatrzymanego tramwaju. Pod wielkie szyby, między połączenia wozów. Jeśli motorniczy ruszy, przejedzie właśnie żandarma. Rozmiałdży zad koński, jak ogromną pluskwę.

— Mordercy! — wołano z tłumu namiętnie. — Zbóje! Zbóje! Zbóje!

Zaciśnięte ręce podniosły się ku górze. Sękatę laski, kije strugane z buczyny. Jakiś kastet, jakieś bezkształtne kawałki żelaziwa. Kamień przeleciał niezdarnie i uderzył o daszek tramwaju. O metr nad głową żandarma.

Wówczas rozległ się gwizd. Przeciągły, ostry, złowrogi. Od obu końców ulicy rzuciła się pędem policja. Półsetki ludzi w mundurach granatowych. Jak na umówiony sygnał. Jak na znak oczekiwany zawczasu i pewny. Gumowe pałki, krótka broń niezawodna. Ramiona tej młocki zwyczajne pod pelerynką fałdzistą. Twarze spocone. Pochyłe, mocne karki.

— Kto mógł rzucić kamieniem? — zastanowił się profesor Bogusławski. — Tu nigdzie nie było

kamieni. Chyba przyniesiono w kieszeni. Dlaczego? W jakim celu?

Przechylił się przez poręcz balkonu, aby raz jeszcze stwierdzić brak luźnych kamieni w pobliżu, i dostrzegł wtedy człowieka w niemodnym melniku, stojącego tuż za kordonem policji. Człowiek ten miał w ręku niewielki, gładki kamyk. Chował go właśnie do kieszeni marynarki. Pod okiem policjanta. O krok dosłownie od uzbrojonego w pałkę policjanta. O trzy od grupy aresztowanych studentów. Wolno, spokojnie i pewnie.

— Ach — pomyślał profesor Bogusławski — oto więc para od tamtego kamienia.

X

W nocy burza przeciągnęła nad miastem i splukała bruki i asfalty. Spod fali deszczu wyrżał nowy Paryż, odświeżony i czysty. Jeszcze w strońie północnej przewalały się chmury ostatnie, jak tabory oddalającej się armii, a oto w lazurze poranku ukazało się słońce i biegło śpiesznie ku górze. Ogromne, jasne, niepowstrzymane, zachłanne.

Błysły place wilgocią swej nawierzchni. Wzdłuż ulic pustych buchnął zalew światła. Wody Sekwany zaśniły migotliwie, jakby metal płynny wypełnił rzeki łożysko. Czarne barki zakołysały się cicho. Oblały się czerwienią lepką, zaraźliwą. Pod łukiem mostów zgęstniał fiolet nocny, ale już sunął poranek przesadzając przesła.

Było jasno, radośnie, przejrzyste. W alejach Luksemburskiego ogrodu gwarzyły zwinne szpaki. Pod konarami kasztanów zbiegły się synogarlice zalotne. Dudek przeskakiwał z gałęzi na gałązkę. Pstre sroki piły wodę z basenu, otrząsając się całe, jak panny w kąpieli nieco chłodnej. Właśnie otwierano bramy.

Jacek Białynia wszedł pierwszy do ogrodu. Szedł boczną aleją po żwirze mokrym i lśniącym.

Oddychał rosy świeżością, zapachem liści wilgotnych, nagle schnących. Patrzył, jak w głębi snuje się mgiełka błękitna. Jak w płytkiej wodzie basenu odbija się obłok wędrowny.

Jakże kochał ten ogród! Ten wdzięczny zakątek zieleni wśród ulic miasta, nabrzmiałych życiem frasobliwym. Nie dobiegał tu stukot tramwajów, ani przeciągłe wołanie ulicznego sprzedawcy. W zaciszu wiązków przy szarym pomniku Szopena można było nie wiedzieć o autach, reklamie i o giełdzie. O wiecznej gorączce tłumów, przepływających bulwarem. O wydarzeniach ostatnich, sensacyjnych, które już jutro utracą aktualność. Staną się puste jak kłos omłócony i obojętne dla wszystkich.

Jacek kochał ten ogród, który był jego ogrodem, jak pisarz jest czasem własnością czytelnika. Stosunek elekcyjny, tym nie mniej trwały zazwyczaj, odpowiadający wewnętrznym skłonnościom i potrzebom. „Powiedz, co czytasz, a powiem, kim jesteś, przygodny przyjacielu. Wymień mi twego autora, a nie będę potrzebował innych świadectw”. To takie proste, choć takie trudne zarazem. Jakże zbłądzi ten, co najpoczytniejszych wymieni. Co wysypie z rękawa takie firmowe nazwisko. Ostatniej marki. Najnowszego kroju. Jakby szło o model samochodu, albo o nazwę taniego teatrzyku.

Było cicho w ogrodzie. Białe plamy posągów wychylały się z cienia półkregiem monotonnym. Woda w fontannie Medicis płynęła z pluskiem le-

niwym. Stary pałac o liniach prostych i szlache-
tnych patrzył życzliwie w stronę nowoczesnej
Avenue de l'Observatoire.

Jacek okrążył basen i skierował się w prawo ku angielskiej części ogrodu. Tu, za pomnikiem Watteau stały te same ławki, na których siadywał przed laty. Za swoich lat studenckich, gdy z książką w ręku przychodził o rannych godzinach i do południa czytał w cieniu brzości. Było wtedy tak samo jasno i przejrzyste. Tak samo przeświecało słońce poprzez sklepione gałęzie. Tak samo szpaki sfruwały na świeżą zieleni trawnika. I tak samo oczy Jacka wpatrzone były w przyszłość poprzez mgłę teraźniejszości niepewnej, często gorzkiej.

— Właściwie ważnym jest jutro — myślał. — Dzień, który nie nadszedł, ale nadejść musi. Zdarzenie, co jak owoc dojrzewa długo i przezornie. Wczoraj i dziś są tylko lewarem tego jutra. Dźwigają ciężar po stokroć od nich znaczniejszy.

Usiadł na ławce zielono malowanej. Na tej samej, gdzie niegdyś siadywał. Przyglądał się pilnie zabawom zwinnych wróbli. Promień słońca ześlizgnął się po liściach. Padł jasnymi płatami na miazki żwir drożyny.

Jacek podniósł głowę i słuchał bicia zegaru. Otwartą środkową przestrzenią płynął dźwięk znajomy. Znad szarej fasady pałacu. Ponad parującym ranną mgłą ogrodem. Uderzenia wyraźne i rozważne, jak głos starca odmawiającego pacierze.

I oto słuchając zatracił Jacek miarę czasu. Jakby lata minione odbiegły naraz w popłochu, pozostawiając go sam na sam z rzeczywistością lat innych. Z rzeczywistością, co trwała w złożach świadomości, jak pierścień antyczny pod warstwą szklistej magmy. Wydało mu się, że dzień ten jest jednym z dni dalekich, kiedy tu przychodził z sonetem Heredii na ustach. Teraz, dziwnym trafem, pomnik Józefa Marii wznosił się w tym miejscu i Jacek czuł poniekąd obecność niezrównanego artysty. Jego pomocną, przyjacielską bliskość. Falowanie rytmu i zagadkowy, przemożny urok słowa.

Oto wieczór. Pod niebo wbiły się gołębie.
O kozłarzu, lek żaden serca tak nie koi,
Jak płynący o zmroku dźwięk fujarki mojej
Zmieszany z pluskiem źródła, z cichym szmerem głębi.

Przerwał i patrzył znowu w słoneczną przestrzeń poranku. Nad szczyty drzew, sprężone w błękit nieba. Wiatr wszelki ustał i nieruchome masy liści nawisły nad głową ciężarem nieuchronnym. Zapowiadał się dzień gorący, niemal letni. Jeden z tych dni wiosennych, co są jednocześnie przeczuciem i spełnieniem. Wyznaniem najpierwszym i tryumfalnym porywem dojrzalej namiętności.

— Ach, Jacku — usłyszał głos Małgorzaty Perrault — byłam pewna, że się tu spotkamy.

Szła ku niemu w smudze słonecznej potrząsając otwartą parasolką. Szpaki porwały się przed nią. Odleciały ze ścieżki na ciemny krzak ja-

łowca. Żwir prysnął, ławka zadrżała. Siedziała już przy nim wyciągając ręce. Uśmiechnięta, dziewczęca i zdyszana.

— Jacku — mówiła szybko, chwytając powietrze ustami — w rodzinach wojskowych wstaje się o świcie. Stryj Klaudiusz wyszedł dziś na miasto, gdy tylko bramy otwarto. Nie mogłam wytrzymać w mieszkaniu. Pachniał mi ogród po tej pierwszej burzy. I myślałam, że ranek także pana skusi.

Nachyliła się ku niemu. Zajrzała mu w oczy kpiarsko i zalotnie.

— Teraz wiem, gdzie czas spędza sekretarz Ambasady. Gdzie czeka samotnie na kogoś i gdzie koniecznie trzeba mu przeszkodzić.

Roześmieli się oboje jednocześnie. Jacek wyjął z kieszeni mały kalendarzyk. Rozłożył i podsunął jej wskazując palcem datę.

— Dziś jest niedziela. Biura są nieczynne.

Byli sami. Aleją środkową przeszło parę osób. Kilkoro dzieci bawiło się na placu przed pałacem. Ale w tej stronie od cichej ulicy d'Assas nie było dotąd nikogo. Najpiękniejszy zakątek ogrodu był ich wyłączną własnością.

— Tu była niegdyś moja letnia rezydencja — mówił Jacek Białynia. — Kiedy za studenckich czasów mieszkałem przy ulicy Grande Chaumière, przechodziłem tą ścieżką co dzień kilkakrotnie. W lecie szkoła była zamknięta, hotelowy pokójk wydawał się nazbyt ciasny. Siadywałem wówczas na jednej z tych ławek, czytając *l'Humanité*

z rana a *Temps'a* po południu. Wiedziano o tym. Gdy mię chciano widzieć, przychodzono tutaj. Do ogrodu.

— Doprawdy? Przychodzono? Bardzo często?

Uśmiechnął się. Spojrzał na nią i odpowiedział powoli:

— To zależy. Być może, że dla mnie wówczas nie było to nigdy dość często.

Ale ona tym razem nie śmiała się bynajmniej. W jej ciemnych oczach pod rzęsą opuszczoną skupiły się cienie głębokie i zaczepne. Nerwowym ruchem odsunęła się od niego i rzekła poprawiając kapelusz:

— Chodźmy stąd. Nie chcę na tej ławce siedzieć.

Wstali. Koło pomnika Heredii przeszli w stronę pałacu. Minęli wózki dzieci. Bonę drzemiącą na krześle. Dwóch starców czytających gazety. Słońce poczyniło grzać mocno. Wilgoć wyschła na ścieżce i tylko pod krzewów osłoną świeciły resztki rosy drobniutko i żałośnie.

— Małgorzato — zapytał — dokąd właściwie idziemy?

— Usiądziemy na innej ławce — odpowiedziała przekornie. — Tam, gdzie wspomnienia są bardziej mi wiadome. Bardziej własne.

Skierowali się w lewo i stanęli przed pomnikiem Verlaine'a. Z prostego cokołu patrzyła na nich głowa ogromna o wzdętym, łysym czerepie. O nosie spłaszczonym, kałmuckim i melancholij-

nym spojrzeniu. Głowa Sokratesa, lecz również głowa znużonego, przeraźliwie smutnego satyra.

— Czy tu? — zapytał Jacek przystając.

— Nie! Nie tu! Nie tu wcale. Ten brzydal straszy ptaki w całym Luksemburgu. Nie znoszę go, ani jego wierszy. On był tak mało Francuzem.

— Dlaczego? czy nie był nim w tym stopniu, co Villon? Trzeba go tylko odpowiednio wyodrębnić. Verlaine jest poza tradycją waszego siedemnastego wieku. Oto wszystko, Małgorzato.

— To wszystko i to wystarcza. Nasz Wielki Wiek jest właśnie duszą Francji. Kto jest naprawdę Francuzem, nie może mu się sprzeniewierzyć.

Mówiła, jak prawowita Perrault. Prawnuczka Klaudiusza Perrault, twórcy słynnej kolumnady Luwru. Ale mówiła również, jak większość wykształconych Francuzów, dla których kultura klasyczna stała się poniekąd synonimem ich narodowej kultury. Miarą i sprawdzianem. Istotne wartości tej kultury tak bardzo się zrosły z psychiką narodu, że stanowią jak gdyby probierz rdzenności rasowej. Ani romantyzm, ani symbolizm nie zdołały trwale przełamać tej tradycji. Rozlały się falą szeroką, lecz płytką. Ześlizgnęły się, jak fala ze skały nadbrzeżnej. Na przestrzeni trzech wieków ostatnich wewnętrzna spoistość kultury francuskiej jest zadziwiająca. Stanowi ona niewątpliwie wyraz dojrzałości duchowej narodu. Jego krystalizacji już nie biologicznej, plemiennej, wyrażającej się w typie fizycznym, ale kry-

stalizacji psychicznej dokoła podstawowych wspólnych cech umysłowości i charakteru. Tej pracy długiej i żmudnej dokonała kultura klasyczna Francji siedemnastowiecznej. I oto, dla czego Ibsen i Dostojewski zaciekawiają wprawdzie współczesnego Francuza swoim egzotyzmem, ale czytając ich nawet, myśli on i czuje w dalszym ciągu wspólnie z Monteskiuszem i Racinem.

— Jacku — powiedziała po chwili Małgorzata Perrault — niech pan się ze mną nie sprzecza. Widział pan więcej ode mnie i poznał pan wiele narodów. Ale w gruncie rzeczy czuje pan tak samo jak my. Tak właśnie. Oto, dlaczego dobrze jest panu wśród nas i dlaczego my również nie wyczuwamy w panu cudzoziemca.

Spojrzała mu prosto w oczy i dodała z porywem serdecznym:

— Pan jest jednym z nas, Jacku. I dla mnie. I dla stryjów moich. I dla wszystkich.

Ujął ją pod ramię i weszli znowu w cienistą boczną aleję. Szli wolno. Synogarlice na wpół oswojone nie zrywały się ze ścieżek przed nimi. Odchodziły na bok jedynie i przepuszczały ich środkiem, jakby pełne zrozumienia i przyjaźni. W jałowcowym krzaku kos pogwizdywał przeciągle.

Prowadziła go w stronę różanego ogrodu obok bocznych zabudowań Muzeum. Latem na grzędach przestronnych kwitły tu najpiękniejsze róże Pa-ryża. Żółte, szkarłatne, białe i bladoróżowe. Wspaniałe *Maréchal Niel*, wdzięczne *Gloire de*

Dijon. *Nymphéto*s o płatkach doskonale białych i *Monsieur Fourtado* koloru siarki mielonej. Od czerwca do października nad tą częścią ogrodu unosił się zapach subtelny i upojny. O zmierzchu albo w poranek słoneczny płynęła stąd woń mocna, słodka i zmysłowa. Ale teraz krzewy stały niemal nagie. Świeżo odkryte ze swoich zimowych chochołów. Wzbierały dopiero sokami, przeżąc okaleczone pędy i gałązki. Prostując się zwolna, jak człowiek po przebytej chorobie. Badając kierunek wiatru i nasilenie wiosennych promieni.

— Dokąd, Małgorzato, idziemy? — powtórzył Jacek pytanie.

Wskazała mu ławkę kamienną. Porosłą mchem od spodu i w ziemię zapadłą do połowy. Najstarszą ławkę w ogrodzie. Jakiś staruszek tam siedział i wygrzewał się w słońcu. Leniwym kocim ruchem podnosił twarz pomarszczoną i mrużąc oczy, wyciągał ją ku słońcu. Jak kot na przyźbie chałupy. Jak stary kocur wiejski.

— To tu — powiedziała radosnym jakimś tonem. — To tu. Nieprawdaż, Jacku?

Tak. To było tutaj. Jacek pamiętał o tym doskonale. Pamiętał ławkę, przy której po raz pierwszy ujrzał niegdyś dziewczynkę o wielkich, ciemnych oczach. Bawiła się piłką, jak tyle innych dzieci. Biegała od brzegu trawnika do różanego ogrodu i wyciągając ręce, odrzucała piłkę szybkim, ostrym ruchem. Wszakże oczy dziew-

czynki patrzyły inaczej, niż oczy jej rówieśnic. Nawet podczas zabawy nie zanikał w nich wyraz poważny i skupiony. Spoglądała, jak człowiek udający się w drogę daleką: wyczekująco i trochę jakby smutnie. Przestrzeń bowiem nie tylko nęci, lecz i zatrważa podróżnych. Muszą czasem się przemóc, aby wyruszyć w swą drogę.

Jacek znał tę chwilę wahania, co poprzedza ostateczną decyzję. Ten moment niepewności i niemal fizyczną potrzebę pozostania. Wszystko wtedy wydaje się zawodne i jedyną rzeczą niewątpliwą jest trwanie w miejscu i czasie, jak głąz na miedzy śródpolnej. Ciało bowiem broni się przed zamierzonym wysiłkiem i broni się tak jak materia wszelka: prawem inercji własnej i dosytu. Że mu jest dość. Że więcej nie potrzeba. Wtedy człowiek musi przemóc własne ciało. Poderwać je i rzucić w zamęt rzeczywistości odmiennej i nieznaney. Kazać mu brnąć, przebijać się i prężyć. Przebywać nowe etapy i ogarniać zasięg obcych horyzontów. Lecz zanim to człowiek uczyni, zatrzymuje się czasem u skraju drogi swojej i patrzy przed siebie wyczekująco i jakby trochę smutnie.

Ileż to razy Jacek odmieniał w ten sposób swoją rzeczywistość. Porzucał byt ustalony i pewny. Odchodził, by nigdy nie wrócić. W rodzinnym Siole nie znalazł przecie schronu. W cieniu drzew starych, ani pod dachem, który osłaniał wiernie jego przodków. To, co na pozór było najpewniejsze, najpewniej właśnie zawiodło. Nie

mógł tam wrócić ani czasu wojny, ani później, gdy linia graniczna odcięła te ziemie od Polski. Jedynie we śnie zjawiały mu się niekiedy ściany dworu, który w rzeczywistości od dawna już nie istniał. Wówczas Jacek oglądał tamten świat miniony, lecz budząc się uciekał odeń, jakby ratując się z topieli. Czuł, że rozpamiętywania takie właśnie są topielą. Że jedynym ratunkiem jest wyjść i nie spojrzeć za siebie. Skoro już nie posiadał majątku, nie chciał być po kres życia wyzutym z ziemi ziemianinem. Czepiać się wspomnień i żyć, jak inni, w atmosferze fikcji.

I tu był bardziej Lacczańskim niż Białynią. Cudowna żywotność tamtej rasy wynikała z młodzieńczej zdolności wyrzeczenia. Z możliwości wyjścia poza krąg ustalonych potrzeb i przyzwyczajzeń. Nie jest prawdą, że pieniądź wyzwala, albo raczej jest to prawda pozorna, obliczoną na dystans jednego pokolenia. W rzeczywistości pieniądze spycha i rozbija rasę. Uzależnia jej rozwój i trwałość od zewnętrznych, cieplarnianych warunków egzystencji. Poniżej biologicznie i wycieńcza duchowo. Pieniądź dewaloryzuje człowieka.

Naturalną przewagą Lacczańskich była zmienność kolei ich losu. Jak zabieg leczniczy, przechodził co czas pewien upadek ich fortuny. W każdym pokoleniu nieledwie nastawał okres próby. Okres zmagania się, walki i wysiłku. Lacczańscy zbyt byli związani z politycznym losem kraju, aby jakakolwiek burza dziejowa nie ude-

rzyła w nich właśnie. Zbyt wielkie mieli poczucie swej wartości, aby się ugiąć, poddać, zrezygnować. Upadali zatem i wznosili się na przemian, jak fala morska rozkołysana na wietrze. Wyparci z dawnych stanowisk, przerzucali się na inne. Zdobywali tereny jeszcze niezajęte, niewykorzystane. Nie było w tym zapewne dostatecznej metody ani planowości. Nie było konsekwencji wysiłku, niezbędnej dla urzeczywistnień wybitnych. Ale był żar ducha i chłonność nienasyconego umysłu. Była zdobywczość rasy starej, nieobniżonej w pierwotnym swym walorze.

Lacczańskim zawdzięczał Jacek ten swój stosunek do życia: idealistyczny zarazem i zdobywczy. Zdolność nie wiązania się z interesem warstwy swej, swego klanu. Wrodzoną wzgardliwość dla koniunktury i przetargu. Zapatrzenie w jutro poprzez dzień dzisiejszy. Po nich dziedziczył wartość krwi, dociekliwość myśli, poczucie niezależności, graniczące nieomal z przekorą. Bez tych przodków z linii macierzystej niepodobna byłoby zrozumieć duchowej treści Jacka Białyni.

Ale jednocześnie był on także Białynią. Człowiekiem wsi, w którym instynkt ziemi przemawiał mocno i trwale i najniezawodniej zbliżał go do ludu. Pozwalał zajrzeć w skrytość duszy chłopskiej i znaleźć słowo docierające, jasne, obopólne. Istnieje bowiem osobny język ziemi, a żaden radykalizm nie zawiera jego leksykonu.

I oto Jacek doznawał nieraz w sobie jakby starcia prądów. Jakby dwa nurty płynęły, sple-

tając się, to znowu krzyżując uporczywie. Świat zaginiony walczył w nim — żywym człowieku. Historia umarłych pokoleń zmartwychwstawała w rzeczywistości współczesnej.

Wtedy to Jacek Białynia przystawał i patrzył przed siebie, jak człowiek udający się w drogę, która go równocześnie nęci i zatrważa. I wtedy — nie wiadomo dlaczego — przychodziła mu na myśl kamienna ławka w ogrodzie i ciemne oczy bawiącej się dziewczynki, patrzące, jak oczy podróżnych w dzień odjazdu: wyczekująco i jakby trochę smutnie.

Usiedli przy sobie na ławce. Samotny staruszek musiał się nieco usunąć. Leniwym, kocim ruchem oparł się o poręcz i mrużąc oczy wygrzewał się na słońcu. Obojętnie, sennie, zmysłowo. Jak kot na przyźbie chałupy. Jak stary kocur wiejski.

— Jacku — zapytała panna Perrault — ile to lat minęło od tego popołudnia?

Spojrzał na nią zdziwiony.

— Ile lat? — powtórzył. — Rachunek dość jest prosty. Mamy wiosnę dwudziestą szóstą w tym stuleciu. Od ostatniego roku wojny mija lat osiem, Małgorzato.

— Miałam wówczas dwanaście lat prawie, ale czasem wydaje mi się, że byłam małym dzieckiem. Musiałam bardzo być głupia. Prawda, Jacku?

— Dlaczego? — zagadnął nachylając się ku niej.

Nie odpowiedziała od razu. Otworzyła parasolkę, aby się zasłonić od słońca, ale jednocześnie zasłoniła się przed Jackiem. Przed jego wzrokiem zdziwionym, pytającym. Niebieski cień okrył jej policzki. Zapadł pod rzęsy wzdłuż powiek opuszczonych.

— Tak sędzę przynajmniej — rzekła wreszcie niepewnie.

Zegar nad pałacem rozdzwonił się na nowo. Ogłaszał godzinę poranną, dostępną tym razem dla przeciętnego mieszczucha. Toteż ogród zaludniał się w coraz szybszym tempie. Coraz trudniej było o ciszę i samotność.

— My tego nigdy nie wiemy, Małgorzato — powiedział Jacek poważnie. — Ocena przeszłości jest niemal równie trudna, jak przewidywanie przyszłości. Tysiące szczegółów zaciera się w naszej pamięci tak, że pamiętając na pozór, w istocie nie pamiętamy nic prawie. Jesteśmy zmuszeni odtwarzać i wtedy niemal zawsze odtwarzamy dowolnie. W zależności od uczuć i pojęć danej chwili. Na tym polega właśnie rewizjonizm w historii. Rewizjonistami, na mniejszą co prawda skalę, jesteśmy poniekąd my wszyscy. Oglądamy nasze wczoraj poprzez dzień dzisiejszy.

— Do czego więc prowadzić mogą te badania?

— Do poznania teraźniejszości przede wszystkim. Dusza ludzka objawia się w swych tęsknotach. W snach o przyszłości, lecz również w zjawach z przeszłości wywołanych. Wizja taka nie odpowiadając nawet prawdzie obiektywnej jest

cenna. Odsłania ona najwstydlwsze tajniki współczesności. Pragnienia, których w innych okolicznościach nie wyrazilibyśmy zapewne. Pożądania, które w płaszczyźnie teraźniejszości nie mogłyby być ujawnione. Wizja przeszłości jest często najlepszym kluczem dla zrozumienia psychiki badacza. Jego ukrytych zawodów i nadziei.

Zamyśliła się. Patrzyła przed siebie w przestrzeń połyskliwą i świetną. Nad ogród różany, przepojony słońcem, budzący się do życia. Nad grupy drzew sprężonych nieruchomo. W przepaścistość wiosennego poranku.

Czarne kosy umilkły w jałowcowych krzakach. Synogarlice sfrunęły ze ścieżek. Dokoła środkowego basenu było już rojno i gwaro. Dzieci puszczały na wodę małe okrężiki. Fregaty o żaglach białych i różowych. Korwety o mocnych, zakrzywionych dziobach. Czarnobokie galery i drobne gondole weneckie. Cała flotylla pstra o nieprawdopodobnych banderach, wioząca w świat złudzeń małych podróżników.

— Jacku — mówiła tymczasem Małgorzata — pan jest zbyt uczony. France uczył pana intelektualnej wiwisekcji. Czyż nie ma zjawisk prostych, jak gładka kora brzozy? Niefalszowanych jak rosa i niezamąconych jak źródło?

— Są. W nich to właśnie objawia się istotna mądrość życia. Nie w laboratoriach, lecz w kłósie ciężkim i zasobnym. W gronach jarzębiny, nęcących jesienno ptaka. W staranności mrówki i w zmyślniej wędrówce węgorzy. Ale człowiek,

Małgorzato, nie jest bynajmniej „prosty i niefałszowany”. Jan Jakób omylił się raz jeszcze. Człowiek jest zjawiskiem najbardziej złożonym we wszechświecie. Jego świat wewnętrzny dorównywa rozmiarom kosmosu. Może je przewyższa. Nie należy nigdy mniemać, że się poznało człowieka. Aż do dna. Bez reszty. On będzie zawsze nowy i nieznan. Pełen okrutnych zagadek i nieoczekiwanych porywów.

Słońce biegło ku górze. „Luksemburg był zalany cieniem i słońcem. Niebo czyste, jakby aniołowie rankiem je umyli. Przelotne ptaki pokrzykiwały wśród kasztanów¹⁾”. Jak wtedy, przed stuleciem, gdy Mariusz — Wiktor Hugo czekał tu na romantyczną panienkę.

Słońce biegło ku górze. Wzdłuż ścian starego pałacu nie było skrawka cienia. Pędy róż okaleczonych wzbierały sokiem. Prostowały się, jak człowiek po przebytej chorobie. Zamyślały o پاکach obfitych i słodkim, wielobarwnym kwitnięciu.

Jacek i Małgorzata milczeli teraz oboje. Ogarneło ich znużenie bezwolne i rozkoszne. Słuchali brzęczenia owadów w drgającej fali powietrznej. Wielkiego koncertu much złotych o nakrapianych skrzydełkach i przezroczystym odwłoku, kołujących niesfornie nad świeżo przekopaną grzędą. Zbliżało się południe gorące jak dzień letni.

Mały staruszek na ławce poruszył się niespokojnie. Otworzył woskowe powieki i żółtymi

oczyma spojrzął dookoła. Czujnie, podejrzliwie, jak żbik, skoro w lesie zachrzeszczą gałęzie.

— Przepraszam — rzekł. — Nie słyszałem zegaru. Czy to już było południe?

— Jedenasta wybiła przed chwilą — odpowiedział Jacek.

Tamten zamrugął porozumiewawczo powiekami.

— A więc za godzinę. Należy śniadać w południe. Nigdy wcześniej.

Przeciągnął się. Żółte oczy zabłysły mu w twarzy bezbarwnej.

— Niedaleko stąd jest pewna mleczarenka. Znakomita. Tuż blisko. Na Saint Germain. Zaraz z tyłu za pomnikiem Dantona. Dają tam jeść. Pan rozumie? Kotlety cielejące ze świeżą soczewicą? Owszem. Befszyk po angielsku lekko przysmażony? Hm-hm. Można, proszę pana. Z jajkiem. Ale *gigot des prés salés* — oto jest potrawa! Pachnie morzem. Dalibóg: Atlantykiem. Z wierzchu skórka dobrze przypieczona. Chrupi to jak rogalik. Ale wewnątrz płat mięsa soczysty jest, różowy. Takiego barana tylko landa wykarmi. Wiatr morski pod wełnę mu wchodzi, proszę pana. Do tego sałata słodka, chociaż i z cykorią jadają. Winko andegaweńskie. Koniecznie andegaweńskie. Pan uważa? Jeżeli inne podadzą, wszystko licha warte. *Gigot des prés salés* tylko we Francji się jada. To nie jest głupie *Fleisch* niemieckie.

¹⁾ Les Misérables.

— Podają także *aux coeurs d'artichaut* — uważał Jacek.

— *Aux coeurs d'artichaut?* Czekaj, czekaj pan. — (Poruszył rozważnie wargami.) — Nie. To nie idzie. Mdłe jest. Chyba trochę octu.

— Z octem. Z octem właśnie. Na zimno. Do tego sosik majonezowy, albo odrobina madery. Co? Jak pan sądzi?

Staruszek spojrzał uważnie na Jacka.

— Pan u Foyot jada? — zagadnął poufnie i wnikliwie.

— Zdarza się, choć i mleczarenkę pańską pamiętam doskonale. Jadałem tam wybornie i piłem to samo wino andegaweńskie. Właścicielka z Tours jest, nieprawdaż?

— Z Tours. Sama nadzoruje kuchnię.

— Tak samo i przedtem bywało. *Gigot des prés salés* krajała nożem ogromnym, jak miecz średniowieczny. Dla faworytów była skórka chrupiąca.

Staruszek uśmiechnął się błogo. Jego żółte źrenice zaszyły mgłą wzruszenia.

— To dla mnie — szepnął. — Ja mam zawsze skórę.

Wyprostował się. Chrząknął. Przybrał znaczącą, urzędową postawę.

— Pan jest naprawdę interesującym człowiekiem — powiedział z uznaniem. — Pozwoli pan, że się przedstawię. Ludwik Augustyn Bonnemère, emerytowany poczmistrz siódmej dzielnicy Paryża.

XI

Pomimo usilnych zabiegów sprawa pożyczki zagranicznej senatora Polka nie posunęła się wcale na terenie Ambasady. Wprawdzie ambasador raz jeszcze przyjął pana Cezarego, ale po to tylko, aby mu oświadczyć, że przekazał sprawę radcy handlowemu podług kompetencji. Radca handlowy nie posiadając wyraźnych instrukcji zwrócił się o nie do władz centralnych w Warszawie. Atoli władze nie były dostatecznie poinformowane o działalności „Suszarni Krajowych” na prowincji. Musiały więc same zwrócić się z kolei do władz lokalnych w Gdyni, Puławsku, Siedlcach, Kołomyi i Tarnowie. Gdynia i Tarnów przystąpiły niezwłocznie do opracowania raportów. Natomiast w Puławsku pismo władz warszawskich zaginęło z winy starszego kancelisty. W Siedlcach zachorował referent i nie można było na razie go zastąpić. W Kołomyi zaś nastąpiło fatalne nieporozumienie. Zamiast żądanych informacji „w sprawie wymienionych Suszarni Krajowych” sporządzono i wysłano do Warszawy raport na trzydziestu ośmiu stronach pisma maszynowego „w przedmiocie ochrony regionalnego krajobrazu w związku

z unifikacyjnym programem osuszania przestrzeni leśnych i torfowisk”.

Pan Polko był bardzo nierad z takiego obrotu rzeczy. Przewidywał z góry najrozmaitsze kłopoty i trudności. Wiedział, że w Gdyni miejscowy naczelnik oddziału towarzystwa, niejaki Artur Lewin, były wychowanek wyższej szkoły talmudystycznej w Czarnokozińcach Ostatnich, jest podejrzewany o udział w wykrytej przed miesiącem aferze walutowej. Opinia Starostwa mogła więc wypaść złośliwie. W Siedlcach (pan Cezary nie wiedział oczywiście o chorobie tamtejszego referenta) od trzech lat istniał zatarg z kasynem oficerskim o dostawę jaj, z których żadne nie odpowiadało niestety swemu naturalnemu przeznaczeniu. W Tarnowie chłopci zarzucali szereg „nie-dokładności” przy manipulacjach z wagą, i starosta, Witosowy zausznik, popierał roszczenia chłopskie przeciwko doktorowi Kukiełce, generalnemu przedstawicielowi towarzystwa na Małopolskę Zachodnią. Wreszcie w Pułtusku (pan Polko nie wiedział również o zaginięciu pisma władz warszawskich) miejscowy dziekan, fanatyk i klerykał, oskarżał zarząd towarzystwa o wyzyskiwanie pracy młodocianych wbrew obowiązującym przepisom. Tylko w Kołomyi było jak dotąd spokojnie. Pan Cezary słyszał jednak, że tamtejszy kierownik Starostwa jest zagorzałym „regionalistą” i że sama nazwa: „Centrala Suszarni Krajowych” wzbudza w nim gniew męski i żądzę zasłużenia się sprawie publicznej przez przemianowanie to-

warzystwa na „Kołomyjsko-Stryjski Związek Suszarski”.

— W Bogu jest tylko nadzieja — rozmyślał pan Cezary — i w silnych rządach sprawowanych przez hr. Skrzyńskiego. Z Gdyni paskudnie napiszą, ale to będzie objaw nieprzejednanego antysemityzmu endeków. Z Tarnowa też trudno spodziewać się dobrych wiadomości. Wszelako Tarnów to polityczna intryga. Przeciw doktorowi Kukiełce, który rząd popiera. Otóż obrona Kukiełki leży w interesie rządu. Naturalnie. To jakoś się zrobi. Starosta na przykład zostanie przeniesiony. O Pułtusk też można być spokojnym. Ten dziekan, to stary klerykał. Za czasów rosyjskich miał ciągłe spory z władzami o kościół i ochronkę. Na takich nikomu nie zależy. Gorzej jest w Siedlcach z tymi jajami dla oficerskiego kasyna. Diabli nadal tę sprawę, ot co. Hr. Skrzyński z oficerami na wyścigach bywa. Jeszcze mu przy finiszu powiedzą o tych Siedlcach. Chociaż z drugiej strony: jaja... No, cóż takiego te jaja? Albośmy w Polsce nie mieli afery jajowej? Była i taka. Nawet ministerialna. Biegali po Warszawie gazeciarze jak opętani. „Jaja pana ministra” krzyczeli. Z nazwiskiem, po imieniu, aż hadko było słuchać. No, więc jest precedens i nie byle jaki. Ministerialny. Da Bóg, to i tym razem nie przejmie się nikt jajami.

Ale z Kołomyją — biadał — to jest naprawdę niedobrze. Na to i poradzić nie można. Bardzo trudno. Ten przeklęty kierownik chce się aktyw-

nością wykazać. Gorliwość zademonstrować, jak kobieta plecy. Z Wadowic jest, a huculski regionalizm robi. Niby na co? Aby móc, gdy dygnitarz jaki przyjedzie na inspekcję, chłopom ze składu gotowy przyodziewek wydać. Na kobzie kazać grać. Koło ognisk skakać. Że to niby w ludzie radość jest, wesele. Cieszą się z przyjazdu. Umiał te rzeczy robić książę Potiemkin, ale i wadowicki kierownik furt potrafi.

Nie mogąc po raz trzeci dostać się do ambasadora, senator Polko począł regularnie odwiedzać attaché ambasady Romana Mikulicza. Sekretarza Białynię unikał. Na korytarzu nawet klaniał mu się z daleka i z godnością. Podkreślał brak bliższego osobistego kontaktu. — Kto wie — myślał — czy on naprawdę nie tkwi w opozycji? Za lat studenckich konspirował. Spiskował przeciwko cesarzowi i rządowi. No, to i teraz może ogląda się na Sulejówkę.

Senator Polko ujmował te rzeczy trzeźwo i praktycznie. Rozumiał, że ludzie trzeźwi i praktyczni nie uprawiają nigdy żadnej opozycji. Nie burzą się przeciw istniejącemu réjimowi, lecz starają się każdy régime jak najzręczniejszym opanować i do swoich celów wykorzystać po cichu. Biblijny Józef tłumaczył sny Faraonowi i wróżbiarstwem doszedł do władzy. Cóż by zyskał, gdyby agitował przeciwko Faraonowi? Pachołkowie więzienni zatłukliby go kijami. Tajemnym marzeniem senatora Polka był ten wzór odległy. O gdyby Polsce zdarzył się wreszcie Faraon! On, Cezary Polko,

byłby jego Józefem i tłumaczyłby sny, robiąc równocześnie wielkie transakcje zbożowe.

Właśnie attaché Mikulicz rozcierał chorą nogę, gdy woźny oznajmił wizytę senatora. Mikulicz skrzywił się trochę, gdyż dnia tego był wogóle niedobrze usposobiony. Ale nie mógł odmówić. Nie wypadało. Zapalił nowego papierosa i spojrział na drzwi z rezygnacją.

Senator wszedł uprzejmy i wyniosły. Okrążył biurko i zasiadł w wygodnym fotelu. Rozrośnięte szczęki poruszyły się i zwarły natychmiast. Na mięsistych wargach rozpląnął się uśmiech w miarę dobroduszny.

— Mój przyjaciel pan Maurycy Monitz zaprosił mnie na śniadanie — rzekł po wymianie grzeczności. — Poznałem tam panów Moussa-Moussac, paryskich milionerów.

Przerwał i patrzył uważnie, jakie wrażenie sprawiło to nazwisko. Ale blada twarz Mikulicza nie wyrażała nic zgoła. Była doskonale obojętna. Ścisłe neutralna.

— To jest duża pozycja w świecie finansowym? — zagadnął pan Cezary popadając w sprzeczność z poprzednim oświadczeniem. Pragnął jednak podtrzymać konwersację na ten temat. Doprowadzić do wymiany konfidencji.

— Bardzo duża — zgodził się Mikulicz. — Gdzieś między Rotszyldem a Citroenem.

— Ach, to bardzo dobrze — ucieszył się pan Polko. — To wyśmienicie. A czy zna pan rów-

niez pana Monitza? On tu podobno dosyć się kręci w towarzystwie?

— Idiota — pomyślał Mikulicz. — Po co on mię pyta, skoro to jego przyjaciel?

Ale głośno odpowiedział uprzejmie:

— Nie, panie senatorze. Monitza nie spotykałem dotychczas. Ale słyszałem raz o nim u księżny La Rochefoucauld. Wdowy po ambasadorku.

Tak było istotnie. Na popołudniowej herbatce u księżny pan de Dampierre wspominał, że przegrał dwieście franków na konia niejakiego Monitza. To było wszystko, niestety.

Ale dla pana Polka to było bardzo wiele. Więc tak. W samej rzeczy. Monitz i tym razem nie skłamał. Kochany, miły chłopiec! Miał stosunki. Najwyższe. Znano go. Mówiono o nim. U La Rochefoucauld! La Rochefoucauld to przecie sześć razy tyle co Radziwiłł! Całe sześćset procent!

— To mię cieszy — wyrzekł z godnością i powagą. — Maurycego Monitza znam od dziecka prawie. On już wtedy zapowiadał się, proszę pana.

Chrząknął i kończył poufnie:

— Ale o panach Moussa-Moussac to chciałbym jednak dowiedzieć się trochę bliżej. Trochę szczegółów, jeśli pan pozwoli.

— Owszem. Owszem — odparł wymijająco Mikulicz. — Może jednak byłoby lepiej, aby pan senator zwrócił się do sekretarza Białyni. Białyni

stale prowadzi referat ekonomiczny Ambasady. Jest bardziej kompetentny.

Senator zaśmiał się i wzruszył ramionami.

— Ależ nie — zaprzeczył dobroduszenie. — Dlaczego? Z panem zawsze tak mile się rozmawia. Doprawdy.

Chora goleń Mikulicza poczęła mu nagle dolegać. Attaché syknął, nachylił się i rozcierał ją pilnie pod stołem.

— To przykra rzecz, artretyzm — powiedział ze zrozumieniem pan Polko. — Najlepsze są na to Piszczany, choć można i co innego.

— Piszczany? — ożywił się Mikulicz. — Pan senator sądzi, że Piszczany? Może by rzeczywiście pomogły. Kto wie? Nie próbowałem tego dotychczas.

Był naprawdę przejęty i wzruszony. Jego twarz, blada zazwyczaj, okryła się nikłym rumieńcem. W głębi spłowiałych źrenic zjawiał się promyk swawolny.

— Próbowałem wszelkich kuracji — mówił dziwnie pośpiesznie. — W Berlinie leczył mię doktor Mrongowius. Oskar. Oskar, panie senatorze. Kładł mię do wanny i moczył przez pięć godzin dziennie. W Budapeszcie leczono mię na sucho. Powietrzem. Wchodzi się pod klosz szklany. Powietrze pozbawione jest wilgoci. Temperatura średnio saharyjska. To system profesora Peschke, panie senatorze. Wychodzi on z założenia, że warunki klimatyczne dadzą się sztucznie

wytworzyć. W drodze laboratoryjnej. W tym samym sanatorium można osiągnąć i stosować wysokie i niskie ciśnienie atmosferyczne. Ciepłotę afrykańską, albo umiarkowaną. Powietrze morskie, stepowe, wysokogórskie. Zależnie od potrzeby, panie senatorze. Za pomocą specjalnych aparatów. Pacjent wchodzi pod klosz oznaczony odpowiednim numerem i oddycha. To wszystko. Pod takim kloszem mieszkałem sześć tygodni.

Zatrzymał się na chwilę. Wyjął z kieszeni chusteczkę i otarł czoło spocone.

— To bardzo ciekawe, chciałbym wszakże...

Zanim senator dokończył, Mikulicz mówił znowu ożywienie, niemal gorączkowo:

— A w Rumunii to mię leczył znachor znakomity. Miał dwa dyplomy, ale nie przyznawał się do nich, bo tam nie wierzą doktorom. Tak jak gdzie indziej znachorom. Odwrotna sytuacja. No, i nie wiadomo, kto ma rację, panie senatorze, gdyż ten znachor, który był doktorem, wcale mi nie pomógł. Pozaszywał w bieliznę namagnesowane kawałki żelaza. Wpakował w podeszwy dwa wielkie, płaskie magnesy. Chodziłem cały przepojony ziemskim magnetyzmem. Aż było to krępujące. Paniom szpilki wypadały same i wędrowały do mnie, panie senatorze. Księżna Bibesco powiedziała wówczas, że gdyby mężowie rumuńscy umieli rozpoznawać szpilki swoich żon, to ilość spraw rozwodowych wzrosłaby z mego powodu w dwójnasób. Na szczęście żaden mąż tego nie potrafi. Stałem się legendarny. Niektóre panie

wkładały umyślnie suknie zapięte na szpilki, aby się przekonać, panie senatorze. Na balu u rosyjskiej księżny Tarakanowej trzem paniom suknie opadły podczas walca, bo ja pod frakiem miałem namagnetyzowaną koszulę. Musiałem z Bukaresztu wyjechać. Przeniesiono mię do Rio. Otóż w Rio... Ależ niech pan posłucha, panie senatorze. Otóż w Rio...

— On jest naprawdę całkiem niemożliwy. Wyobraź sobie, Jacku, musiałem go zagadać. O Moussaców się pytał. W żaden sposób nie chciał pójść z tym do ciebie. Musiałem opowiedzieć mu o systemach leczniczych Europy.

— I Ameryki?

— Nie. Do Ameryki nie doszliśmy na szczęście. Wstał i pożegnał się przy pierwszych słowach rozdziału. Uf! Byłem już jednak doszczętnie wyczerpany.

Oparł głowę na dłoniach i patrzył przez okno otwarte. W stłoczoną zieleni ogromnego cedru rosnącego samotnie przed gmachem Ambasady. Przed gmachem posępnym i nudnym, w najczystszy typie berlińskim, który troskliwość polska wynalazła wśród tysięcy paryskich pałaców i kamienic, aby zeń uczynić symboliczny przybytek Rzeczypospolitej. Jakby na przekór tradycjom Lunevillu i Łazienek. Jakby dla stwierdzenia faktu, że przełamanie starej psychologii Ballplatzu dla niektórych osobistości jest wprost nie do pomyslenia. Nawet tu, nad Sekwaną.

— Słuchaj, Roman — rzekł Jacek — po co mu mogą być potrzebni Moussacowie?

— Jak to, po co? Pieniądze.

— Moussacowie pieniędzy nie dają. Oni je tylko biorą. Wyciskają, jak sok z owocu. Wgniatają z szarej masy ludzkiej pracującej dla nich.

— Ale je mają, mój drogi. O to zaś ostatecznie chodzi. Dlatego są poszukiwani przez innych. Bardzo poszukiwani.

Jacek przechylił się w tył. Patrzył teraz w przestrzeń nad głową Mikulicza.

— Słuchaj, Roman — zagadnął tym samym, chłodnym, trochę cierpkim tonem — zastanawiam się czasem, dlaczego tak łatwo rozgrzeszamy bogactwo?

Tamten nie odpowiedział od razu. Namyslał się. Spoglądał w zieleni cedru i wydymał usta, jakby przeżuwał myśl własną.

— Dlaczego? Bo go potrzebujemy — wy-rzekł wreszcie z głębokim przekonaniem. — Bogactwo jest czynnikiem postępu. Bogactwo tworzy kulturę.

Dla Mikulicza nie istniał problem moralny. Zmysł praktyczny, użytkowo doraźny przesłaniał jego pole widzenia. Wypełniał szczerze wszelkie zakamarki duszy. Zabezpieczał przed konfliktem wewnętrznym.

Ale w Jacku już wrzała gorąca krew panów Lacczańskich. Był gotów zetrzeć się. Skrzyżować

szpady nad głową. Obrócił się żywo w stronę towarzysza i mówił głośno. Może nazbyt głośno:

— Słuchaj, Roman, to są kiepskie żarty. Moussacowie tworzą kulturę? Jaka? Czyją? W dzieciństwie przed synagogą biegali w Salonikach, tureckim żołnierzom sprzedając placki z makiem. W Dedegaczu handlowali tytoniem, a w Smyrnie — bakaliami. Znam ich. Wiem o nich. Początek swej fortuny zawdzięczają dostawom dla wojska. Potem przyszły spekulacje giełdowe. Pomyślne. Bardzo pomyślne. Od lat dziesięciu rezydują w Paryżu. Pałac przy Avenue Montaigne. No, tak. Obywatelstwo francuskie. Świeżej, bardzo świeżej daty. Interesy w Chinach, a teraz na Haiti. To oni są czynnikiem postępu? To oni tworzą kulturę? Może francuską właśnie? Eks-pa-nowie Moussa, żydzi safardyjscy?

Mikulicz słuchał spokojnie. Jego twarz blada, nalana bardziej niż kiedykolwiek, podobna była do pełni księżyca zawieszanej nad rozdartymi chmurami. Wyrażała pogodną obojętność z drobniuchną domieszką ironii.

— Mój Jacku — odezwał się po chwili — my nie porozumiemy się nigdy. Czy ja apoteozowałem Moussaców? Wiem o nich to samo, co i ty, mniej więcej. Ale ja liczę się z realnymi warunkami. Z rzeczywistą rzeczywistością dnia dzisiejszego. Z obecnym układem sił. Nie Moussacowie jedni, ale dziesiątki i setki Moussaców. W Paryżu, w New Yorku, w Berlinie. Żydzi, no i nie-Żydzi. Ariowie czystej krwi. Stuprocen-

towi nordycy. To przecie ogólny schemat ustroju, w którym żyjemy, mój drogi. Ja jestem logiczny. Liczę się z konsekwencjami. Przyjmuję konsekwencje. Inaczej musiałbym zostać rewolucjonistą.

W monotonnej pracy Ambasady, zwanej „urzędowaniem”, rozmowy z Mikuliczem stanowiły dla Jacka moment atrakcyjny. Mikulicz był istotnie konsekwentny w swym realizmie życiowym. Jakby się kształcił u Erazma Piltza. Dla niego każdy fakt istniejący był usprawiedliwiony przez istnienie samo. Pojęcia „ideał” i „walka” nie mieściły się w jego reperturze duchowym. Były mu obce, jak żółwiom obce jest latanie.

W pracy zawodowej czuł się doskonale. Z „urzędowaniem” zrósł się od pierwszych chwil nieledwie. To było jego istotne powołanie. Ceremoniał teczki i kapłaństwo „załatwień”. Papierki każdy oglądał i układał. Odczytywał teksty, poprawki, przekreślenia. Gromadził „wycinki”, notatki i adresy. Posiadał najwyższą ilość „numerków” w rejestrze Ambasady i dążył wytrwale do utrzymania osiągniętego rekordu. Z każdego świstka umiał „akt założyć”. Oprawić w teczkę. Przepisowo zanumerować w dzienniku. Jego podręczne archiwum składało się z trzech szaf ogromnych, naładowanych kolorowymi teczkami, jak chińska dzonka ryżem. Na biurku leżały stale pękate słowniki i encyklopedie. Interesant, gdy wszedł do gabinetu, patrzył z szacunkiem na ten

nadmiar pracy. Na zagadkową zawartość szuflad, które nie mogły się zamknąć. Na ważkość „spraw”, które woźni dźwigali oburącz z kancelarii do gabinetu. Kiedy Mikulicz pochylał się nad biurkiem i na jego bladej twarzy występowały krople potu, szacunek interesanta wzrastał jeszcze bardziej. Było jasne, że pan attaché pracuje ponad siły. Ze szkodą zdrowia. Może z narażeniem życia. Ku większej chwale Państwa i Urzędu.

Jacek pracował tak, jak go nauczono w szanownej szkole przy ulicy Saint-Guillaume. W szkole Alberta Sorela, Boutmy'ego, Ludwika Renault i Emila Bourgeois, kształcącej od pół wieku kwiata młodzieży francuskiej. Wymownych Gaskonów i cichych Bretończyków. Zapalczywych Burgundów. Prowansalczyków przyjacielskich, serdecznych. Normanów o płowych włosach i jasnym, głębokim spojrzeniu. Lotaryńczyków nieugiętych, żelaznych. Zamyślonych Flamandów i uśmiechniętych Paryżan. Wszystkie te rasy odmienne, różnorodne, które w ciągu wieków stopiły się w jeden wielki naród. Stworzyły Francję, jak tyśiąć głązów tworzy wieżycę kościoła. Przez wspólny wysiłek. Przez poświęcenie, zasługę. Przez wspólne wreszcie zwycięstwo.

W szkole przy ulicy Saint-Guillaume nie było erudycji martwej i bezpłodnej. Nie uczono tam odrabiania „kawałków” podług urzędowego programu. Uczono natomiast sztuki samodzielnego myślenia. Najważniejszej, najpotrzebniejszej, najtrudniejszej. Ceniono to przede wszystkim, co

było własnym wysiłkiem. Niezależną konstrukcją myślową, choćby różną od przyjętej wykładni. Ileż to razy Jacek przypominał sobie tę chwilę, gdy składając roczny egzamin z historii dyplomatycznej osiemnastego wieku, zapuścił się w rozważania na temat rywalizacji kolonialnej francusko-angielskiej. Emil Bourgeois przez kwadrans słuchał go uważnie, po czym chrząknął i rzekł:

— To jest punkt widzenia, który, jak panu wiadomo, zwalczam od lat czterdziestu. Ale pan zna przedmiot. Ten punkt widzenia wpływa u pana z ogólnych pańskich poglądów na epokę. Stawiam panu stopień: „doskonale”.

Wysokie poczucie bezstronności cechowało ducha tej szkoły. Szacunek dla indywidualności każdej, jeśli była indywidualnością szlachetną. Szacunek dla wszelkich poglądów, o ile były bezinteresowne. Obok rodowitych Francuzów kształcili się tutaj liczni cudzoziemcy. Holendrzy i Hiszpanie. Synowie amerykańskich milionerów i synowie mandarynów chińskich. Jacek przyjaźnił się z jasnowłosym Szwedem Hojerem i z krewnym cesarza Syjamu, księciem Wai-dya-korn. Między wykładem polityki kolonialnej a wykładem porównawczego prawa konstytucyjnego rozmawiał o nocach polarnych albo o zasadach mistyki buddyjskiej. W codziennym życiu koleżeńskim zaznajamiał się ze składnikami poszczególnych kultur. Z walorami duszy ludzkiej spod różnych szerokości geograficznych. Jego horyzont myślowy rozszerzał się nieustannie. Ogarniał stopniowo nie

tylko coraz nowe problematy, ale również coraz nowe ujęcia tych samych problemów. To nie był kosmopolityzm ani przypadkowy eklektyzm. Nieznacznie, lecz pewnie zbliżał się Jacek do uniwersalizmu. Do typu umysłowego, reprezentowanego najdawniej i najświetniej przez Kościół katolicki.

Jacek nie „zakładał aktów” jak Mikulicz. Na jego stole było zawsze czysto i przestronnie. Czasem — kwiat. Czasem — posążek. Czasem — kilka sztychów. Woźni nie dźwigali „spraw”. Zamiast szaf z „podręcznym” archiwum — kształtna kanapka. Trochę książek. Barwne szkło weneckie. Interesant, gdy wszedł do tego gabinetu, nie od razu zdawał sobie sprawę, że jest w urzędzie. Nie od razu spostrzegał, że ten uprzejmy gospodarz jest przecie urzędnikiem wysokiej kategorii. Niektórzy nie mogli z tym się pogodzić. Sądziło, że sekretarz Białynia jest po prostu podwładnym pana attaché Mikulicza. Ze zdziwieniem dowiadawali się, że właśnie jest na odwrót. Że attaché Mikulicz dopiero po wielu latach mógłby zostać pierwszym sekretarzem Ambasady.

Praca Jacka na zewnątrz była mało widoczna. W trzech czwartych polegała ona na przemyśleniu zagadnień. Na wnikliwym badaniu powszechnie znanych zjawisk. Ich wewnętrznej, utajonej logiki. Ich związku z innymi dziedzinami życia. Tygodniowy raport ekonomiczny zahaczał o psychologię. Ogarniał szmat socjologii. Dotykał czasami specjalnych zagadnień obyczajowych, naukowych, nawet literackich. Zamiast suchych kolumn cyfro-

wych dawał treściwy obraz tego społeczeństwa, które Jacek znał od dawna i dokładnie. Zamiast reportażu — syntetyczne skróty. Na sposób francuski, bezpretensjonalny, ciekawy. Fundament był mocny, ale budowa lekka, harmonijna. Wartość elaboratu polegała właśnie na samodzielności sądu i na trafności spostrzeżeń. Wartość pracy — na jej twórczych cechach.

Wszakże ogólna atmosfera urzędu przygniatała Jacka. Czuł jej duszność. Martwość. Jej złośliwe, zatęchłe opary. Wzruszał ramionami na objawy „zawodowej” rywalizacji o wyższą ilość „załatwień” i numerków. Śmiał się, gdy który z kolegów wyznał mu w sekrecie, że zdołał zanumerować menu proszonego obiadu albo kartkę kalendarza z zapiskiem dyrektora departamentu. To były tylko śmieszności. Nieuniknione skutki powierzchnowych i niekompetentnych zarządzeń centralnego aparatu biurowości. Ale istota zła kryła się w nich, jak skorpion w stoгу siana. Urzędnicy używali wybiegów, gdyż tylko wybieg zabezpieczał ich samych. Co prawda doraźnie. Nikt nie wiedział nigdy, jaka cegła spadnie mu nagle na głowę. Trwanie na stanowisku wymagało nieustannych manewrów. Asekuracji i kontrasekuracji. Najbezpieczniej było bawić się w formalistykę. Wykonywać zarządzenia, kontrzarządzenia, odwołania, okólniki, zalecenia i przypiski. Nie wnikać nigdy w treść sprawy. Nie badać i nie rozważać. Możliwie nie myśleć. Działać automatycznie według ustalonego schematu, przerzucając

odpowiedzialność na coraz inne czynniki. Ten system był dla Jacka nie do przyjęcia. Uciskał jak obręcz żelazna. Napierał jak chmura gradowa. Jacek Białynia zdawał sobie sprawę, że w tych warunkach praca każda staje się nieproduktywna, i nie mógł się pogodzić z bezcelowością swojej własnej pracy.

— Słuchaj, Roman, gdyby Polko zamyślał pokumać się z Moussacami, należało by temu przeszkodzić.

Mikulicz przestał rozcierać chorą nogę.

— Dlaczego? — zapytał z nieukrywanym zdziwieniem.

— Dlatego, że porozumienie takie nie przychodzi nigdy za darmo. Ktoś za to musi zapłacić. W danym wypadku płaciłaby właśnie Polska.

Na twarzy Mikulicza zdziwienie wzrastało nadpływającymi falami. Nieoczekiwanie twarz ta poczęła coś wyrażać. Wyrażała zdumienie, graniczące nieomal ze zgrozą.

— Nie rozumiem cię — rzekł wreszcie. — To przecie nie jest nasza kompetencja.

— Tak — przyznał Jacek. — To nie jest istotnie nasza kompetencja. Urzędowo nic o tym nie wiemy. Ale nieurzędowo?

Mikulicz wyjrzał przez okno. Sapał, jak po przejściu gwałtownym.

— A nieurzędowo? — powtórzył zapytanie. — Mój Boże! Nieurzędowo również nic nie wiemy.

Czy Polko był u ciebie? Czy prosił o cośkolwiek? Co do mnie, to umyślnie wolałem nie wiedzieć. Zabawić dykteryjką i zamknąć zawczasu upust konfidencji.

Popatrzył przez okno zatroskanym okiem i dodał, już całkiem pewien słuszności swego sądu:

— Zresztą to są sprawy prywatne, które nie obchodzą Ambasady jako takiej.

— I których nie można zanumerować w dzienniku — dorzucił Jacek złośliwie.

Wyszedł z gabinetu zły i rozdrażniony. Nie wiedział, co przedsięwziąć. Jaki sposób działania mógłby w tym wypadku okazać się skuteczny. Wszyscy wiedzieli o sprawie pana "Polka". Nie mieli żadnych złudzeń co do istotnej wartości zabiegów senatora. Nikt jednak nie zabierał głosu. Każdy się uchylał od zajęcia stanowiska. Wymykał się odpowiedzialności, jak borsuk najprzemysłniejszy, krętymi przejściami reguł i przepisów. Wszyscy byli w porządku i tylko sprawa rozwijała się sama, siłą własnej dynamiki, jak rakietą wystrzelona w pustkę międzyplanetarną. Ambasador przekazał ją radcy handlowemu. Radca handlowy zażądał instrukcji od władz centralnych w Warszawie. Władze centralne musiały się zwrócić do władz lokalnych w Gdyni, Puławsku, Kołomyi, Siedlcach i Tarnowie. Czynnikiem rozstrzygającym stał się chory referent z Siedlec oraz kierownik Starostwa w Kołomyi. Nie Jacek Białynia, który znał Paryż i ukryte praktyki Mousaców. Nie Jacek Białynia, który sporządzał co

tydzień ekonomiczny raport Ambasady. Ktoś inny, zagubiony w gąszczu biurokratycznej hierarchii i na wpół bezimienny. Ktoś, dla kogo istotna treść sprawy była niewątpliwie nieznana, niedostępna. Dla kogo nazwisko Moussac nie znaczyło nic zgoła, a Paryż był krążkiem na mapie, oznaczającym miasto apasów i cyrkówek.

Powróciwszy do siebie Jacek przebrał się szybko i zszedł do sali jadalnej. Jak zawsze, przy jego nakryciu leżały wieczorne dzienniki. Odsunął je ruchem niechętnym i jadł pogrążony w milczeniu. Naraz patron wynurzył się spoza uroczystego bufetu i kołując między stolikami zbliżył się do Jacka.

— Dobry wieczór. Czy pan jest zadowolony? Mogę polecić *vol-au-vent* z jarząbków, albo fladry w sosie z oliwkami.

Usługujący kelner usunął się dyskretnie. Otyły patron pochylił się, jakby z uszanowaniem przyjmując zamówienie. Miał wygląd zakłopotany, pocziwy.

— Proszę mi wybaczyć. Chciałbym o coś zapytać. Czy to prawda, że sytuacja psuje się w Warszawie? — pytał przyciszonym głosem.

Jacek spojrzał nań bystro i zrozumiał, że tamten więcej wie od niego.

— Dlaczego pan pyta? Czy pan wie coś o tym?

Patron pochylił się jeszcze bardziej. Wskazującym palcem wodził po menu obiadu.

— Jeszcze raz przepraszam. Ale mam córkę zamężną, która mieszka w Polsce. Co miesiąc wy-

syłam jej rentę przez pewien bank. W tym banku pracuje mój znajomy, pan Kapłan, rodem z Warszawy. Kiedy byłem tam dzisiaj, pan Kapłan skinął na mnie i powiedział: „Panie Defresne, jeżeli ma pan interesy w Polsce, niech pan będzie ostrożny. Niech pan uważa. Oczekujemy ważnych wypadków w tym kraju.”

Oczy pana Defresne podniosły się, aby spożyć na Jacku.

— Nic o tym nie słyszałem — odparł Jacek powoli. — Ale może pan Kapłan ma swoje informacje.

Patron wyprostował się i przywołał kelnera.

— Dla pana hrabiego flądra z oliwkami i kaczka — zawołał urzędowym tonem.

Oddalił się i znowu zasiadł za bufetem. Jacek rozwinął dzienniki i po chwili czytał komunikat oficjalnej agencji prasowej:

„Rokowania w sprawie osadnictwa z Republiką San Salvador trwają nadal. Umowa w przedmiocie postoju kutrów rybackich na wodach południowo-afrykańskich wydaje się być bliska zawarcia. Przez wysunięcie powyższych wysoce aktualnych zagadnień rząd hrabiego Skrzyńskiego stwierdził raz jeszcze mocarstwowe stanowisko Polski w polityce ogólnie światowej. Fakt ten w niezwykle sposób podnosi autorytet rządu wewnątrz państwa.

„Wszelkie pogłoski o niepokojącej sytuacji wewnętrznej należy uważać za bezwzględnie zmyś-

lone. Olbrzymia większość opinii kraju popiera obecny rząd hrabiego Skrzyńskiego jako jedynie możliwy w istniejących warunkach.”

Ach — sarknął Jacek Białynia. — „W istniejących warunkach”? Zdaje się jednak, że imć Kapłan posiada niezłe informacje. Ten komunikat jest bądź co bądź zastanawiający.

XII

— Jeśli życie stawia swój znak zapytania, nie podobna wyminąć go, Jacku. Nie podobna uchylić się od odpowiedzi. Złej, czy dobrej. Trafnej, czy fałszywej. Życie nie uznaje nieobecnych. Każdy musi wybierać i rozstrzygać.

Przechylił się ciężko nad stołem. Bystrymi, płonącymi oczyma zajrzał w oczy Jacka. W głąb źrenic mrocznych, wpatrzonych w szarość wstającego świtu. I stało się dlań jasne, że Jacek myśli tak samo.

Siedzieli w nocnej kawiarni przy bulwarze Montparnasse niedaleko dworca. Przy stolikach było już pustawo. Ostatnie dziewczęta, zawiedzione i sennie, zabierały się właśnie do wyjścia. Za ladą w pozycji śpiącego Bachusa drzemał właściciel kawiarni, zmożony ostatnim kieliszkiem przepitym do ostatniego z gości.

Przyszli tu po teatrze odwiecznym zwyczajem konspiratorów politycznych. Zwyczajem ogólnie przyjętym wśród wszelkich emigracji gnieźdzących się w Paryżu. Przy takich właśnie stolikach i w takich kawiarenkach wykluwała się większość zamachów, powstań, rewolucji. W ten sposób two-

rzył się ruch wolnościowy grecki i italski. Tak działał obywatel Ludwik Bonaparte, przysły cesarz Napoleon III, a na razie socjalista i członek tajnych związków rewolucyjnych. Tak się tworzyły kolejne rewolucje bałkańskie. Starzy bywalcy pamiętali dobrze pewnego starszego pana o zaniebanym wyglądzie i czarnych wąsach, który był stale inwigilowany przez policję paryską i który umarł jako bohaterski sprzymierzeniec Francji, król zjednoczonej Jugosławii, Piotr I. W tych samych kawiarenkach i przy tych samych stolikach obradowali kolejni wodzowie rewolucji rosyjskiej. Jacek widywał tu Trockiego, Czernowa, Kiereńskiego. W różnych czasach co prawda i w stosunku odwrotnym do świetności ich politycznego powodzenia. Konspirowanie w kawiarniach nie jest rozsądnym zwyczajem. Ułatwia zadanie wywiadowców, sprzedawczyków i szpicli. Z góry można być pewnym, że w każdej takiej zadymionej salce przebywa agent wywiadu któregoś z państw zainteresowanych i przynajmniej paru zwykłych funkcjonariuszów policji. Ale zwyczaj miał przecie swój urok. Swoje tradycje odległe, romantyczne. Było rzeczą przyjemną powoływać się na autorytet Mazziniego, Worcla, Piłsudskiego i przy szklance kawy z chrupiącym rogalikiem roztrząsać losy Europy, Azji i Ameryki. O szpiclach oczywiście wiadano, lecz ich nie raczono uwzględniać.

Kiedy tu weszli przed kilku godzinami, sala wyglądała inaczej. Było tak tłoczno, że na dłu-

gich ławach pod ścianami siedziano głowa przy głowie, jak w przepełnionym tramwaju. Przypominały się Jackowi jego lata studenckie, kiedy mieszkał podczas wojny w nieogrzewanym pokoju przychodził tu codziennie, aby się rozgrzać i przeczytać dzienniki. Siadał wówczas pod ścianą, starając się mieć za sąsiadki śmiejące się, lecz tak samo jak on zmarznęte dziewczęta. Stopniowo w kawiarni stawało się coraz ciasniej i dziewczęta musiały się przysuwać do zaczytanego studenta. Przylegały chętnie ramionami do jego ramion. Brak węgla wynagradzano sobie bezpośrednim ścisłym sąsiedztwem.

— Tak, to tutaj, Michale — powiedział Jacek wprowadzając gościa. — To jest ta słynna Ronda.

Usiedli przy oddzielnym stoliku, zarezerwowanym dla Jacka, i zamówili kolację. Jajka na miękko, szynkę i ser owczy. Butelkę białego wina. Jan, stary kelner, krzątał się pośpiesznie. Z obłoków dymu wynurzała się raz po raz jego twarz czerwona i płowe wiechy opuszczonych wąsów. Przy najbliższym stoliku siedziało kilku Szwedów. Palili wielkie cygara i pili szkocką whisky. Mała, drobna dziewczyna bawiła ich rozmową. Nie rozumieli jej prawie i ona nie rozumiała w zamian ich twardej, męskiej mowy. Co chwila podnosiła pytające oczy i z wyrazu twarzy usiłowała odgadnąć obcych słów znaczenie. Oni zaś mówili o sportach i przygodach łowieckich, z rzadka tylko zwracając się do siedzącej z nimi dziewczyny.

Michał Strwiąż rozejrzał się i rzekł swym miłym, łagodnym bardzo głosem:

— Chciałem z tobą pomówić, Jacku. Umyślnie wystarałem się o kurierkę do Paryża, aby porozumieć się z tobą. Czy można tu mówić swobodnie?

— Rozmawiałem tu nieraz i sędzę, że nie wpadłem. Zresztą o tych rzeczach wie się na pewno wtedy dopiero, gdy się już siedzi w więzieniu.

— Masz rację — przyznał tamten i znowu rozejrzał się badawczo.

Ale kawiarnia istotnie nie budziła podejrzeń. W najbliższym sąsiedztwie brak było twarzy słowiańskich. Mówiono po szwedzku, hiszpańsku i węgiersku. Kelnerzy nie przystawali między stolikami. Stary Jan rozumiał wyłącznie po francusku. Nieufność Strwiąża poczęła ustępować. W jego ciemnych oczach pojawiły się błyski przez pół ironiczne.

— Jednakże ci dawni spiskowcy mieli słuszość — zauważył. — Najłatwiej jest konspirować w lokalach nadzorowanych przez policję. Pod warunkiem, że się wie o obecności agentów. A o tym wie się zawsze dzięki nim samym. Są przecie na tyle usłużni.

Podniósł szklankę do ust i pił długo, starannie i do dna.

— Mój Jacku — powiedział stawiając szklankę na stole — mamy przed sobą tych kilka noc-

nych godzin. Ale o świecie muszę wiedzieć, jaka jest twoja decyzja.

I niespodzianie odsunął napoczęte jadło.

Ileć Jacek Białynia myślał potem o tej ich nocnej rozmowie, doznawał zawsze wrażenia czegoś, co było zarazem wielkie i naiwne. W żarliwości, w zachwycie rodziły się owe myśli i przeobлекаły się w wizje dokładne, nieodparte. Przesuwały się w kolejności zwięzłej, uporczywej, jak widzenie rzeczy, które stać się muszą. Miały wyrazistość kształtu i barwę nasyconą i czystą. Żyły. Tętniały krótkim, wartkim rytmem chwili. Jakby ta nocna kawiarnia była grota wróżki. Pieczarą więdźmy z Endor, zasnutą niebieskawym dymem. Oto weszli, jako Saul ze strażą, aby spojrzeć raz jeden poza krawędź widomego świata. W głębi tajemniczą, gdzie wczoraj sąsiaduje z jutrem. I zwała się na nich widmo, które ich sobą przyniotło.

Jacek pamiętał początek tej rozmowy. Słowa pierwsze, na pozór zrównoważone, obojętne. Mówili o wypadkach ostatnich. O pogłoskach, zaprzeczeniach i potwierdzeniu zaprzeczonych pogłoszek. O wewnętrznym położeniu Polski, o którym nikt nie wiedział nic pewnego. Komunikaty rządowe stwierdzały niezamąconą pomyślność. Subwencjonowane dzienniki zamieszczały codziennie podobiznę szefa rządu. Niezastąpionego, jedyne go sternika nawy państwowej. Ale dołem, głęboko płynął nurt zaprzeczenia i gniewu. Wzbierała rzeka

podziemna, niewidzialna, a przecie potężna. Łamały się jakieś zapory. Przesuwały się ośrodki ciężenia, zmieniając istotną równowagę polityczną, tworząc zwolna nową, odmienną, przeciwstawną.

— Myślę — rzekł Michał Strwiąż — że rząd Aleksandra Skrzyńskiego popełnia błąd wspólny wszystkim rządóm schyłkowym: lekceważy czynniki, które go jutro zastąpią.

Przesunął ręką po czole i mówił dalej łagodnym, miękkim głosem:

— Gdybym miał sobie powierzona ocenę sytuacji politycznej, nie czytałbym wynurzeń oficjalnych. Przypuszczam zresztą, że wielu nowocześniejszych dyplomatów postępuje w ten sposób. Organ prasy rządowej spotykałem stale w poczekalniach ich urzędów, ale prawie nigdy w prywatnym gabinecie.

Popatrzył w przestrzeń ponad głowami pijących whisky Szwedów i dorzucił:

— Rzeczywistości nie zmienia komunikat.

Była już północ i gwar głosów ludzkich osiągnął najwyższe swe napięcie. Dwieście osób mówiło jednocześnie, śmiało się, nawoływało. Kawiarnia szumiała, jak ul w dniu wyroju. Nie mogło być mowy o przekrzyczeniu. Przeciwnie, aby być słyszonym przez sąsiada, należało głos zniżyć i mówić niemal szeptem. Wypróbowane prawo akustyki, wykorzystane praktycznie przez doświadczonych spiskowców. Tłum, zastosowany jako środek izolacyjny. Gwarancja poufności w sąsiedztwie wywiadowców.

W rozkołysanym, jednostajnym gwarze dobiegał Jacka ściszony głos przyjaciela. Głos melodyjny o miękkich, pieszczotliwych tonach. Głos marzyciela, dziecka, czy kobiety. Tak mówią artyści, zapatrzeni w wizję nieuchwytną. Tak czasem mówią również fanatycy i bojowcy. Ludzie urzeczeni ideą, wyzbyci swych osobistych potrzeb, celów i ambicji. Ludzie, dla których ich myśl jest środkiem cudotwórczym, uniwersalnym na wszelką nędzę i cierpienie świata.

— Pamiętasz, Jacku, tę wojnę? Rok 1914? Było tak ciemno, że oko niczyje nie mogło rozpoznać kierunku naszej drogi. Porwaliśmy się i szliśmy przed siebie, wiedzeni wewnętrznym nakazem. To nie rozum, to instynkt narodu obudził się w nas i rzucił w odmet walki. Byliśmy tak słabi, że tylko przez walkę mogliśmy się ocalić. Rozum w tych wypadkach zaleca bierność lub układy. Ale instynkt narodu żąda walki i wysiłku. Myśmy nie za rozumem poszli. Owszem, wbrew rozumowi. To było głupie i to było zbawcze. Jak głupie jest szamotanie się rozbitką, i jak jest zbawczą czasami jego walka z żywiołem. Bierność byłaby rozważą i śmiercią jednocześnie. Postanowiliśmy wygrać naszą słabość bezsprzeczną, oczywistą. Rozpoczęliśmy walkę i z walki powstała nasza siła.

Pochylił się nisko nad stołem i mówił dalej przyciszenie i miękko:

— Siła? Czy ty rozumiesz ten wyraz? Całą treść jego nieogarniętą, wieloraką? Nasz polski

stosunek do zagadnienia siły był zawsze połowiczny, niejasny i wstydlivy. Myśmy marzyli o sile, lecz ilekroć ją posiadaliśmy, wahaliśmy się z jej użyciem. Z rzuceniem na szalę. Sobieski po Wiedniu. Chłopi w noc listopadową. Myśmy ją potem ubrali w frazes poetycki. Kazaliśmy rodzić się Konradom. Siła była dla nas wzniosłością myśli i porywem ducha.

Z kolei sam się zawahał. Głos jeszcze bardziej przyciszył i rozjaśnił, aż słowa rozplynęły się niemal w jakąś melodię stłumioną.

— Siła jest jedna — wyznał. — Rozkaz i władza. Rozkaz i spełnienie.

Białynia słuchał w milczeniu. Pił wino częstymi łykami i patrzył prosto przed siebie. W dym niebieskawy, nawisły nad stołami, spiralnymi kręgami wznoszący się ku górze. Naraz brwi ściągnął. Dociekliwym, niezamąconym spojrzeniem zajął w głąb Strwiążowych źrenic.

— Gdzież jest źródło tej siły-rozkazu? — zapytał. — Gdzież jest ów człowiek?

Szczepili się z sobą oczyma i przez czas krótszy od chwili mocowali się nie mogąc przemóc się wzajemnie.

— Tak — wyrzekł wreszcie Jacek. — Ale on nie chciał właśnie. Usunął się i nie przyjął.

Ledwie uchwytym, pełnym tajemniczości ruchem głowy kapitan Michał Strwiąż zaprzeczył i napomknął. Nie padło żadne imię, ale obaj nieomylnie je znali.

— Polski nie stać na to, abyśmy czekali — mówił Strwiąż dalej. — Nie jesteśmy w położeniu starych państw Zachodu. Rok każdy jest dla nas pozycją i barierą. Jak wówczas, w dziewięćset czternastym, miesiąc każdy. Granice państwa — to tylko kreska na mapie. Granice państwa — to żywa więź narodu. Jego spójność i ufność, i wiara. Cóż dziś z tego mamy?

Zwalił się piersią na chłodny marmur stolika. Rozszerzonymi, płonącymi oczyma uwiązł w oczach Jacka.

— Cóż dziś z tego mamy? — powtarzał. — W tej Polsce odrodzonej i wolnej? Szliśmy do niej przez krwawy wysiłek. Przez wyrzeczenie. Przez samotność okropną. Na polach Łowczówka i Konar serca nasze biły spokojnie i radośnie. A dziś? Słuchaj, Jacek. A dziś? Dzisiaj właśnie.

Był jak pijany, choć nie pił od dawna. Wyrzucał słowa bezładne, roztopione. Padały z brzękiem rozprysniętych naczyń szklanych. Pograżały się w nicość z sykiem rozżarzonej kuli.

— Gdzież jest ta Polska z naszych ran i czuwań? Przejdź pieszo od Pucka do Karpat. Żandarm odmienił guziki. Komornik obnosi godność nowej Polski. Gdzie jest chłop i robotnik? Gdzie jest ufność i spójność, i wiara? Mundury, rangi, ordery. Kark pochylony posłusznie. Oblesny uśmiech służalca i pawi krok dygnitarski.

Wstrząsnął się naraz gwałtownie. Zaciśniętymi palcami wpił się w ramię Jacka. Ogromne, czarne oczy płonęły w twarzy bledszej niż twarz trupa.

— Burza idzie — powiedział zimnym, przejmującym głosem. — Życie nie ścierpi régimu, który kłamie. Komunikaty nie zmieniają rzeczywistości rzeczywistej. Nie zastąpią utraconego zaufania i szacunku. Polska musi być wolną, aby była silna. Wolną wewnątrz, aby na zewnątrz mogła zachować odzyskane granice.

I gniotąc nieomal ramię Jacka w żelaznym, bezwiednym uścisku:

— Jest jeden tylko człowiek, który to zrobić potrafi. Stworzyć Polskę wolną wewnątrz, jak stworzył ją wolną na zewnątrz. Siłą. Tak jest: siłą. Mocą swojego rozkazu. Jest jeden tylko w Polsce człowiek taki i ten — pamiętaj, Jacku — wróci. Wrócić musi.

Kiedy w noc gwiazdziste, w długie noc styczeniowe, szklące się śniegiem, przezroczyste od mrozu, gwarzyła młodź żołnierska o sprawach najbliższych — największych, wracało słowo „Polska“ kolejnym, nieuniknionym nawrotem, jak wraca gwiazda krążąca w pustce kosmicznej. Wymawiali je cicho końcami warg pobladytch, ale czuli je w sobie żywe i tętniące. Grzmiące, jak potok wezbrany. Jak pochód wichrów wiosennych poprzez zimy zamarłe, skrzepłe legowisko.

Ileż razy, gładząc troskliwie lufę karabinu, powtarzali to słowo w pomroku mroźnej nocy. Czerniały lasy. Lodami lśniła rzeka. W górze nad daszkiem okopu przesuwały się gwiazdy po-

wolnym, niezamąconym obiegiem. Było dziwnie przejrzyste w ich blasku. W poświacie niebieskawej i drżącej, niepodobnej do lepkich księżycowych promieni. Było dziwnie tajemniczo i lekko. Jakby ciała stały się jasne i nieważkie. Wyzbyte własnego ciężaru. Porwane rytmem rozdręganej zaziemskiej fali świetlnej.

Mówili o Polsce przyszłej i koniecznej. O Polsce, która wszędzie jak świt nad ich ubogą, strątaną ziemią. Nad zniszczonymi miastami. Nad wsią upokorzoną, zaleklą. O Polsce, która przyjdzie, aby dźwigać i tworzyć. Żywić i poić. Krzepić i oświecać. Mówili o państwie własnym, niepodobnym do państw, przeciwko którym powstał. Niezależny ustrój polityczny nie był dla nich celem ostatecznym. Był jeno warunkiem spełnienia dalszych zadań. Rozumieli, że przyszła Polska pod grozą ponownej klęski i zaboru nie może stać się prostym powtórzeniem pojęć i stosunków uprzednio tu panujących. Że jeśli kiedykolwiek zapytają w Polsce: „I cóż się wewnętrznie zmieniło?” — sława ich czynu zgaśnie i szernieje, jak ostrze szabli, które rdza przeżarła.

Niezamącenie i wiernie przesuwają się gwiazdy po stropie kryształowym. Niezamącenie i wiernie biły ich serca żołnierskie pod szarą kurtką strzelecką. W ciszy niezmiernej podnosili się czasem ostrożnie i wytknąwszy głowę patrzyli na widniejący naprzeciw okop nieprzyjacielski. Na okop bliźniaczo podobny, płasko rozciągnięty

po drugiej stronie zamarzniętej rzeki. Tam w rowie głębokim czuwali tak samo żołnierze strzegąc się zasnąć na mrozie. Tak samo, zbici w gromadki, rozmawiali z sobą półgłosem. I oni mieli jakieś swoje troski, jakieś sprawy rodzinne, jakieś gospodarstwo. I oni spoglądając za siebie wsłuchiwali się w ciszę z drżeniem serca. Gdzież była istotna różnica?

Różnicą istotną była różnica ideału ich i tamtych. Ogromny dystans moralny, tworzący z dwóch równoległych okopów dwa odmienne światy. Dla nich pobudką działania nie był rozkaz władcy. Automatyzm, zmieniający człowieka w nic nie znaczący szczegół mechaniczny. Każdy z nich swą decyzję sam z siebie jak iskrę wykrzesał. Czasem lekko i sprawnie. Czasami w wysiłku mozolnym. Każdy z nich wiedział dokładnie, dlaczego mogąc inaczej, tak przecie sobą rozrządził. I rozrządziwszy już, wiedział, ku czemu siły swe przeznacza. Na wprost tamtej armii, stworzonej przez aparat olbrzymiego państwa, wyrastał legion tych, którzy byli poza wszelką państwowością na razie. Wolontariusze idei bezpaństwowi.

I była inna różnica. Dla polskiego okopu walka nie była jedynie zagadnieniem wojskowego zwycięstwa. Sprawą wygranej bitwy. Ci chłopcy o oczach płonących wiedzieli, że walczą o rzeczy ważniejsze i wyższe od sukcesów strategii. Od zwycięskiego manewru przez zaskoczenie i szybkość. Ich walka była walką o nową treść życia.

Ich cel sięgał daleko poza linię zdobytych nieprzyjacielskich okopów. Oni wiedzieli, że to, co się tutaj dzieje, jest jeno warunkiem wstępnym, choć koniecznym. Pierwszym etapem podjętej przez nich walki. Oczyszczeniem placu pod przyszłą świetną budowę. I wiedzieli również, że ten gmach wymarzony oni sami wzniosą. Własnymi rękoma. Własnym rzetelnym wysiłkiem.

W gwiaździste noce styczniowe, szklące się śniegiem, przezroczyście od mrozu, marzyli o tej Polsce, którą oni stworzą. Widzieli ją niemal fizycznie, bezpośrednio. Polskę wolną wewnątrz, nie znającą gwałtu i przemocy. Polskę roboczą, kmiecią. Polską Polskę. Wpatrywali się w ten nowy ład na starej, wyniszczonej ziemi i spostrzegali, jak wszystko budzi się, odżywa. Jak z głębi mroków wschodzi jasność hojna i zalewa zwolna wszystkie Piastowe dziedziny. Oto nie ma rządzących i rządzonych. Wyzyskujących i wyzyskiwanych. Służebnych i panujących. Nie ma ciemnoty, fałszu i przekupstwa. Nie ma twardej, zaciśniętej pięści, nakazującej posłuch milczącym kornie rzeszom. Tej pięści władczej, bezwzględnej, tryumfującej, przez pokolenia całe wyciągniętej ku nim od wschodu. Przemogli. Złamali. Odcięli raz na zawsze. Nie tylko władzę wroga, lecz samą zasadę tej władzy. Zasadę, która nie odpowiadała nigdy duszy polskiej i którą tu zawleczono w taborach secin kozackich.

— Ach — szeptał Michał Strwiąż, syn chłopca z prastarej ziemi sandomierskiej a teraz sier-

żant w legionowej piechocie Piłsudskiego — umrzeć dla tej Polski to mało. Jakże mało! Dla niej żyć trzeba. Żyć trzeba!

Teraz nad brzękiem kieliszków zapanował na krótko śpiew urywany i tęskny. Śpiewała młoda dziewczyna siedząca w towarzystwie Szwedów. Była pijana. Na drobnych rękach oparła małą głowę i przymknawszy oczy śpiewała piosnkę bretońską:

Ahes, breman Mary Morgan
E skeud an oabr, d'an noz, a gan.

— Co to znaczy? Co ona śpiewa? — pytał Strwiąż odwracając się z krzesłem. Nie znał tego języka o brzmieniu obcym, odrębnym. Nie rozumiał wyrazów, lecz trwał pod urzeczeniem melodii.

— *E skeud an oabr, d'an noz, a gan* — powtórzyła dziewczyna z jakimś głuchym jękiem.

Może nie umiała więcej. Może ta zwrotka była jedynym wspomnieniem lat dawnych, dziecińczych, spędzonych gdzieś w wiosce nadmorskiej pomiędzy Brest i Lorient. W przyjacielskim sąsiedztwie dolmenów i kromlechów na polanach świętych i w cieniu dębów strzegących odwiecznej tajemnicy. Gdyby ją zapytano, dziewczyna nie potrafiłaby zapewne sama nic wyjaśnić. Odpowiedziałaby, że nie wie. Że nic nie wie. Że tak ktoś śpiewał niegdyś, kiedy była mała. Że nie wie nawet, o kim tak śpiewają. Ale nieza-

leżnie od niej i jakby poza nią piosnka falowała. Żył własnym, czarodziejskim życiem. Mocą słów niezrozumiałych, przez które sączyła się przeszłość zamierzchła, jak krople wody przez szczelinę w skale. I oto głowy obecnych zwróciły się w stronę dziewczyny i przez chwilę jedną umilkł rozgwar głosów.

— To jest piosnka o Mary Morgan — powiedział Jacek cicho. — O pięknej syrenie „urodzonej z morza”. Śpiew tej czarodziejki rozlega się w noc przed burzą i zwabia rybaków na niebezpieczne głębiny.

Zamyślił się i dodał jeszcze ciszej:

— Noc jest parna, jak bywa przed burzą, i śpiew syreni wabi nas, Michale.

Kapitan Strwiąż wyprostował się. Odgarnął włosy znad czoła.

— Popłyniemy, Jacku — zawołał porywczo i radośnie. — Popłyniemy, bracie, na przekór wszystkim wirom. Radość jest w walce. Radość jest w zmaganiu.

I pochylony ku przyjacielowi:

— Słuchaj, kiedyśmy nad Stochodem stali, słyszałem śpiew syreni. W zawiei śnieżnej, szumiącej nad borami. W poświście wichru, co sosny giał ku ziemi. Leżałem w ziemiance, ranny, z szumem w głowie, bo z powodu śnieżycy nie podobna mi było przewieźć do szpitala. Wiatr nadlatywał. Łomotał w drzwi: „Otwórz, otwórz!” A potem milkł i było przeraźliwie głucho. Leżałem owinięty kocami, w gorączce, z suchą krta-

nią. I wtedy, podnosząc głowę, słyszałem wyraźnie przy sobie śpiew przytłumiony i słodki o nieopisanej głębi i prostocie. Jakby ktoś w ciemności litował się nade mną. Przyzywał ku sobie. Obiecywał wyzwolenie i spokój. Byle drzwi tylko otworzyć. To była Mary Morgan poleska.

Zaśmiał się i mówił wolno, pytająco:

— One są wszystkie jednakie. Z Morbihan, czy też znad Piny. Znają tajemnicę dusz naszych, gdyż same są tą tajemnicą. Ucieleśnieniem tęsknot i pożądań. Przybierają kształt tak nam dobrane znany, stworzony przez nas samych w myśli naszej. I potem gubią nas niepostrzeżenie i miękko. Jacku, czy to myśl nasza przeciw nam się zwraca? Zniszczenie człowieka od niego samego pochodzi?

Oczy ich spotkały się z sobą i znowu przez moment przemagali się wzrokiem.

— Myślę, że tak — powiedział Jacek Białynia.

Już pustoszała kawiarnia. Wymykały się pary pośpiesznie i znacząco. Dziewczęta przestały śmiać się. Miały wyraz znużony. Zawiedziony. Wyciągały szyje i patrzyły uważnie ku wejściu. Ale już nikt nie przybywał. Żadna nowa postać nie przesuwiała się w tłoku między stolikami. Kelnerzy zbierali puste szklanki i talerze. W kącie sali obliczali należność i zarobek. Otyły patron sprawdzał właśnie kasę.

— Więc gdyby nawet tak było — Strwiąż odzyskał swój ton zdecydowany i mocny — więc gdyby nawet tak było, nie cofnę się, ani się nie

ugnę. Los mój rzuciłem na szalę, jak wówczas przed laty dwunastu. Jeśli myśl moja jest zwodzicielska, jeśli kłamie — wyciągnę konsekwencję. Każdą konsekwencję. Ale dziś, Jacku, nie widzę innego wyjścia ni ratunku. Polska, aby istnieć, musi przeistoczyć się wewnątrz.

I znowu mówili półgłosem, pochyleni ku sobie nad białym marmurem stolika. Znowu słowa ściszone padały z brzękiem szkła rozprysniętego o kamień. Wspólna przeszłość nabrzmiewała czerwonym, winnym sokiem. Wspólna przyszłość wschodziła nad nimi jak gwiazda.

Mówili o masach ludzkich, odepchniętych od państwa w państwie własnym. O milionach, których jedynym przywilejem jest płacić daninę krwi i potu. Gdzież jest ich udział w tej Rzeczypospolitej? Gdy wróg zagrażał, zawezwano chłopą. Rzucono obietnice ważne i wiążące. Nie zrealizowano nigdy tych obietnic. Nie splecono weksli wystawionych.

— To nieprawda, że chłop nie pamięta — kapitan Strwiąż zacisnął pięść mimo woli. — Że dzień dzisiejszy przesłania mu wczoraj i jutro. Może tak było, ale dziś już nie jest. Za wiele widział ten chłop. Od lat dwudziestu za wiele widzi codziennie.

— Ja znam chłopą i wojsko — zawahał się i czekał. — Dzieciakiem poganiałem konie. Mój brat pozostał w zagrodzie. Słuchaj, Jacek, ileż razy po nocach śniła mi się ta chata. Tych drzew

kilka nawisłych, łąka mokra. Jak tobie twój dwór utracony i park, i rzeka twoja.

— Kiedy przez koszary przechodzę, spotykam takich jak ja. Chłopów właśnie. Rekrut. I nie tylko rekrut. Korpus oficerski. Ich bracia na wsi zostali. Przy orce i przy siewie. Oni szarżę wzięli w walce o wolność. O honor swój ludzki — społeczny. Jak twoi przodkowie, mój Jacku.

Równy, melodyjnie i mocno płynął ten głos z ust rozchylonych zaledwie. Jakby płynął z daleka. Znad sandomierskich pagórków. Znad ziemi żyznej, rdzennej, niezawodnej, wpatrzonej pilnie w napięty, lśniący łuk Wisły.

— Obronność państwa, to ten lud, mój Jacku. To te rzesze kmieci od wieków osiadłe na roli. Pamiętaj o własnej historii. Gdy Krzywousty pierwszemu z Białyniów nadawał godność rycerską, ten pierwszy z rodu wszak był także kmieciem. Z tej samej sandomierskiej ziemi. To jest was wszystkich, bracie, wspólny szlachecki początek. Ta chata biała — pierwsza kolebka i twierdza. Odrzucił się nagle na krzesło, aż zajękło. Długo, uporczywie patrzył w oczy Jacka.

— Nie ma Polski bez ludu — głos jego nabrał dziwnej przejrzystości. — Nie ma państwa polskiego bez muru piersi chłopskich. To fałsz, że potęga powstaje w skrytości gabinetów. Że można ją wyłudzić, wykpić, wygrać w grę misterną. Taką potęgą nie zdoła przetrwać próby. Załamie się. Rozprysnie. Jak glina, brąz naśladowca. Jak papierowa, przyklejona maska.

Gaszono lampy. Zsuwano rozstawione stoliki. Wskroś granat szyby spłynęła surowa bladość świtu. Na sali było pusto. Ostatnie dziewczęta zawiedzione i senne zabierały się właśnie do wyjścia. Za ladą w pozycji śpiącego Bachusa drzemał właściciel kawiarni zmożony ostatnim kieliszkiem przepitym do ostatniego z gości.

— Musimy wybierać — rzekł Strwiąż. — Nas nie stać na długie wahania.

Milcząco, twardo, głęboko skinął Jacek głową. Wtedy tamten znowu nachylił się ku niemu.

— Musimy zaraz uczynić — nastawał. — Dopóki nie jest za późno. Dopóki nie załamał się pomost. Nie prysła wiara w odzyskane państwo. Czas skończyć z pozorami siły, spod której słabość przeziara. Z błagą silnej władzy, która jest władzą żandarma.

Był blady. Ręce mu drżały. Oddychał z trudem, jak drwał bijący siekierą.

— Jeśli życie stawia swój znak zapytania — słowa spadały jak ciosy — nie podobna wyminąć go, Jacku. Nie podobna uchylić się od odpowiedzi. Złej czy dobrej. Trafnej czy fałszywej. Życie nie uznaje nieobecnych. Każdy musi wybierać i rozstrzygać.

Przechylił się ciężko nad stołem. Bystrymi, płonącymi oczyma zajrzał w oczy Jacka. W głąb żreń mrocznych, wpatrzonych w szarość wstającego świtu. I stało się dlań jasne, że Jacek myśli tak samo.

XIII

Pani Ludwika Hornowa wyszła z domu o świcie. W pudełku malarskim niosła kolorowe kredki. Małymi, śpiącymi jeszcze uliczkami zmierzała w kierunku Sekwany. Chciała naszkicować jasność majowego poranku odbitą w wodzie wydłuzonej rzeki. Gwałtowne załamanie promieni w przezroczystej, szklanej płaszczyźnie. Ukośny bieg światła tuż ponad płaską, neutralną powierzchnią.

Szła cicho, zamyślona i jeszcze trochę senna. Jakby dotąd nierozbudzona całkowicie. Na delikatnych policzkach czuła świeżość powietrza nadpływającego od rzeki. Rozchylonymi wargami chwytiała wiatr poranny. Mijając Saint-Sulpice zatrzymała się u wylotu wąskiej uliczki Servandoni. Patrzyła przez chwilę na rząd domostw rozłożystych i krzepkich, podobnych do zgromadzenia starców siedzących społem na przyzbie.

Zagłębiła się potem w labirynt przejść krętych, nieoczekiwanych. W szczątki starego Paryża nie tknięte łopatą Hausmanna. W uliczki o nazwach szanownych i przebrzmiałych, których nikt nie przemianował na szczęście podług katalogu

nazwisk współczesnych znakomitości. Ulica Babilonu pozostała Babilońską ulicą. Ulica „Szukaj Południa” nie zmieniła nazwy. Placyku „Czterech Wiatrów” nie przewano placem Brianda, ani ulica „Pieca” nie zaawansowała do rangi ulicy Marszałka Lyautey. Francuski zmysł rzeczywistości wyczuł niewspółmierność tych rzeczy. Mimowolną nutę komizmu ukrytą w powtarzających się chrzcianach. Jakżeby to brzmiało? Ile anegdot zrodziłoby się stąd niezwłocznie? Wprawdzie kiedyś istniała ta moda, ale przeszła. Hołdy o wątpliwej wartości złożono do lamusa.

Pod arkadą pałacu Mazarin pani Ludwika wyszła na wybrzeże. Właśnie słońce wzeszło i mleczna szarość rzeki oblała się barwą ciepłą i zachłanną. Pani Hornowa podniosła rękę do oczu. Patrzyła pod słońce ostrożnie i ciekawie, jak myśliwy rozglądający się w lesie. Łowiła blaski zmienne, zbyt jaskrawe. Niespokojny przelot kolorów i rozświetleń. Potem wzrok skierowała ku rzece i przyglądała się długo jej migotliwej jasności. Na wybrzeżu pusto było, niemal wiejsko. Świergot ptaków łączył się z łagodnym szumem wody. Uwiązane barki kołysały się rytmicznie u brzegu. Z tyłu za pomnikiem Henryka IV wcinął się w rzekę ostro zakończony przylądek. Kilka drzew starych rosło tam w bezpośrednim z wodą sąsiedztwie, jak polskie wierzyby wtłoczone w zasięg spokojnego stawu.

Młoda kobieta podążyła w stronę mostu. Schodkami, ukrytymi za pomnikiem, zeszła w dół

lekko i pewnie. Była teraz na małym przylądku pomiędzy dwoma odnogami Sekwany. Przestrzeń wody jaśniała majowym wczesnym rankiem. Spod łuków mostu spływał cień niebieski. Zieleń drzew odbijała się w fali.

Trzeba to zrobić — myślała rozkładając kredki — ale nie tak, jak mosty Moneta. Dlaczego ten analityczny stosunek do przedmiotu? „Most na Tamizie” to traktat naukowy. Ja wiem, że optycznie tak jest. Że Monet teoretycznie jest ścisły. Ale po co malować podług podręcznika? Barwa jest wartością równoległą myśli. Posiada własną logikę i własne konieczności.

Usłyszała głosy za sobą. Na moście mówiono po polsku. Machinalnie odwróciła głowę i ujrzała Jacka Białynię. Stał w towarzystwie obcego mężczyzny o sztywnej postawie i natarczym spojrzeniu. Nieznajomy właśnie patrzył na nią. Pani Ludwika poczuła na sobie ten wzrok pytający i niewiadomo dlaczego doznała uczucia przykrości.

W tej chwili spostrzegł ją Jacek.

— Dzień dobry — zawołał. — Czy tam przyjść możemy?

Skinęła głową, choć wołałaby może, aby nie schodzili. Ścisłej, aby tamten nie schodził. Lecz oni już byli w pół drogi. Pani Hornowa odłożyła kredki i czekała. Nieznajomy szedł pierwszy równym, twardym krokiem. Miał na sobie ubranie

szare, zbyt obcisłe. Na rękach — żółte rękawiczki sportowe.

Wojskowy w cywilu — pomyślała, szukając za nim Jacka.

— Co pan tu robi? O tej porze? — rzuciła mu poprzez głowę jego towarzysza.

— Pani maluje — odpowiedział — a my oglądamy Paryż.

I zaraz bezpośrednio:

— Mój druh, kapitan Strwiąż, który wczoraj przyjechał z Warszawy.

Podawała rękę obojętnym gestem. Poczowała uścisk mocny i suche muśnięcie przyszytych wąsów. Zwróciła się znowu do Jacka:

— Nie wiedziałam, że pan potrafi wstać tak wcześnie. To nie jest godzina dyplomatów.

— Ale godzina włóczęgów. Myśmy się wcale nie kładli.

Przysiadł na płycie kamiennej i mówił oglądając pierwsze linie szkicu:

— To dużo łatwiej, jeśli się nie spało. Ostatecznie noc mija i nie trzeba więcej myśleć o niej. Wschód słońca orzeźwia i krzepi. Jak w poezji starożytnych Egipcjan. Żaden inny naród nie kochał tak poranku.

Zajrzała mu w oczy wesoło i przekornie:

— Poezja, Egipt, poranek... proszę się przyznać, co to wszystko znaczy?

— Nie znaczy nic — usłyszała głos Strwiąża w odpowiedzi. — Po prostu wracamy z kawiarni.

Stał wyprostowany i sztywny. Zuchwałymi oczyma patrzył uporczywie i twardo.

— Ach, tak — odsunęła się nieco. Poprawiła karton, ujęła znowu kredki.

— Istotnie — potwierdził Jacek — lecz kawiarnia nie odegrała tu roli.

U brzegu odwiązano barki. Odbiły wolno ku środkowi rzeki. Zachybotał nurt i rozbiegły się fale wachlarzowato i sennie. Koloryt wody odmienił się natychmiast. Pojawiły się tony siwe i stalowe.

— Niech pani patrzy — rzekł Jacek — jak rzeka przeobraziła się nagle. Ta sama woda i w tym samym słońcu. Nowy przedmiot w nią wkroczył i zaraz jest już inna. Każdy ton się przełamał i daje efekt odmienny.

Zwróciła ku niemu swe zielonkawe źrenice.

— Czy pan nie sądzi, że z ludźmi jest tak samo? — zapytała.

Zapanowało milczenie. Kapitan Strwiąż miał nerwowo rondo kapelusza. Czuł, że powinien być odejść. Że jej słowa godziły właśnie w niego. W jego przypadkową i zbędną obecność. Że był tym „nowym przedmiotem“, który wkroczył niepotrzebnie i niezdarnie, i że ona, jak woda, „odmieniła się nagle“. Stała się obcą i ciemną. Niechętną i w sobie zamkniętą. Ale nie mógł odebrać się przecie. Wojskowym sposobem dokonać półobrotu i odejść w górę schodami w gwar budzącego się miasta.

— Woda wciąga — rzekł i zaniepokoił się jednocześnie, że może powiedział za wiele.

Spojrzała nań przenikliwie i zimno.

— Woda wciąga — powtórzyła. — Nie należy nachylać się nad głębią.

Przez chwilę patrzyli na siebie, jak dwaj przeciwnicy. Rozważnie i nieżyczliwie. Mądrze i zaczepnie. Zielone oczy kobiety zalśniły szklistym połyskiem, jak kamień szlifowany i chłodny, jaśniejący w mroku.

Strwiąż pierwszy uchylił spojrzenie.

W górze po moście przestronnym przebiegły autobusy, jak skwapliwe żuki o wielkim, lśniącym odwołoku. Przesunął się rząd samochodów, jak mrówki wytkniętą drogą podążające do pracy. Miasto już żyło potężnym, wartkim życiem. Gorączką myśli i skurczem wszystkich członów. Zachłyśnięte benzyną, dławiące się tłumami.

— Na mnie czas — odezwał się Jacek. — Muszę skończyć raport.

Wtedy Strwiąż zrozumiał, że przecie musi odejść.

Błądząc ulicami Paryża bez potrzeby i celu, Michał Strwiąż wracał myślą do porannego spotkania. W perspektywie bulwarów, w skrzyżowaniu szerokich alei ukazywał się tamten zakątek nieoczekiwanie i nagle, jak zwid nad piaskami pustyni. Kapitan poznawał to miejsce, wcisnięte w obszar wody, zakryte drzew koroną przed

spojrzeniami przechodnia. Jakżeż się stało, że dostrzegł tę kobietę, nieznajomą, nigdy nie spotkaną? Właściwie nie powinien był jej widzieć. Gdyby o metr zatrzymali się dalej, nie zobaczyłby jej i nie wskazał Jackowi. Przeszliby oboje nie wzdłuż mostu, i on, Michał Strwiąż, wyjechałby dzisiaj z Paryża tak, jak przybył tu wczoraj: bez własnych związków z tym miastem. Punkt, gdzie stanęli, był jedynym punktem, skąd można ją było zobaczyć. I oni bezwiednie zatrzymali się tam właśnie. Przypadek? Oczywiście przypadek. Wszystko jest w życiu przypadkiem albo z przypadku wypływa. To, że on, syn chłopca z sandomierskiej wioski, chodzi po ulicach Paryża. To, że jest oficerem wojsk polskich, gdy jego dziada, też Michała Strwiąża, kozacy zakłuli spisami w sześćdziesiątym trzecim, kiedy z kosą przekradał się do partii. Dziada zniszczył przypadek, a jego wyniósł i zachował. Dwóch Michałów Strwiążów i dwa rozbieżne losy. Dlaczego? Dziad Michał (wiedział to od ojca) był mądry i dzielny. Lepszego wart był losu. Pies go zdradził: zaszczeakał. Złapali i zakłuli. Psu medal zawiesili na szyi na urągowisko, że niby był wierny: wydał buntownika. On, wnuk, pomścił dziada. Pomścił? Dzięki czemu? Dzięki przypadkowi. Że żadna kula pod czerep nie zajrzała. Że wówczas nad Stochodem szrapnel płuc nie naruszył. Mógł być zginąć w pierwszej potyczce jak tyłu. Odpasć bezimiennie z rejestru śladem dziada. A przecie przetrwał. Zmógł i po-

konał. Wrócił. Dzięki czemu? Dzięki przypadkowi?

I znowu z wyrazistością niezmierną zamaja-
czył mu drobny skwerek tuż nad wodą. Cypl wy-
dłużony i płaski, wparty w środek rzeki. Drzew
kilka nad nurtem nawisłych i monotony, senny
poszum fali. Przymknął oczy i patrzył trochę
drwiąco, nierad, że zjawa powraca, a jednak wciąż
jej ciekaw. Obserwował zjawisko i samego siebie.
Współrzędnie, równocześnie. Oto kredki i kar-
ton. Rysunek ledwie rozpoczęty. Linie splecione,
sprzeczne i żałosne. Nic jeszcze z barw prze-
rzystości. Nic ze zwartości, z męskiej dumy
kształtu. Michał Strwiąż z niedowierzaniem pa-
trzy na tę próbę. Ale obok jest oto kobieta o wą-
skich, spadzistych ramionach. O głowie jasnej,
o oczach zapatrzonych, głębokich. Jakież to ko-
lor tych źrenic? Michał Strwiąż nie może określić
ich koloru. Są siwe i żółte, niebieskie i stalowe.
Są zmienne przedewszystkiem, niby topiel wodna.
Są zielone. Ach, właśnie tak: zielone. Michał
Strwiąż jest zdumiony, że tego nie zauważył od
razu. Że mógł wahać się i szukać.

Odtąd zielone źrenice nie opuszczają go wca-
le. Błądzą przed nim w przestrzeni, jak on sam
błądzi pośród tłumów. Są w górze, nad linią bia-
ło kwitnących kasztanów. Wychylają się z mrocz-
nej arkady. Z rozpiętej w powietrzu tęczy wo-
dotrysku. Gdziekolwiek spojrzy, ma je nieustan-
nie przed sobą. Rozszerzone, uporczywe, pełne jaś-
nień szklistych i gładkiego mroku. Jeśli wszedł do

kawiarni, widzi je w lustrze po stronie przeciw-
ległej. Na próżno pije cassis, cierpką nalewkę
burgundzką, kieliszek za kieliszkiem, jak polską
wódke na pułkowym święcie. Z lustrzanej tafli
wybiega tamto spojrzenie nieoczekiwane, bliskie,
pytające. Wychyla się błysk jakiś i wędruje
ukośnie, aby zabiec mu drogę, jeśli wzrok od-
wróci. Po dwakroć, po trzykroć powtarza do-
świadczenie i zawsze błysk dopada go okrężnie.
Więc zamknął oczy. Gazetą zasłonił się dokład-
nie. Przez chwilę jest ciemno. Zatonął w nocy
sztucznej. Ale niepokój w nim trwa. Pracuje
myśl nieregularnie, przewrotnie. Więc to skoń-
czone? Czy jednak skończone na pewno? Za-
ledwie pomyślał, już były. Jarzyły się blaskiem
zaborczym, tryumfalnym. Utkwiły mu wewnątrz
pod czaszką, jak świecące gwoździe. Nie mógł
się oprzeć. Poddał się. Odsłonił twarz i oczy.

— Woda wciąga — wyrzekł półgłosem i cze-
kał, czy znów w odpowiedzi usłyszy własne
słowa.

Ale tym razem nie było odpowiedzi. Gwar
głosów ludzkich stał się ekwiwalentem milczenia.
Obecność tłumów zapewniła przywilej samotno-
ści. Poczuł się bezmiernie dalekim i samotnym,
jak wówczas nad Stochodem w srożącą się za-
mieć śnieżną. Obcy wszystkiemu i wszystkim.
Wypleniony z ludzkiego podglebia. Jeśli wiatr
się zerwie i uderzy w okna, to tylko po to, aby
odtworzyć raz jeszcze scenarium tamtych nocy,
gdy leżał z krtanią suchą w wilgotnej, ciemnej

ziemiancie. „Otwórz! Otwórz!” Zawyje i zapadnie, jak wówczas, w obszar pól dalekich. Ale on, Michał Strwiąż, teraz otworzy. Tak jest. Teraz otworzy. Na przestrzał, szeroko. Nie ulęknie się. Niech wiatr wejdzie, mroźny wiatr bezludzia. Niech dotknie czoła. Niech wyzna parol tajemny.

Wstał. Płacił długo za stos odstawionych spodków. Przeszedł nazbyt sztywno między stolikami. Wsiadł do najbliższej taksówki nie podając szoferowi adresu. Jechali czas jakiś Wielkimi Bulwarami. Posuwali się wolno w lawinie stłoczonych mechanicznych pojazdów. Nagle koło Madeleine nachylił się ku kierowcy.

— Na Pont Neuf — zawołał. — Koło pomnika.

Gdy auto zatrzymało się na moście, rzeka popieląła już zmierzchem.

Powracając do domu, pani Ludwika obrała drogę przez ulicę Bonaparte i po chwili znalazła się na placu przed kościołem. Potężna wieża romańska rzucała cień poza siebie na dachy domów stłoczonych w wąskim zaułku Opactwa. W jaskrawym słońcu południa cień ten odznaczał się szczególnym nasileniem. Był zgęszczony i płaski, niemal dotykalny. Uzupełniał architekturę świątyni i podkreślał jej prostotę i surowość. Jeszcze nie gotyk lekki i strzelisty, w porywie nieziemskiej ekstazy uciekający w otwartą otchłań nieba. Gotyk jest snem człowieka, jego ucieczką od rzeczywistości doczesnej, material-

nej. Styl romański uwzględnia doczesność. Jest ziemski, zrównoważony i mocny. Pełen surowości i twardej, męskiej prostoty tamtych wieków. Wyszedł z serca ludzi, których życie nie znało marzenia. Dla których kształt fizyczny obracał się w kręgu zamierzeń celowości nie usiłując nigdzie go przełamać. Kościół nie tylko był świątynią. Był on i twierdzą zarazem. Ucieczką dusz, ale także bezpieczeństwem ciała. Wieża kościelna była ostoją miasta czy narodu, jak później stały się szanice. Po cóż tu wszelka ozdoba? Kunszt budowniczy, snycerski? Saint-Germain-des-Prés był wszak bastionem Paryża.

Ale dla nas, dla pokoleń odległych ta zwarłość linii nabiera znamion piękna. Syci wszelkich powikłań, tęsknimy do prostoty. Do rzeczy niezużytych i mocnych, wynurzających się z mroków czasu, jak skalny cypel z szumiącej fali morskiej. I nasze życie ubogie jest w marzenie. I my otoczeni jesteśmy zalewem niebezpieczeństw codziennych. Gdy wieczór zapada, patrzymy z murów miasta, zali nie podchodzi pod nie nieprzyjaciół. Kładąc się do snu nie wiemy, jakie czeka nas jutro. Jak tamci właśnie praojcowie nasi, żyjący na krawędzi dwóch epok i dwóch światów. Jak oni obracamy się w kręgu praktycznej celowości i jak oni nie śmiemy opuścić dobrze znanego terenu. Któż dzisiaj wystrzeli lasem wież i wieżyczek rzeźbionych, nierealnych, których jedynym zadaniem jest przełamanie tyranii praw ciężenia? Rzucenie ziemi w obłoki. Rozpięcie koronki ka-

miennej w przejrzystości pogodnego błękitu. Piękno. Tylko piękno. Nas nie stać na piękno samowładne, rozrzućne, jak nie stać było na nie ubogie narody dziesiątego wieku. Więc znowu muru gładzina przezorna i celowa. Znowu zwartość linii oszczędna, męska, twarda. Wieża Saint-Germain-des-Prés w zastosowaniu do dworców, szkół i ogromnych bloków mieszkaniowych. Do współczesnych bastionów niepewnego życia społecznego. Celowość wynikająca z ubóstwa i obawy. Prostota. Jakiś powiew wczesnego średniowiecza odpowiadający ukrytemu rytmowi historii. Nawrót, który jednak nie może być powrotem.

Pani Ludwika weszła do kościoła. Pod chórem niskim było chłodnawo i ciemno. Słyszała kroki własne, dalekie i obce, jak kroki nieznanego przechodnia odbite echem, zapadające w milczenie. Szła z głową pochyloną, z przymkniętymi oczyma, zapatrzona w treść chwili dla siebie tylko widoczną. Minęła barokowy grobowiec króla Jana Kazimierza, ten skrawek Polski zapomniany przez Polaków, i uklękła przed bocznym ołtarzem.

Było cicho. Kościół był pusty. Zaledwie kilka dewotek drzemało na niewygodnych, słomą wyplatanych krzesłach. Jakiś starzec modlił się półgłosem. Podnosił głowę znużonym, mdlejącym prawie ruchem i powtarzał słowa krótkie, urywane. Miał oczy zgąsłe, jakby mgłą powleczone. Twarz wyniszczoną, przezroczyście dłonie. Był trupem. Truchłem ludzkim, zwalonym u podnóża kościelnego filaru. I tylko z tej piersi zapadłej,

jak wiejska, zaniedbana mogiła, wydobywał się głos pełny, głęboki, wibrujący. Nabrzmiały wiarą, podobny chwilami do dalekiego, stłumionego śpiewu. Głos, który skupił w sobie ostatek sił człowieczych i śmierć przemagając, w żarliwym porwywie zrywał się do ostatecznego lotu w nieśmiertelność.

I oto dla klęczącej samotnie kobiety głos ten stał się dziwnie zrozumiały i bliski. Przemówił treścią od słów niezależną. Językiem swojskim, bezpośrednim, niezawodnym. Ogarnęła to życie obce i nieznane, jak lotnik ogląda rozlewność rzek i stromość górskich przełęczy: jednym spojrzeniem, pewnie, bez zastrzeżeń. Pojęła jego wzloty i upadki. Kolejność wysiłku i okresy martwoty duchowej. Przewrotność grzechu, który stwierdza zadowalniający stan rzeczy i jest sytością ducha, i powrót Łaski, który jest burzy powrotem. Zrozumieniem małości dokonań i pożądaniem rzeczy stokroć większych. Bowiem nie w spełnieniu jest szczęście i zasługa, ale w wysiłku, w porywie, w żarliwości. Nie w zakończonym dziele, ale w tęsknocie za doskonałością dzieł nigdy nie osiągniętych. Nieskończoną.

Wydało się pani Ludwice, że jej życie podobne jest do życia tego starca. Że i ona błądziła tak samo, uwikłana w doczesności na kształt szafirowej ważki. Że wszystko to jednak puste jest i liचे i że trzeba się modlić, aby odnaleźć istotną wartość życia. Złożyła więc na stopniach kolorowe kredki — narzędzie pracy swojej — i pochy-

liwszy głowę poczęła się modlić półgłosem. W innym języku i odmiennymi słowami, ale przecie wspólnie z klęczącym za nią starcem. Jak modła się ci wszyscy, których nie łączy ani krew, ni język, ale którzy są bliscy przez wspólność wiary swojej.

— Bójże się Boga. Gdzieżeś ty był, Michale?

Zajrzał badawczo w oczy przyjaciela i spostrzegł ich wyraz znużony i pośepny.

— Czekaliśmy na ciebie do siódmej w Ambasadzie. Potem tu byłem w hotelu. Potem znowu wpadłem do Ambasady. Kazałem woźnemu, aby o dziesiątej zawiózł walizy na dworzec. Czekaj, jest dziewiąta. Mamy godzinę czasu.

Strwiąż dźwignął się z kanapki. Niechętnie, ociężale, jakby pod przymusem. Ręką oczy przesłonił chroniąc je przed światłem. W pokoju, gdy Jacek wszedł, było ciemno.

— Spałeś?

Nie odpowiedział. Siedział pochylony, z twarzą w dłoniach ukrytą. Jaskrawe światło lampy padało mu na tył głowy i zgięte w pałąk plecy. Lekko, nieznacznie pod szarą marynarką poruszały się płaskie łopatki.

— No więc cóż? — zapytał Jacek. — Jedziesz dziś, czy zostaniesz do jutra?

Wtedy się zerwał. Przeszedł na środek pokoju. Stał pod lampą wyprostowany i sztywny.

— Jadę dziś — rzekł. — Oczywiście dziś. Wędług rozkładu. Ani chwili dłużej.

Chodził po pokoju zbierając rozrzucone drobiazgi. Ręce mu drżały. Na skroniach pot wystąpił.

— Pojedziesz jutro, Michale. Dzisiaj jesteś chory.

Tamten zatrzymał się. Wyraźnie wahał się, roztrząsał.

— Pojadę dziś — wyrzekł wreszcie. — Muszę być w Warszawie jak najprędzej.

Jacek usiadł na opuszczonej kanapie. Skupionym wzrokiem śledził kroki towarzysza. Jego niepokojne, często bezcelowe ruchy.

— W takim razie — mówił — spotkamy się niedługo. W walizie jest moje podanie. Proszę o odwołanie ze względu na sprawy osobiste. Na Paryż nie zabraknie chętnych kandydatów. Będę na pewno wkrótce odwołany.

Strwiąż przestał chodzić. Zatrzymał się nagle przed Jackiem. Rozchylone palce jego lewej ręki wyrażały zdziwienie i niepewność.

— Jak to? — zapytał ściszym, obcym głosem.

Z kolei zdziwił się Jacek.

— No, przecie gadaliśmy o tym noc całą. Wczorajszą noc, mój drogi. Po cóż mam czekać? Skoro potrzeba, wracam do kraju. Jestem z wami.

W ciemnych oczach Strwiąża zapaliło się coś naraz i zgasło. Stał wciąż przed Jackiem zagładając mu w twarz natarczywie i twardo. Jak człowiek spragniony, spoglądający w głąb przypadkowo napotkanej studni.

— Jak to? — powtórzył. — Rozstajesz się z Paryżem? Ciebie nic tu nie łączy?

— Łączy wszystko — odparł Białynia — ale pamiętasz chyba, o czym myśmy mówili?

Nie mógł zrozumieć, co się stało ze Strwiążem. Rozstali się z rana na moście. Jacek dzień cały spędził na opracowaniu tygodniowego raportu ekonomicznego Ambasady. Miał jeszcze w głowie zamęt cyfr i cytat. Wykazy portowe i zreformowaną tabelę ceł preferencyjnych. Od dwunastu godzin nie myślał o czym innym.

— Więc rzucasz Paryż? — nalegał tamten nie wiadomo czemu. — Rzucasz Paryż? Bez żalu? Dobrowolnie?

— Przecie słyszałeś — zniecierpliwił się Jacek. — W ogóle nie rozumiem, o co tobie chodzi. Gdzieś ty był? Co robiłeś cały dzień, do licha?

Utkwił wzrok w zmęczonych oczach przyjaciela. W jego twarzy bladej, zastygłej i cierpiącej.

— Gdzieś ty był? — ponowił z naciskiem zapytanie.

Ale Michał Strwiąż opanovał się właśnie.

— To nic. Jestem zmęczony — powiedział. — Zdrzemnąłem się trochę o zmroku.

Począł znowu się krzątać. Zbierać jakieś papiery, zamykać podręczną walizę. Zadzwoił na kelnera. Kazał przynieść rachunek.

Jacek wstał i powoli przeszedł się po pokoju. Po hotelowym pokoju utrzymanym w szablonie przeciętnego komfortu i mechanicznej, bezosobowej wygody. Przyjrzał się białym firankom, la-

kierowanej, skromnej toalecie. Kolorowe zdjęcia Paryża leżały obok na stole. Wszystkie przedstawiały Pont Neuf i konny pomnik zwycięskiego Burbona. Było tych zdjęć kilkanaście.

— A, zapomniałem to zapakować — głos Strwiąża zabrzmiał jakąś nutą fałszywą.

Zbliżył się i pośpiesznie zbierał fotografie. Zamiast do walizy, włożył je wprost do bocznej kieszeni marynarki. Niezręcznie, niemal ukradkiem. Gest zdradzał zakłopotanie i trochę wstydlivości, jak ruchy chłopca przyłapanego na psocie.

XIV

„Z przyjacielem moim Sebastianem de Beaucaire przechadzałem się w ogrodach Wersalu. Był dzień czerwcowy, jasny i gorący. Białe obłoki odbijały się w wodzie środkowego kanału. Płynęły ze wschodu na zachód, jak korweta o żaglach rozpiętych, choć nie czuć było wiatru.”

„Przyglądałem się pięknym alejom i gajom umiejętnie rozrzuconym wokoło, którymi pan Le Nôtre przyozdobił rezydencję króla. Buki i dęby, klony i jawory wydały się cudowniejszymi od arkad i marmurów. Bardziej królewskie i bardziej króla godne. Zrozumiałem wówczas, dlaczego tłoczno mi było w Wenecji.”

Jacek Białynia odłożył na chwilę francuskie mémoires'y naddziada swego Andrzeja Lacczańskiego. Na przestronnym biurku sekretarza Ambasady spoczęła książeczka niewielka, oprawna w safian zielony z tłoczonym herbem rodziny de Beaucaire'ów. Żółte „koszulki” tajnych raportów i instrukcji zabarwiły się odcieniem trawiastym. Zaszleściły cicho i ostrożnie, jakby witając szanownego gościa.

To są dwa wieki — myślał Jacek. — Dwa wieki, które oznaczają dla Polski upadek jej i odrodzenie. Samo dno niewoli i powrót na powierzchnię życia. Osiem pokoleń żyło w tym okresie. Osiem pokoleń przeszło ścieżką ziemską. Pamiętniki naddziada brzmią już jak echo dalekie. Jak mowa cieniów zabłąkana i dla wielu obca.

Ale buki i dęby, klony i jawory, które on oglądał, rosna dotąd może. W tym samym parku Wersalskim, gdzie daleki potomek Andrzeja Lacczańskiego przechadza się chętnie w towarzystwie francuskich przyjaciół. Tą samą aleją i pod tym samym drzewem. Pod drzewem, które pamięta sylwetkę tamtego przechodnia. Twarz ogoloną starannie i pudrowane loki pod brzegiem czarnego kapelusza. Wzrok przenikliwy i uśmiech doskonale uprzejmy. Słowa odmierzone i świetną giętkość myśli.

Z punktu widzenia drzewa czas ma inną wartość — myślał dalej Jacek. — Wieki są mniej przeraźliwe i mniej niepojęte. Więz pokoleń rozciąga się dalej i obejmuje większy zasięg czasu. To, co dla nas jest zmierzchną przeszłością, dla drzewa jest niemal współczesne.

Otworzył okno i spojrzał w pogodny błękit nieba. Białe obłoki płynęły ze wschodu na zachód, jak korweta o żaglach rozpiętych. Odbijały się w wodzie Sekwany i bezgłośnie przesuwały się nad miastem. W stronę Wersalu. Jak wtedy, gdy Andrzej Lacczański, pierwszy polski emigrant po-

lityczny, oglądał powstającą rezydencję Króla Słońca.

Kiedy Jacek odwrócił się od okna, spostrzegł profesora Bogusławskiego stojącego przy biurku z pamiętnikami Andrzeja Lacczańskiego w ręku.

— Ach, panie profesorze, nie słyszałem, że pan tu wszedł.

— Na razie nie jestem fakirem — uśmiechnął się profesor. — Wszedłem jak wszyscy. Po prostu woźny mię wprowadził.

Podali sobie rękę i zajęli miejsca. Ale zielona książeczka intrygowała gościa wyraźnie. Troskliwą dłonią gładził grzbiet złożony.

— Co to jest? — zapytał i wskazał przedmiot lekkim ruchem głowy.

— Pamiętniki mego przodka z linii macierzystej. Uczestnika bitwy pod Połtawą i stronnika króla Stanisława. Znalazłem je tutaj w Paryżu, gdzie on na emigracji przebywał, i wożę ze sobą po świecie.

— Często do nich zaglądasz?

— Owszem — przyznał Jacek. — Znajduję w nich opisy krajów, które sam zwiedziłem. Te same miasta. Czasem te same gmachy i ulice. To ciekawe, taka konfrontacja. Taki powrót do miejsc i do zdarzeń...

— Jak to? Do zdarzeń?

Jacek zastanowił się.

— Oczywiście — zgodził się — użyłem niewłaściwego wyrazu. Słowo samo wbiegło mi na usta. Do zdarzeń? Oczywiście, do zdarzeń nie może być powrotu. Po dwóch wiekach zwłaszcza.

Wszakże profesor Bogusławski ściągnął brwi i spojrzał badawczo.

— Czy jesteś tego pewien? — zapytał niespodzianie.

Teraz Jacek nie rozumiał go wcale. Nie ogarniał biegu jego myśli przechodzącej przy pomocy dwóch kolejnych pytań od przezornej negacji do ostrożnego twierdzenia. Wydało mu się, że w tym tkwi niewątpliwa sprzeczność. Pochylony nad biurkiem, sam odpowiedział zapytaniem:

— Dlaczego miałbym nie być tego pewien?

— Bo użyłeś słowa, które „samo wbiegło na usta”. Jeśli słowo „wbiega samo”, to nie jest to prosty przypadek. To znaczy, że odpowiada ono pewnej wewnętrznej potrzebie. Pewnemu ukrytemu stanowi świadomości, który może nie być oficjalnym stanowiskiem człowieka, ale który jest bardziej znamieny od głoszonych konwencjonalnych poglądów. To słowo „nieściśle użyte” jest najcenniejszą wskazówką. Każdy sędzia śledczy wie o tym.

— Więc pan sądzi, panie profesorze?

— Sądzę, że to słowo zdradziło ciebie, Jacku.

Troskliwą dłonią dotknął ponownie złożonego grzbietu książki. Jej kart pożółkłych, a jednak

niespożycie trwałych. Wyczuł palcami tłoczony herb de Beaucaire'ów. I naraz cofnął rękę, jakby z urazą i żalem.

— O — wyrzekł cicho — nie zawsze zostają pamiątki.

Od kilku dni profesor Bogusławski zamierzał już wracać do Polski. Sprawy zawodowe wymagały tego powrotu. Pobyt w Paryżu przedłużył się bardzo znacznie, nie przynosząc w zamian konkretnych rezultatów. Po sześciu tygodniach porad i obserwacji lekarze orzekli, że nie widzą powodów niepokoju. Wprawdzie stan zdrowia Hani nie był całkowicie zadowalniający. Wprawdzie zachodziły objawy, które należało uznać za odchylenia od przeciętnej, pożądanej normy. Ale z drugiej strony charakter tych odchylenia nie wskazywał bynajmniej na ich wyraźne chorobowe podłoże. Na jakąś organiczną wadę lub utajony proces rozstrojowy. Nie. Dziewczynka miała normalny wzrost i wagę. Odznaczała się inteligencją bystrą, dociekliwą. Reagowała normalnie na stosowane badania psychotechniczne. Przechodziła poprawnie próby i zabiegi. Była może zanadto nerwowa. Może zanadto wrażliwa, przeczulona. Miewała chwile bezprzyczynowego wewnętrznego niepokoju. Wówczas jej wyobrażenia, pracując we wzmożonym tempie, nadawała swoisty ton odczuciom rzeczywistości zewnętrznej. Dominowała poniekąd nad bezpośrednim doznaniem, jak dominuje wyobrażenia artysty przetwarzającego rzeczywistość

na miarę własnej, nierealnej wizji. Ale można to było tłumaczyć zarówno przedwczesnym okresem pokwitania, jak też temperamentem specjalnym, wynikłym ze związku dwóch ras o tak odmiennych cechach i wartościach.

— Większość bodaj artystów i pisarzy — brzmiał uspokajający werdykt autorytetów — podlegała w młodości podobnym odchyleniom. Goethe nie był od nich wolny. Ten przykład świadczy najlepiej, że nie są one sprzeczne ani ze znakomitości uzdolnieniami, ani z ogólnym dobrym zdrowiem ciała. Stanowią raczej cechę indywidualną, nie zawsze w życiu szczęśliwą, ale nie przekraczającą norm uznanych przez naukę za przeciętny wskaźnik zdrowotności współczesnej.

To było nic i to było wiele. Odpowiedź Pitti zawierająca w sobie treść każdą, podobnie jak algebraiczne równanie odpowiada każdemu cyfrowemu znaczeniu. Profesor Bogusławski znał ten język wtajemniczonych. Wiedział, że w tłumaczeniu na mowę pospolitą uczona formuła oznacza po prostu wyznanie niewiedomości. Ale żaden autorytet nie może publicznie przyznać się do tego. Powiedzieć krótko i zwięźle, jak mówi ogół ludzi: „Nie wiem. Nie rozumiem.“ Byłoby to bowiem dyskredytowaniem autorytetów w oczach tłumu. W opinii maluczkich, którzy pragną wierzyć w tych, co „wiedzą lepiej“, aby nie potrzebować samemu się wysilać. W ten sposób gnuśność myśli znajduje usprawiedliwienie. Ospalstwo jest podniesione do godności cnót obywatelskich.

Więc jest, jak wówczas — myślał profesor Bogusławski przypominając sobie własne usiłowania sprzed lat ośmiu. — Na dociekania moje odpowiadano skomplikowaną formułą magiczną, zawierającą powszechnie znane przesłanki i nie zawierającą żadnych określonych wniosków.

Zastanowił się. Przyszedł mu na myśl profesor Janet. Jego ogromna głowa i wątle, delikatne ręce. Jego zmęczone, spłowiałe, szaro-żółte oczy, w których zapalał się przecie nagły błysk żarliwy.

Janet jest szczery — skorygował swe uogólnienie. — Janet jest szczery, ale Janet nic właściwie nie wie. Ma tylko odwagę przyznać się, że nie wie. To dużo. To jest oczyszczenie przedpola. Odkłamanie autorytetu autorytetów. Ale to nie daje jednak odpowiedzi. Nie uchyla rąbka tajemnicy.

Niespodzianie prawie dla samego siebie postanowił wracać do Polski. Zaprzestać bezowocnych wysiłków. Poszukiwań prowadzących w próżnię. Daremnych błędzeń po *mare tenebrarum*. Raz jeszcze doznał potrzeby ucieczki od niepokojących zagadek do rzeczy prostych, dokładnie określonych. Uwarunkowanych czasem i przestrzenią. Zamkniętych jak obręcz i zakończonych jak kula.

Tegoż dnia jeszcze odwiedził profesora Janet w jego pracowni.

— Drogi kolego — rzekł — przychodzę z pożegnaniem. Sprawy moje wymagają powrotu. Za kilka dni wyjeżdżam z wnuczką do Lwowa.

Słynny neurolog dzwignął swą olbrzymią głowę. Jego łysa czaszka połykiwała w półcieniu gładziczną kość słoniową.

— Czy znalazł pan — zagadnął — zadowolniającą odpowiedź? Wyjaśnienie?

— Nie. Ale więcej już nie będę szukać — odrzekł profesor Bogusławski.

Łysy czerep Francuza zachwiał się w obie strony, jak w ruch puszczony wahadło. W spłowiałych oczach zatliły się ogniki.

— Pan się myli — zawołał. — Pan się myli. To jest tylko zamiar rezygnacji. Próba odwrotu i próba bezpieczeństwa. Ucieczka przed sobą i przed myślą własną. Ale to nigdy nam się nie udaje.

Nachylił ku gościowi swą twarz o przezroczyстых, krwi pozbawionych policzkach. Masywny obłąk czoła obniżył się ukośnie i jakby jeszcze urósł. Wyogromniał.

— To nam się nigdy nie udaje, towarzyszu — mówił głuchym, idącym z głębi piersi głosem. — Tego nigdy dopiąć nie możemy. Tajemnica potężniejsza jest od nas. To nie my ją zdobywamy. To ona nas posiada. Ona nas gna, gdy idziemy naprzód, i ona nie pozwala nam spocząć. Ktokolwiek zakosztował jej smaku, ten już nigdy wyzwolić się nie może. Opium i haszysz bardziej są niewinne. Legendarny peyotl nie stwarza takich więzów. Pan się myli, profesorze Bogusławski. Pan

będzie szukał. Wbrew woli własnej. Jak najędzniejszy narkoman. Pan już żyć nie potrafi inaczej, ani umrzeć.

Jacek Białynia ponownie nie zrozumiał gościa. „Nie zawsze zostają pamiętniki”. Jakiż sens istotny krył się w tym stwierdzeniu? Co mógł mieć na myśli profesor Bogusławski?

Jacek wpatrzył się w książkę leżącą przed nim na stole. W stosik starego papieru powleczonej skórą złoconą. Przypomniawszy sobie tę chwilę, kiedy przypadkiem znalazł owo dziełko. Gdy po raz pierwszy wziął je do ręki i z biciem serca odczytywał tytułową stronę.

Już wówczas poczuł związek, który był czymś więcej niż związek samego imienia. Niż szablonowe, heraldyczne ujęcie tej filiacji. Tylu przodków znamy z imienia. Że żyli i że takie a takie pozostawili potomstwo. To jest ta szlachecka nauka rodowodów lubująca się w datach, nazwiskach i tytułach. Wiedza powierzchowna o kilku tysiącach rodzin na przestrzeni paru, czasem kilku wieków. Jakże rzadko uwzględnia ona fizjologiczne tworzywo człowieka. Jeszcze rzadziej, całkiem wyjątkowo dostarcza luźnych, niepewnych wiadomości o stronie duchowej tych świetnych antenatów. Gdy nawet wiemy o nich, że posiadali włości niezliczone, nie zawsze możemy być pewni, czy jednak byli piśmienni.

Ale w tym wypadku związek był inny. Na innych czynnikach oparty. Z rytmu prozy oszczęd-

nej i przejrzystej, ze słów doskonale użytych, odpowiadających ściśle zamierzeniu, z wyrazistości zdania o starannie odmierzonego spadku wyzierał przekrój umysłowości jasnej, badawczej, harmonijnej. Jacek odczuwał swoisty urok książki, ale jeszcze bardziej samą osobowość autora. Bliską, bezpośrednią, jakby współobecną. Ten styl brzmiał mu w uchu, jak własna niemal mowa. Jak prawzór własnych oszczędnych i ścisłych wyrażań. On sam tak by spisał owe dawne dzieje. Czy tylko spisał? Gdyby żył wówczas, czy nie żyłby podobnie? Czy nie tak samo reagowałby na splot wydarzeń i przeciwieństw? Na bierność, podstęp, służalstwo? Na zabiegi o słuszność pozorną, połączone z wewnętrznym cynizmem? Gdyby żył wówczas, czyżby się nie znalazł w obozie przeciwników tego „mocnego” Augusta? Bieg życia jest konsekwencją przyjętych i stosowanych założeń moralnych. Bardziej niż z przyczyn zewnętrznych, wynika on z moralnej postawy człowieka.

— Panie profesorze — wzrok Jacka spoczął uporczywie na twarzy uczonego — czy pan wyklucza możliwość powtarzalności? Nawrotu do określonego typu ludzkiego po dłuższym okresie odmiennych typów przejściowych?

— Gdybyś mię spytał o to przed dwudziestu laty — profesor uśmiechnął się lekko — byłbym w nie lada kłopotcie. Musiałbym dać odpowiedź wyraźnie negatywną albo stanąć na gruncie metafizyki. Cytować Empedoklesa i mędrców budyjskich. Może Towiańskiego. Ale dziś — pro-

fesor znowu się uśmiechnął — rozpiętość tych stanowisk według mnie uległa redukcji. Teoria wędrującego genu tworzy cień pomostu. Mało uchwytne, lecz nie dający się odrzucić punkt styczności. Można się spierać. Nie potrzeba już wyklinać się nawzajem.

— Więc pan sądzi? — powtórzył Jacek niedawne zapytanie.

— Sądzę — odpowiedział profesor Bogusławski — że jesteśmy u progu tajemnicy. Że w każdym razie ta wędrówka genu poprzez pokolenia, czasami poprzez dziesiątki pokoleń, jest bardziej istotna od nauki o herbach i tytułach. Z punktu widzenia heraldyka przede wszystkim.

Wyprostował się i mówił dalej spokojnie, jasno, rzeczowo:

— Wydaje mi się, że z tego punktu widzenia rodowód Kopernika jest ważniejszy od genealogii współczesnych mu, niepiśmiennych litewskich rodów książęcych. Pochodzenie — to nie jest tytuł, nazwisko. Pochodzenie — to ciągłość biologiczna. To ciągłość życia poprzez śmierć pokoleń. To nurt ukryty, głęboki, gdzie pokolenia ostatnie odgrywają rolę niejednokrotnie podrzędną. Rolę przenosicieli cech pozornie zatracanych. Hemofilia przechodzi na synów z krwią matek, które same z reguły są zdrowe, ale których ojcowie podlegali niegdyś chorobie. To tylko fragment zjawisk codziennie spotykanych. Pradziadowie zmartwychwstają w prawnukach. I to jest najgłębsza

tajemnica życia. Najistotniejszy sens naszej nowoczesności.

Zamilkli i patrzyli obaj na małą, starą książeczkę leżącą między nimi na stole. Na pamiątniki polskiego emigranta politycznego sprzed dwóch wieków. Z czasów posępnych, gdy Polska rozdarta wewnętrznie schodziła, jak listopadowe słońce, w mrok kłębiącego się zmierzchu. Przy silnych rządach mocnej Augustowej ręki i przy rozgromionych przezeń sześciodzielnym, niemych, zależnionych sejmach.

— Panie profesorze — zagadnął wreszcie Jacek — jeśli reakcja jednostki pozostaje w związku z cechami organizmu, to powtarzalność typu daje analogię życia? Jakąś ogólną zbieżność losu? Czy to już determinizm materialistyczny? Nieznośne prawo serii?

Profesor Bogusławski nie śpieszył z odpowiedzią. Jego niebieskie oczy powlokły się mgiełką bladawą. Oparta o stół, zaciśnięta ręka drżała nerwowo, a kąty ust osunęły się w skurczu bolesnym.

— Czyż my sami — mówił dalej Jacek — nie wnosimy nowych, twórczych elementów? Wartości własnych, niezależnych, zwycięskich? Czyż każdy z nas nie wymawia tego słowa: „Stań się”, przez które życie jego nabiera istotnego, niezastąpionego znaczenia? Nie istniejeż granica pomiędzy powtarzalnością typu a niepowtarzalnością człowieka?

Atoli profesor Bogusławski nadal trwał w milczeniu. Jacek spostrzegł jedynie, że drżenie zaciśniętej ręki upowszechnia się. Przechodzi z wolna na ciało. Biały gors koszuli chwiał się jak płachta poruszana wiatrem. W głębi źrenic zeszło się coś i zabłysło. Jacek odwrócił głowę i udał, że nie widzi.

— Jacku! Jacku!

Drzwi się otwarły gwałtownie i ukazała się biała, wzburzona twarz Mikulicza. Wszedł bez pukania, wbrew swoim dyskretnym zwyczajom, progu wyciągał rękę ze zmiętym skrawkiem papieru. Jacek poznał pokreślony tekst szyfru. Grupy cyfr i nad nimi rozstrzelone sylaby.

— Dymisja rządu!

Spojrzeli po sobie. W oczy. Prosto, twardo.

— Obalony?

— Nie. Premier stwierdził, że „rząd odszedł, nie upadł”. Przed kilku jeszcze dniami znalazła się w Sejmie znaczna większość rządowa. 26-go kwietnia uchwalono prowizorium budżetowe. To było pełne zwycięstwo. Sejm wyraził gotowość współpracy. Zaufanie.

— 26 kwietnia? Czekać, którego dzisiaj mamy?

Odwrócili oczy szukając kalendarza. Zaczerniała im cyfra ogromna, natrętna. — Piąty. Piąty maja.

— Więc to było przed dziewięciu dniami — powiedział Jacek chłodno. — Ale już przedtem...

Czekać, przypomnę sobie dokładnie. Tak: na pięć dni przedtem premier Skrzyński zgłosił dymisję, której Pan Prezydent nie przyjął.

Mikulicz usiadł nareszcie. Ułożył chorą nogę i rozcierał długo, troskliwie.

— Nie rozumiem — mówił. — Zupełnie nie rozumiem. O co mogło chodzić? Wszak Skrzyński posiadał zaufanie Prezydenta i wyraźną większość w parlamencie. Dlaczego rzekł się? Dlaczego stworzył przesilenie?

— Powiedz raczej — poprawił go Jacek — dlaczego systematycznie otwierał przesilenie?

Słowa padły w próżnię. Nastąpiło uparte, kłopotliwe milczenie. Patrzyli przed siebie znużonym, niewidzącym wzrokiem, usiłując przeniknąć gromadzące się mroki. Słońce właśnie zaszło i pierwszy fiolet nocy spływał w głąb pokoju z rozpostartych na zewnątrz gęstych cedrowych gałęzi.

— Dlaczego systematycznie otwierał przesilenie? — powtórzył słowa Jacka profesor Bogusławski. — Premier systematycznie otwierający przesilenie? Wbrew woli Głowy Państwa. Wbrew popierającej go większości parlamentarnej. Premier poszukujący upadku własnego gabinetu, gdy wszystkie miarodajne czynniki zabiegają o utrzymanie go. Dziwny wypadek. Nie spotykany doprawdy.

Znowu zaległo milczenie. Głuche i ważne jak cisza sklepień kamiennych. Gałęzie cedru kołysały się wolno na wietrze, jak skrzydła ptasie o fantastycznym wykroju. Od rzeki dobiegł plusk

wody. To przepełnione spacerowe statki wracały śpiesznie z Suresnes i z Saint-Cloud.

— Myślę — profesor Bogusławski zakrył oczy dłonią — że jednak nie jest to przypadek. Że komus zależało na dymisji rządu. Na wywołaniu wrażenia, że Państwo jest na rozdrożu. Że trzeba je na gwałt ocalać. Za rezygnacją Skrzyńskiego stoi kto inny, o wiele potężniejszy. Sam Skrzyński był kartą, którą zagrano jak w staroświeckim pasjansie.

— To więcej niż lekkomyślność — Jacek szyfr ujął ostrożnym, brzydzącym się gestem. — To więcej niż lekkomyślność, że „rząd odszedł, nie upadł”. To przestępstwo. Ale w chwili obecnej któż będzie tego żałować? „Odszedł” rząd, który powinien był upaść. Oto wszystko na razie.

— Na razie?

— Tak, profesorze: na razie. Gra rozpoczęta zaledwie. Pan sam to stwierdził pośrednio. Teraz się ruszą wszystkie ukryte sprężyny. Potoczy się koło rokowań, kompromisów. Przetarg. Opinia publiczna? Opinii nie ma dziś w Polsce. Społeczeństwo przyjmie każde rozstrzygnięcie. Każdą narzuconą sobie rzeczywistość.

Wstał i nie zapalając lampy począł krążyć pomiędzy biurkiem a kanapą. W zmierzchu łagodnym przesuwiał się po dywanie cichym, regularnym krokiem. Od profesora do Mikulicza i z powrotem. Jak cień błędzący po średniowiecznym donżonie.

— Jeśli Skrzyński odszedł — dobiegł z kanapy głos attaché Ambasady — no, to przyjdzie następca. Z każdej sytuacji jakoś się wychodzi.

Wtedy Jacek zatrzymał się w pół kroku.

— Z każdej sytuacji jakoś się wychodzi, ale nie każde wyjście jest do przyjęcia.

Pochylił się w mroku ku ciemnemu wnętrzu. Ku bezwładnej, stopionej z sobą masie mebla i człowieka.

— Są wyjścia, które się z góry odrzuca. Których przyjąć nie wolno — wymówił ostrym, karcącym niemal głosem. — Bierność nierzadko jest współodpowiedzialnością, Romanie. I bierność się mści. Pamiętaj. Bardziej od błędów mści się bierność właśnie. Lęk przed sprzeciwem. Nadmierny realizm życiowy.

Odwrócił się szybko i jał znowu krążyć pomiędzy kanapą a biurkiem.

— Niewesołą przyszłość zapowiadasz — powiedział profesor Bogusławski i naraz przypomniał sobie, że były to słowa Jacka. Tak. Słowa Jacka sprzed kilku zaledwie tygodni. Wypowiedziane wówczas po wyjściu od Mickiewiczów. Podczas nocnej gawędy nad brzegiem sennej Sekwany.

Ale to samo również przyszło na myśl Białyni. I on przypomniał sobie niedawną tę rozmowę. Pojął, że chociaż role na pozór się zmieniły, to jednak obaj myślą w istocie tak samo. I dlatego odpowiedział słowami, które wówczas usłyszał i które przetrwały w głębokich złożach pamięci:

— Nie. Wierzę w przyszłość narodu. W jego moc i hart. W niezłomną wolę zwycięstwa. Apatia, bierność — to „procesy gnilne, uboczne”. To miazga niewoli tkwiąca w słojach podskórnych. Ale rdzeń narodu zdrowy jest i silny. Zdolny do reakcji. Do walki i porywu. Rachunek bierności zawiedzie. Zawieść musi. Jest to rachunek na najbliższy kwadrans historii. Na okres przejściowy wyczerpania i lęku przed odpowiedzialnością dziejową. Opinii w Polsce dziś nie ma. Ale będzie. Opinia rodzi się z walki, jak iskra spod uderzenia krzesiwa. Dziś społeczeństwo przyjmie każde rozstrzygnięcie. Każdą narzuconą sobie rzeczywistość. Ale jutro będzie inaczej. Trzeba stawiać na rachunek trwały. Na Polskę jutra.

Rozstawszy się z Jackiem profesor Bogusławski wracał pośpiesznie do domu. Do pensjonatu przy rue des Ecoles, gdzie pozostawił Haneczkę. Dziewczynka dnia tego była swobodna i wesoła. Spędziła rano w Jardin des Plantes, zajęta karmieniem ulubionych zwierząt. Po powrocie opowiadała z przejęciem, że ją już tam znają. Że zaledwie ukaże się na ścieżce, już papugi biją kolorowymi skrzydłami i nawiązują gardłowym, niecierpliwym krzykiem, podobnym do skrzypu powrozów. Że lwy podchodzą do niej aż do brzegu klatki i topazowymi oczyma przypatrują się pilnie i życzliwie. „Jak wielkie koty, co chcą, aby je pogłaskać.” Że słoń jest dobrotliwy i miły. „Patrzy tak, jakby wszystko rozumiał.” Tylko

małpy dotychczas nie zawarły przyjaźni. Owszem, chwytają jabłka i łakocie, ale zaraz uciekają w podrygach. Wykrzywiają się przy tym straszliwie i plują na pożywienie, zanim jeść rozpoczną.

— Są obrzydliwe, mój dziadziu. Zupełnie do ludzi podobne, ale do takich, którzy nie chcieli być ludźmi. Nie będę chodzić do nich ani ich karmić. Wolę małe niedźwiadki i śmiesznego liska.

Po dniach niepewności i lęku profesor patrzył z radością na dobry humor wnuczki. Z zadowoleniem stwierdzał wobec siebie samego, że lekarze tym razem przecie mieli rację. Istotnie, do obaw brak było jakiejkolwiek podstawy. Nie zachodził wszak żaden proces chorobowy. Dziewczynka miała nie tylko normalny wzrost i wagę, lecz posiadała obecnie usposobienie pogodne, świadczące o odzyskanej równowadze duchowej. Wiadomość o powrocie do kraju przyjęła chętnie. Nie wspominała więcej o Florencji. Jakby zapomniała ten pobyt kilkudniowy. Było to najzupełniej zrozumiałe wobec tylu nowych, natarczywych wrażeń. Życie robiło swoje. Zgiełkliwy, różnorodny Paryż wypierał z pamięci tamto ciche miasto.

— Teraz pojedziemy do Polski — postanowił profesor. — Wiosna jest w pełni. Przyjdą wakacje w lasach jodłowych na stokach Podkarpacia i natura okaże się najcudowniejszym z lekarzy. A za rok Hania będzie już prawie dorosła.

Pełen otuchy wybrał się do Ambasady. Nawet dziwna rozmowa z profesorem Janet nie wywarła na nim trwalszego wrażenia. „Tajemnica potęż-

niejsza jest od nas. To nie my ją zdobywamy. To ona nas posiada. Pan się myli, profesorze Bogusławski. Pan będziesz szukać." No, tak. Zapewne, zapewne. W godzinę później nie myślał wszakże o tym. Był rad, że troska odsunęła się przecie. Że może na nowo podjąć swoje prace. Zakończyć cykl wykładów.

Ale wieczorem powracając do domu profesor Bogusławski był oto nadmiernie znużony. Czuł w ustach posmak cierpki jak smak niedojrzałego owocu. Gorycz słodkawą, ohydą, napływającą od wnętrza jak mętna fala biało-żółtej cieczy. — Ach — myślał — oto jest starość. Kres wytrzymałości. Podstępny nawrót zwątpienia i słabości.

Skinął na przejeżdżającą taksówkę i kazał się zawieźć naprzeciwko Sorbony. W szerokiej ławicy stłoczonych samochodów posuwał się wolno ulicami śródmieścia. Płynął jak w barce z ogólnym ruchem nurtem. Pod łukami jarzących się latarni. Poprzez smugi kolorowych świateł neonowych.

Wydało mu się, że jedzie nazbyt długo. Że szofer rozmyślnie zatacza łuk szeroki, aby zyskać na przebytej przestrzeni. Pomimo to nie naglił do pośpiechu. Leżał bezradnie na skórzanych poduszkach siedzenia, nie mogąc zdobyć się na wymówienie kilku potrzebnych wyrazów. Nie myślał właściwie o niczym. Trwał w stanie dziwnym, zbliżonym do snu przerywanego nawrotami normalnej świadomości. Wtedy, jak z okna wagonu, oglądał przesuające się ułamki rzeczywistości.

Doznawał wrażenia powrotu. Wydobywania się z jakiejś nieskończonej głębi. Po czym osuwał się znowu w topiel zachłanną i obcą. Czarne koła zamykały się nad nim. Zapadał bez końca aż na dno samo wszechrzeczy. W takt miarowych kołysań samochodu. W rytmicznym warkocie pracującego motoru. Jak przedmiot ważki, ciśnięty poza burtę okrętu.

Ocucił się dopiero, gdy samochód zatrzymał się nareszcie. Poznał dom i zrozumiał, że przybył. W jaskrawym blasku latarni płacił sumę zawrotną. Widocznie szofer krążył rzeczywiście i wioził go łukiem szerokim dookoła Paryża. Pomimo to dorzucił nawet napiwek. Przez wdzięczność. Wprost za zatrzymanie samochodu. Za zatrzymanie, które było ratunkiem. Wtedy tamten roześmiał się hałaśliwie.

— *Spasibo* — wymówił znajomym nadnewskim akcentem. Profesor wszedł już na schody.

W mieszkaniu było cicho. Któraż to mogła być godzina? Profesor Bogusławski nie zdawał sobie sprawy. Własnym kluczem otworzył ostrożnie drzwi i nie zapalając światła, w palcie, w kapeluszu wszedł do małego ciemnego saloniku. Tu się zatrzymał. Zawahał. Istotnie, któraż była godzina? Hania spała zapewne. Było późno. Świadczyła o tym cisza.

Drzwi od sypialni skrzypnęły. W smudze światła — Hania. Całkowicie ubrana. Uśmiechnięta. Z jakąś książką w ręku.

— Dziadziu, ja właśnie...

Chwała Bogu. Głos dziewczynki równy jest, miły, spokojny. Profesor zdjął kapelusz. Ociera chustką czoło. Wyciągnął rękę do wnuczki.

Naraz — jęk. Westchnęła. Przymknęła ciężko oczy. Cofa się. Cofa się przed jego wyciągniętą ręką. Nie, teraz przeciwnie. Uczyniła na-przód pół kroku. Sztywna, wyprostowana, o dziwnym, zmechanizowanym, jakby martwym geście. Opuściła książkę. Przesunęła się ku oknu. Znowu jęczy z cicha.

Z jęku głos się wydobył. Inny. Nie Haniny. Mocny. Prawie męski.

— Krew! Krew na ulicach! W całym mieście. Walczą.

Długa pauza. Milczenie okropne. Zimny oddech śmierci. I znowu głos obcy i mocny, jakby z przestrzeni idący przez te usta drobne, zsiniałe i zastygłe.

— O co walczą? Dla kogo? W imię czego?

Z wysiłkiem odwróciła głowę. Nadśluchiwała. Czekwała na odpowiedź. Ostatkiem sił poderwała się jeszcze. Wyciągnęła ręce w czarną próżnię mroku.

Wydobył się znowu ten krzyk rozpaczliwy, ostry, nieprzytomny:

— Odpowiedzcie!

I padła w tył tłukąc czaszkę o śliskie tafle posadzki.

XV

Żaden jeszcze interes nie szedł tak opornie, jak owa zagraniczna pożyczka dla „Centrali Su-szarni Krajowych”. Maurycy Monitz zaciął się i tworzył. Tworzył jak wielki artysta, pewien swej sztuki i swego znakomitego talentu, lecz prześladowany przez niezrozumienie i zawiść. Czegokolwiek dopiął w południe, wieczorem było już w gruzach. Najefektowniejsze posunięcie kończyło się niemal skandalem. Najprzemyślniejsze podejście okazywało się znanym plagiatem i na ukośne szachowanie laufrem odpowiadał partner miażdżącym ruchem wieży.

Kto inny, bez wątpienia, byłby zrezygnował. Ogłosił poetyczny komunikat o „dobrym stanie ducha” i odszedł na „zawczasu przygotowane pozycje”. Ale Maurycy Monitz postawił na wytrwałość. Na cechę charakteru, do której nie przyznawał się nigdy, ale która była istotną przyczyną sukcesów. Krył ją starannie pod pokostem non-szalancji i początków spleenu. Z uporem maskował swój upór wiedząc, że sprzeciw wyraźny i przeciągły może pobudzać energię przeciwnika. Wolał wschodnią metodę ukłonów i grzeczności,

rozcieńczoną pozorami niedbalstwa i opieszałości układowej.

Ktokolwiek z dyplomatów prowadził rokowania na Wschodzie, ten wie, jak sprawa rozwija się w tych warunkach. Faza pierwsza: wrażenie łatwości. Dyplomata szyfruje do swego rządu: „Wszystko w porządku. Złożyłem dziś wizytę. Dostojnik X. rozplątywał się w komplementach. Do samej sprawy nie przywiązuje większej wagi. Porozumienie wydaje się zapewnione”. Faza druga: niespodziewane komplikacje. Szyfr dyplomaty brzmi wtedy: „Poufnie dowiaduję się, że dostojnik X. pomimo osobistej przychylności zmuszony jest liczyć się z negatywnym stanowiskiem...” (tu następuje nazwisko innego dygnitarza). Faza trzecia: poprawa koniunktury. Dyplomata szyfruje o północy: „Dziś na bankiecie rozmawiałem z przeciwnym nam dygnitarzem Y. Wyjaśnił, że widocznie zaszło nieporozumienie, gdyż on bynajmniej nie zgłaszał sprzeciwu. Jutro widzę się z dostojnikiem X.” Faza czwarta: dostojnik X. naturalnie jest chory. Wizyta z konieczności odłożona. Faza piąta: dostojnik X. wyzdrowiał. Szyfr dyplomaty brzmi: „Dostojnik X. przyrzekł ponownie zbadać całą sprawę. Wydaje się bardzo znużony i wyczerpany. Mówił z ożywieniem o hodowli tulipanów w Holandii”. Faza szósta: powrót pesymizmu. Zasekretowany szyfr opiewa: „Najściślej poufnie donoszę: dygnitarz Y. oświadczył, że rzekomo zaszło nieporozumienie. Deklaracje, których udzielił mi pomyłkowo, były w rzeczywi-

stości przeznaczone dla przedstawiciela...” (tu następuje nazwa jednego z państw sąsiedzkich). Wreszcie faza siódma i ostatnia: dyplomata zostaje telegraficznie odwołany do Centrali. Jego następcą zmuszony jest rozpocząć rokowania od początku. Rokowania trwają i rozwijają się podług powyżej przedstawionego schematu.

Wszelako w danym wypadku metoda powyższa okazała się zawodną. Dla tej po prostu przyczyny, że obaj panowie Moussa-Moussac „wyznawali się” w niej „od maleńkości”. Mieli ją we krwi ci Żydzi sefardyjscy, osiadli od wieków w gościnnych Salonikach. Tak właśnie handlowano tam zbożem, tytoniem, bakaliami. Po małych, brudnych straganach i w duszącym się od stęchlizny bazarze. Wśród uśmiechów, ukłonów, komplementów robiono interesy na grube funty i na drobne *para*. Zapytywano o zdrowie, podziwiano rzeźki wygląd klienta. Podawano kawę. Wszczywał się dyskurs światły, nienaganny o ostatnich wypadkach krajowych. Trzęsienie ziemi albo schwyta nie fałszerza monety. Towar? Co to jest towar? Towar, a tym bardziej jego cena — to rzeczy błahe. Całkiem niegodne uwagi znakomitej osoby czcigodnego nabywcy. Kupiec sam załatwi tę drobnostkę. Podaruje po prostu każdą rzecz z radości, że spotkał go zaszczyt goszczenia tak wyjątkowej osoby. Rozmowy w tym tonie trwają dwa tygodnie. W końcu po dokonaniu transakcji klient spostrzega, że skromny nabytek został czterokrotnie przepłacony. Nie reklamuje jednak.

Wstyd mu. Wypił tyle kawy i tak podnoszono publicznie jego rozum i wyrobienie życiowe.

Petersburskie metody Maurycego Monitza wyglądały jak zwykła naiwność wobec tych tradycyjnych metod bizantyjskich. Panowie Moussa-Moussac górowali bezsprzecznie. Ale Monitz się zaciął. Postawił na wytrwałość. Postanowił, że pieniądze otrzyma. Że zrealizuje przecie tę pożyczkę. „Centrala Suszarni Krajowych” nie istniała oczywiście dla niego. Ale istniał pan Cezary Polko. Ten Cezary Polko, który niegdyś za „starych dobrych czasów” nie raczył wprost dostrzegać młodego agenta towarzystw ubezpieczeniowych „Rossija”. Który przechodził obok nie widząc go. Na Newskim i w przedsiódkach giełdy. Można, uroczysty, wspinały. Generalny plenipotent książąt Golicynów i naczelny dyrektor „Ałtajsko-Krymskiej Spółki”. Potentat.

Otóż teraz odwróciły się role. Nie Monitz potrzebuje Polka, ale Polko Monitza. No, tak. Potrzebuje wyraźnie. „Centrala Suszarni Krajowych” — to przecie nie „Spółka Ałtajsko-Krymska”. A może? Może właśnie? Maurycy Monitz uśmiechnął się znacząco. Jest on jednym z nielicznych, którzy wiedzą o dziwnych interesach tej spółki. Szesnaście milionów rubli deficytu. Cóż to byłby za skandal, gdyby Guczkow na czas nie zaczął rewolucji? Więc jeśli? No, to w takim razie albo rewolucja znowu, albo... Co, albo? Albo senator Polko zapłaci każdą cenę. Komu? No, oczywiście, Monitzowi.

W umyśle Maurycego Monitza utrwalił się plan jasny: uzależni Polka od siebie. Dostarczy mu pieniędzy. Za grubym pośrednictwem, ale dostarczy i powie: „Panie Polko, oto są moje warunki”. Wprawdzie sam Monitz nie ma takiej sumy, ale może przecie wytrząsnąć kieszeń Moussaców. Moussacowie są niezbędni w kombinacji. Oni ją finansują. Oni płacą. Ale oni także będą chcieli rządzić. Cóż, Moussacowie rządzą na Haiti i w Chinach. W imię konieczności państwowej, aby kwitł Polko, a Monitz pośredniczył, Moussacowie mogą rządzić i w Warszawie.

Sami? Ach, nie. Mój Boże, któż takie głupstwo powiedział? Moussacowie nigdy nie rządzą osobiście. W żadnym kraju. W tym nawet, który chwilowo jest ich ukochaną ojczyzną. Rządy są rzeczą żmudną i niepewną. Odpowiedzialność. Rewolucje. Trybunały Stanu. Panowie Moussa-Moussac nie potrzebują ryzykować. Są dość bogaci, aby nie ponosić ryzyka osobiście. Żadna teka ni fotel nie nęci ich. Żadne urzędowe zaszczyty. Oni stoją poza tym. Ponad tym. Jak posągi bóstwa przemawiające głosem swoich ofiarników. Oni rządzą przez Pieniądz. W tej świątyni wieszczków nigdy nie zabraknie.

Śniadanie w La Tour d'Argent. Panowie Moussa-Moussac rewanzują się „drogiemu przyjacielowi”. Są już na tyle dobrymi paryżanami, że nie zapraszają do wielkich restauracji na Bulwarach.

Wolą skromne na pozór, ukryte w bocznych uliczkach staroświeckie oberże i gospody. Tu najwykwintniej się jada. I najkosztowniej. Ta zadymiona salka w starej kamieniczce na wybrzeżu należy do najdroższych zakładów gastronomicznych Paryża. Może dlatego, że Guise'owie tutaj podobno knuli swoje spiski. Że tu przebywali na pewno dworzanie Ludwika XIII. Że sam „le Vert Galant” tutaj rzekomo „oblewał” niejedną pomyslną okazję. Trzeba płacić za splendor jadaenia w ciemnej izbie, która gościła niegdyś autentycznych feodalnych panów. Panowie Moussa-Moussac rozumieją to dobrze. W zamyśleniu patrzą przez chwilę w pułap zadymiony. W ten sam, w który patrzyli król Henryk IV i wódz Ligi Henryk Lotaryński. Bądź co bądź lepiej wygląda współczesne komfortowe wnętrze. Ci dawni ludzie nie dbali o wygodę. Ani o higienę. To jasne.

— Panowie — mówi Monitz poprawiając monokl — jeśli się pomyśli, że w owych czasach prowadzono wojny religijne! Stosunek do dogmatu jako *casus belli*! I oni nazywali to heroizmem!

Panowie Moussa-Moussac zaśmieli się ochotczo. Ich żółte twarze o nabrzmiałym sklepieniu czoła i mocnych szczękach bokerskich zadrgały nietaną pogardą.

— To były czasy barbarzyństwa i ciemnoty! Panie Maurycy, po *filet de sole du grand duc Vladimir* — pularda de Bresse, czy bażant nadziewany?

Wszakże Monitz zapuścił się w rozważania historyzoficzne. Mówi płynnie. Niesposób go powstrzymać.

— *Paris vaut une messe.* (Może być bażant.) To Sully powiedział, a nie Henryk IV. Sully był wielkim finansistą. Tylko on potrafiłby sformułować w ten sposób swoje stanowisko państwowe. Moi panowie, należy się uznanie temu znakomitemu mężowi. On to powiązał politykę religijną z finansami państwa. Położył podwaliny współczesnego racjonalnego fiskalizmu. Dzięki niemu religia stała się funkcją prawowiernego państwowego myślenia.

Mówi jak zawsze lekko i dowcipnie. Trochę nadnewskim akcentem, lecz poprawnie. Jest zadowolony: panowie Moussa-Moussac słuchają go uważnie. Oto odstawili kieliszki i uśmiechają się końcami warg mięsistych. Kto wie? Może dzisiaj dojdzie do porozumienia? Ubiją wreszcie interes?

— Pan jest nadzwyczajnym człowiekiem — rozpromienił się starszy z Moussaców. — Panu jest wszystko wiadomo. Wszystko — powtarza z naciskiem.

— Pana szkoda na Paryż — niemal równocześnie dorzuca młodszy z braci. — Pana tu szkoda, panie Maurycy! Dla pana — Londyn lub New York. Najszersza arena! Największy zasięg światowych interesów!

Wówczas i Monitz odstawił swój kieliszek. Znakomite Château Belair 1875. To samo, które w roku 1891 podawano na słynnym bankiecie wy-

danym przez władze municypalne Tuluzy na cześć prezydenta Carnot.

Czy ma to znaczyć — myśli dociekliwie — że dla nich i dla mnie za ciasno jest w Paryżu? Że powinienem się przenieść do innej stolicy? Jest jednocześnie dumny i zaniepokojony. Dumny, że Moussacowie deceniają jego talent. Że go traktują jako współzawodnika. Rywala. I jest zaniepokojony, gdyż współzawodnictwo takie może się stać niebezpieczne. Kto wie, czy w komplementach nie kryje się pogrożka? Owo uprzejmie: „wynoś się, dopóki prosimy po dobroci”.

— O, my obaj z bratem podziwiamy pana, drogi przyjacielu — ciągnie tymczasem starszy przedstawiciel znakomitej firmy. — Pańską wszechstronność. Pańską rzutkość, pomysłowość, szybkość orientacji. W życiu naszym spotkał się jednego tylko człowieka na równie wysokim poziomie. To był Bazyli Zacharow, obecny baronet angielski.

Zamilkł i masywnymi szczękami przeżuwał rozważnie *filet de sole du grand duc Vladimir*, przyrządzone podług przepisu nieśmiertelnego kuchmistrza Fryderyka. Ale w tejże chwili już mówił Moussac młodszy:

— My obaj z bratem zastanawialiśmy się, czy nie moglibyśmy z panem współpracować? O, niech pan wierzy, drogi przyjacielu! Myśmy się nad tym zastanawiali bardzo, bardzo poważnie.

Nie kończy, jakby chciał wynik tych intymnych braterskich rozważań zostawić w zawieszeniu. W niepewności. W mięsistych ustach obraca ka-

wał sola. Przywołał służącego. Daje mu półgłosem jakieś polecenie.

Wszakże starszy brat odsunął pusty talerz. Wesołe spojrzenie przeniósł na szerniały pułap. Łysy czerep zaświecił doskonałą golizną. Zachrząścił sztywny kołnierzyk na krótkiej, zwężonej szyi.

— Panie Maurycy — głos nabrzmiał miódny, lepkiem tonem. — Panie Maurycy, świat jest tak przestronny! Dlaczego ograniczać się? Dlaczego unieruchamiać się? Pański przyjaciel, któregośmy poznali, wspominał wówczas... Czekaj, czekaj pan... Co on dokładnie wspominał?

Kłopotliwa pauza. Nikt pierwszy nie może przypomnieć sobie dokładnie przedmiotu tamtej rozmowy. Jakby wiek upłynął. Wiek cały.

— Ach, tak. Już wiem. — Pan Moussac starszy odzyskuje pamięć. Skoro oni nie mogą przypomnieć sobie, ktoś przecie musi pamiętać. — Już wiem — mówi. — Ten senator twierdził, że... ach, to naprawdę wyborne! Że dla trzydziestu trzech procentów zysku nie trzeba do Szanghaju jeździć.

Ogólny wybuch wesołości. Tak. Tak. Oczywiście o tym była mowa. Że też nikt przedtem tego nie pamiętał. Każdy wymieniłby zgoła coś innego. I czym należałoby tłumaczyć taką pomyłkową czynność? Zmartwienie dla profesora Freuda!

— Nie trzeba jeździć do Szanghaju? No, więc dokąd, panowie? — pyta uroczyście Maurycy Monitz i wkłada monokl w oko. Teraz jest pewien zwycięstwa. Walnej, rzetelnej wiktarii. Ot, co znaczyło owo napomknienie o ewentualnej współ-

pracy. Ach, skusiło ich, sukiny dzieci! Wątroba w nich puchnie, że tego jeszcze nie wiedzą.

— Więc dokąd? — powtarza przyciszonym głosem, aby wytworzyć nastrój konfidencji.

Panowie Moussa-Moussac śmieją się dobrodusznie. Trochę zbyt hałaśliwie. Jak zacni lewantyńscy kupcy w Konstantynopolu, w Salonikach albo w Smyrnie, kiedy się interes powiedzie i kiedy zamiast głupich, zaśniedziałych *para* można zgarniać w kieszeń całe stosy funtów. Ich wschodnie oczy o kształcie rozpląszonego migdału zaszły wilgotnością łzawą, jak szyby w dzień zimowy. Kąta ust mięsistych przecieka złote wino. Owo niezrównane Château Belair 1875, które pił na bankiecie w Tuluzie prezydent Carnot.

— Dokąd? — podchwycili obaj jednocześnie. — Dokąd, kochany, stary przyjacielu? My panu powiemy: ano, na Haiti!

Chyba żart. Żart oczywisty. Maurycy Monitz wybuchnął łechotliwym śmiechem.

— Ależ tak! Jadę tam! Jadę tam niezwłocznie!

Zamiast śmiechu — cisza. Bracia Moussa-Moussac spowaźnieli naraz ogromnie. Zsunęli ku sobie gładkie, łyse głowy. Jak kule bilardowe w zręcznym karambolu. Czworo oczu zuchwałych patrzy uważnie na oszołomionego Monitza.

— Panie Monitz — mówią równocześnie, a przecie każdy z osobna. — Panie Monitz, to jest nasza poważna propozycja. Pan rozumie? Poważna! — Jest w ich tonie rzeczowość i jakby odciśnięcie groźby. — Panie Monitz, my na Haiti mamy

wielkie interesy. Koncesja. Wyłączność. Podpis premiera pułkownika Hanibala Jeremiasza Zafra, który ostatnio dokonał tam przewrotu. To nie głupi parlamentaryzm europejski. Nam do koncesji nikt swego nosa nie wciśnie. Proponujemy panu przystąpienie do interesu. Na prawach wspólnika. Na prawach wspólnika, kochany panie Monitz! I wyjazd na Antyllę dla dopilnowania tamtych interesów. To jest wicekrólestwo. Wprost nieograniczone możliwości pod opieką pułkownika Zafra. Niechże się pan zastanowi nad tym. To jest nasza poważna propozycja.

Osaczyli go. Zsunęte, pochylone głowy połykują gładziczną czerepów. Zuchwałe oczy zwężyły się i zastygły. Szyje nabrzmiały węzłami żył. Monitz czuje, że tamci gotowi są do walki. Że gotowi są walczyć fizycznie. W razie sprzeciwu będą bój jak byki.

Przez dwa dni po owym śniadaniu czuł się Monitz nieswojo i zmęczenie. Drażniło go, że przecie ustąpił i przyrzekł wziąć udział w zamorskich interesach Moussaców. Uczynił to przez przezorność, rzecz prosta, aby nie zrażać potężnych finansistów. Nie palić mostów. Nie stwarzać sytuacji bez wyjścia. W rzeczywistości był tym planom zdecydowanie przeciwny. Więcej. Był nimi głęboko dotknięty. Oburzony. Jak to? Za kogo właściwie mieli go Moussacowie? Więc to on, Maurycy Monitz pojedzie na Antyllę pilnować interesów? On, który przybył do Paryża z chudym

tobolekiem podróżnym, aby własnym talentem, własną przemyślnością dojść do stanowiska międzynarodowego pośrednika pierwszej klasy? Co oni sobie myślą? Co oni wyobrażają sobie? Że on im ustąpi? Że się wynajmie na „rządcę”? Na strażnika czy stróża? Maurycy Monitz w roli „wiernika” Moussa-Moussaców, Żydów sefardyjskich?

No, przyrzec trzeba było. Trudno. Nie było wyjścia na razie. Nie można przecie odmówić i popsuć stosunki na zawsze. Z Moussacami zwłaszcza. Przecie to potentaci. Ale żeby z tego miało co wyjść? Cóż znowu? Od czego jest głowa na karku?

Pan Monitz się zamknął i rozmyślał nad sytuacją. Tworzył. Jak dyplomata w przeddzień trudnej konferencji. Najprostsza wprawdzie rzeczą było zerwanie układu. Jedno połączenie telefoniczne i krótka, dobitna rozmowa. Ale tego właśnie nie chciał Maurycy Monitz. To było niedogodne i to było poniżej jego poziomu. Na takie załatwienie sprawy zdobyłby się byle patalach. Owszem, Maurycy Monitz zadzwonił nazajutrz do biura braci Moussaców, lecz po to tylko, aby kurtuazyjnie przypomnieć się ich pamięci. Niech myślą, że wszystko w porządku. Układ z Moussacami, tak korzystny dla nich a pogrążający Monitza, nie powinien być zerwany przez stronę pokrzywdzoną. O, bynajmniej. Taki układ winien być wypowiedziany przez Moussaców właśnie. Przez tych, którym zapewnia korzyści. Przez stro-

nę zyskującą, jednym słowem. Wtedy dopiero dla Maurycego wyniknie zysk podwójny: rozwiązanie niedogodnego układu i odszkodowanie za niedotrzymane przyrzeczenie. Tak. Odszkodowanie konieczne jest. Moussacowie będą zmuszeni nie tylko wyrzec się układu, ale jeszcze dopłacać za zrzeczenie się własnych korzyści. To jest dyplomacja naprawdę w wielkim stylu. Z przegranej zysk ciągnąć i okup brać od zwycięzcy.

Ale jak to zrobić, tego pan Monitz nie wiedział. Na razie czuł pustkę w głowie i lekkie ogólne osłabienie ciała. Za wiele może wypił tego wina. Château Belair nie codziennie się pije. Za wiele jednak. I lata też może coś znaczą. Dawniej mógł pić bez szkody. Czysty spirytus pod rydze marynowane. Oczyszczoną stołową, karafeczką na głowę. Taka była już norma w stołecznych restauracjach. W Warszawie, to owszem na kieliszki liczyli. Ot zwykła drobiazgowość polska. Każdy łyk rachują i każde dzwonko śledzia. Aptekarze.

— A gdyby tak komunikat w prasie? — zastanowił się głośno — To nieraz pomaga w interesach.

Ujął słuchawkę i połączył się z redakcją „Ekspress Poczty”.

— Pan Cornic? Chcę mówić z panem Cornikiem. Tu pan Monitz.

I znowu — kłapa. Po dwóch dobach złudzeń i nadziei. Po dwóch dobach wyczekiwania w zacisznym apartamencie przy avenue Kléber, deko-

rowanym specjalnie dla Maurycego Monitza przez światową firmę „Luksus i Epoka”.

Cornic? Nie. Firmin Cornic dzielny jest człowiekiem. Zawsze dotrzymuje umowy. Zawsze ściśle wypełnia zobowiązania, o ile umówione honorarium zostało wypłacone. Jego przedsiębiorstwo prasowe funkcjonuje bez zarzutu. Wprawdzie nie ma wywieszanej taryfy, ale każdy solidny klient wie z góry, co otrzyma. Pomyłki są wykluczone. Najzupełniej.

Atoli oprócz „Ekspress Poczty” zaraz przy sąsiedniej ulicy istnieją „Wiadomości Dodatkowe” i te specjalizują się w polemice z przedsiębiorstwem Cornica. Po prostu żyją z dementi, z kontrwywiadów. Żyją ze skóry Cornica, jak wszędybylskie paskudztwo. Gdyby napisał, że Chiny leżą w Azji, „Wiadomości Dodatkowe” sprostują tę wiadomość i dowiodą, że to Azja znajduje się w Chinach. Aby zapobiec ciągłym zaprzeczeniom, próbował Cornic pisać odwrotnie. Nie pomogło. Nie wzięło. Konkurent stwierdzał w dalszym ciągu odwrotnie do odwrotnych twierdzeń „Ekspress Poczty”. W imię zasad. W imię bezstronnej rzeczowości.

W poniedziałek organ Cornica zamieścił wzmiankę w kronice finansowej:

„Dowiadujemy się z najlepszego źródła, że świetny rozwój interesów handlowych panów Moussa-Moussac, a w szczególności realizacja wspa-
niałej koncesji na Haiti skłoniły pana Maurycego Monitza, znakomitego finansistę paryskiego, do

przystąpienia do tego towarzystwa w charakterze współnika i naczelnego kierownika przedsiębiorstwa. Pan Monitz w najbliższym czasie opuszcza Paryż i udaje się na dłuższy pobyt na Antyllę.”

Doskonale — cieszył się Monitz. — Teraz „Wiadomości Dodatkowe” naturalnie zaprzeczają. Wykażą jak na dłoni, że koncesja jest nieudanym pomysłem, i ja opierając się na tych rewelacjach będę się mógł wycofać. Zręcznie. Bez konfliktu. Natomiast panowie Moussac wypłacą odszkodowanie za wprowadzenie w błąd i za zawiedzione nadzieje.

Uspokoił się od razu i był już dobrej myśli. Takie posunięcie nie mogło zawieść. Nigdy nie zawodziło w przeszłości. Walka „Wiadomości Dodatkowych” z „Ekspress Poczta” toczyła się od lat. Była faktem znanym w kołach finansowych. Każdy wybitny przedstawiciel giełdy, inspirując komunikat w „Ekspress Poczcie”, grał z góry na niezawodne dementi „Wiadomości”. W ten sposób mogły istnieć oba pisma. Nie tylko istnieć, lecz nawet prosperować. Szanowna publiczność rozchwytywała nakłady, dziwiąc się cokolwiek zaciętrzewieniu dziennikarzy, lecz równocześnie podnosząc swadę ich i rzutkość. To były organy prasowe o naprawdę nowoczesnym reportażu.

Wszakże wtorek upłynął tym razem, a „Wiadomości Dodatkowe” nie reagowały na poniedziałkowy komunikat „Ekspress Poczty”. Ani zwykłego dementi, ani nawet zjadliwych „wyjaśnień” i aluzji. Nic. Nic po prostu. Niezrozumiałe, niepokojące

jące milczenie. Maurycego Monitza coś tknęło. Miał wyraźnie niedobre przeczucie. Jak lord Byron udający się w ostatnią podróż do Grecji.

I oto — we środę — od razu katastrofa. „Wiadomości“ powtórzyły komunikat „Ekspress Poczty“. Bez zmian. Bez opuszczeń. Dosłownie. In extenso. Zwyczajny wulgarny przedruk i to w naczelnej kolumnie. Po wiadomościach z Parlamentu, a przed codziennym sprawozdaniem z giełdy. Jakby szło o oficjalną podróż podsekretarza Stanu w Ministerstwie Kolonii, albo o tournée operowej artystki. Zdrada! Jawna podłość!

Maurycy Monitz chwycił za słuchawkę.

— Pan Cornic? A, to pan, panie Cornic? — krzyczał nie panując nad sobą. — Pan czytał już „Wiadomości“? Co? Pan czytał, panie Cornic. Więc proszę mi to objaśnić! Proszę wytłumaczyć! Ja nic nie rozumiem!

W telefonie niepewny, złamany głos Firmina Cornica:

— Cóż zrobić, panie Monitz? Nie wiedziałem. Nie przypuszczałem.

— Pan nie przypuszczał? Pan nie przypuszczał. Ale mnie to bije! Mnie to bije, panie Cornic, za moje własne pieniądze. Czy pan to rozumiesz? Czy pan to rozumiesz dokładnie?

Znowu głos tamten postępujący, żalony:

— A ja, panie Monitz? A ja? Czy mnie to nie bije? Niech pan pomyśli. Niech pan będzie sprawiedliwy, panie Monitz. To te Żydy. To ich wina. Ja chciałem jak najlepiej usłużyć.

— Kto? Jakie Żydy? — woła Monitz i czuje, że brakuje mu oddechu.

— Moussacowie, drogi panie Monitz. Niszczą mnie. Rujnują. Wczoraj wykupili „Wiadomości Dodatkowe“, a dziś już zamieścili własny mój komunikat. Moussacowie, przeklęte Żydy! Fana-rioty! Któż teraz będzie czytał moją „Ekspress Poczte“, skoro w tamtej szmacie to samo można wyczytać?

To był cios. Podstępne uderzenie w plecy. Maurycy Monitz teraz dopiero zrozumiał, jak wielkimi graczami byli Moussacowie. Zrozumiał i pomimo gniewu przejął się szacunkiem dla sztuki tak doskonałej. Jego rycerska natura nie wzdragała się przed oddaniem hołdu wyższości przeciwnika. Stosując teorię przyrodzonej hierarchii, ustalał szczeblowanie proste i bezsprzeczne, jak ma to miejsce w trzonach organizacyjnych opartych na zasadzie elity. U dołu był — nikt. Plebs. Szara miazga ludzka. Szary człowiek. Potem Cezary Polko — działacz prowincjonalny z terenu. Potem on sam, Maurycy Monitz — jednostka kierownicza i odpowiedzialna. Organ łącznikowy pomiędzy górą i dołem. Potem — znowu nikt. Długo nikt. Aż wreszcie — przeszło szczytowe. Źródło. Autorytet. Moussacowie.

Ta filozoficzna koncepcja, przynosząc wytłumaczenie zjawiska, sprawiała pewną ulgę i osładzała porażkę. No, cóż? W życiu nie zawsze się zwycięża. Zostać pokonanym przez takich świato-

wych rekordzistów, to jednak nie jest hańba. Juliusz Cezar zwyciężył Pompejusza, a czyż Pompejusz nie był znakomitym wodzem? Zresztą nie wiadomo do końca, kto będzie ostatecznie górą. Mógł Pompejusz pokonać Cezara i wtedy zająłby jego miejsce w historii. Wniosek: nie dopuszczać do niepewetowanych wydarzeń. Manewrować.

Manewrować? Jak? Jak tu manewrować? Wszystkie karty wytrącone są z ręki. Moussacowie musieli wybulić z milion franiów, aby stać się właścicielami „Wiadomości Dodatkowych”. Teraz oni będą regulować informacje prasowe. Lansować lub wstrzymywać. Dementować albo potwierdzać. Moussacowie dotychczas nie mieli własnego organu. Zadowalniali się doraźnym kontaktem. To nie był sposób najtańszy. Doraźne kontakty prasowe z reguły są kosztowne i nie zawsze dają pożądany efekt. Moussacowie musieli od dawna przeprowadzić kalkulację. Z realizacją zwlekali. Czekali przezornie na wyjątkową okazję. I właśnie on sam, Maurycy Monitz, dostarczył im takiej okazji. Bo czyż nie jest to interes niewątpliwy: zamiast płacić i żyć w niepewności, kupić raz tę parszywą gazetkę i brać od innych, co się samemu płaciło?

Kto inny w tych okolicznościach złożyłby broń. Zrezygnował. Ale Maurycy Monitz postawił na wytrwałość. Na cechę charakteru najrzadszą wśród ludzi z nadnewskiej stolicy i tym bardziej cenną, tym bardziej pożądaną. On sam pochodził z Homla i tym się tłumaczyła odrębność

walorów psychicznych. Piter kochał wprawdzie, lecz zarazem traktował z pobłażaniem. Ot, mili ludzie, z którymi można robić interesy. Robił je niemal bez trudu. Wytrwałość pozostawił w zanzardzu, jak Warszulka kradzione orzechy. Dopiero w Paryżu zrozumiał nieodzowną potrzebę tego środka. Lecz był przygotowany. Homel okazał się niezłą szkołą życia, a ubogie ghetto — miniaturowym światkiem wielkich interesów.

Leżąc na sofie zainstalowanej przez światową firmę „Luksus i Epoka” i patrząc na dywan w różowo-czarną kratę, Maurycy Monitz rozmyślał nad sytuacją. Tworzył nowe plany. Jak wielki artysta, pewien swojej sztuki i swego znakomitego talentu, którego nie może złamać niezrozumienie i zawiść. Jak konkwistador hiszpański, w podmiejskiej winiarni marzący o złocie Cipango i niezdo-
bytych królestwach. Gdyby znał Heredię, zadeklamowałby może najświetniejsze z jego sonetów. Te, co opiewają sztukę niezrównanego łupiestwa i nienasycenie bohaterskich watażków. Ale Maurycy Monitz naturalnie nie czytywał wierszy. Skądżeby? Cipango? Gdzie tego szukać na mapie? Jego świat był światem realnych interesów. Rozciągał się pomiędzy południkiem zarobku a zwrotnikiem straty. Żadne zainteresowania uboczne nie psuły tej harmonii. Monitz był typem jednolitego człowieka.

W Pitrze — rozważał — od razu byłoby wiadomo, od czego zacząć należy. Ofiarowałbym żonie „towarzysza ministra” kolię brylantową. W ty-

dzień potem panowie Moussac mieliby nieoczekiwaną rewizję ksiąg handlowych. I cóż? Oczywiście znalazłyby się grzeszki. A tu? Tu kobiety przyjmują też brylanty, ale za własne usługi. Nie za męzowskie. Eh, głupia Francja.

Odwrócił się i pilnie jął się przypatrywać mo siężnym rogom jelenim, naśladowującym wyroby ludowe z kraju Ounya-Mouezi w Niemieckiej Afryce Wschodniej. Ze wszystkich zdobnictw świata jedynie folklor środkowo afrykański, usilnie polecany przez firmę „Luksus i Epoka”, uzupełniał nowoczesne wnętrza gabinetu. Zresztą nie w formie pierwotnej, zbyt ubogiej, ale w artystycznej interpretacji Sergiusza Wyszybajeff, pioniera nowej, niezależnej estetyki.

Naraz zadzwonił telefon. Długo, przeraźliwie, wytrwale. Jak dzwonią telefony w wypadkach czyjejś śmierci, albo na skutek specjalnego zlecenia. Monitz wyciągnął szyję. Nie chciało mu się wstawać ze stosu miękkich poduszek. Ale telefon jęczał, łkał, groził. Zanosił się metalowym dzwonieniem jak niemowlę. Chryptł i znowu zalewał się mezzo-sopranem. Więc Monitz dźwignął się. Ujął lśniąca słuchawkę.

— Pan Monitz? — Rozpoznał głos panów Moussaców. — Pan Monitz? — swoim zwyczajem obaj finansisci mówili równocześnie. — Cieszymy się bardzo, żeśmy nareszcie odnaleźli pana. My? No, nic. Wszystko jak najlepiej. Chcieliśmy tylko zakomunikować naszą odpowiedź. W sprawie? Oczywiście, w wiadomej panu sprawie. Niech pan

słucha. Pożyczka? Udzielamy. Tak jest. Udzielamy. Przyjaciół pański chciał dwa i pół miliona od panów Aubert i Leguay? To jest cyfra dla nas trochę niedogodna. Płacimy pięć. No, tak. Tak jest, panie Monitz. Płacimy pięć okrągło. Niech pan niezwłocznie zawiadomi senatora Polka. To jest pilne. Do widzenia. Płacimy.

Maurycy Monitz powiesił słuchawkę i przetarł ręką czoło. Poczul na dłoni ciepłą wilgoć potu. To było naprawdę nieprzyjemne wrażenie.

XVI

Ksiądz Piotr Perrault odsunął zapisane kartki. Jego wąskie, delikatne ręce pozostały przez chwilę na stole. Palce kształtne, aczkolwiek niezbyt wydłużone, zamiast rozbiegnąć się płasko, nachyliły się lekko ku środkowi dłoni. Tworzyły jakby kielich pięciolistny kwiatu. Promień słońca skupił się w ich wnętrzu, wywołując wrażenie, że ręce świecą własnym, dostrzegalnym światłem. Wrażenie było tak silne, że Jacek nie mógł wzroku od tych rąk oderwać.

— Więc chce pan wiedzieć — pytał ksiądz — jak się skończyła ta sprawa? Sprawa zaburzeń w fabryce kotłów Michelson i Spółka? Prasa zamieszczała przez tydzień komunikaty i wzmianki. Nawet artykuły zasadnicze, dwulamowe. Aż wszystko naraz ucichło. Nieprawdaż? Jakby nigdy nie było tych zajść. Jakby nikt nie ucierpiał, ani nie został skrzywdzony.

— Od miesiąca — zauważył Jacek — nie natrafiłem na jakikolwiek ślad sprawy.

— Od miesiąca — ksiądz Perrault uśmiechnął się znacząco — od miesiąca nie ma już sprawy. Umorzono ją, proszę pana.

— Jak to? Umorzenie?

— Umorzenie, panie sekretarzu Ambasady. Właśnie: umorzenie. Pana to interesuje fachowo? Słusznie pan zrobił przychodząc do mnie. W prasie nigdy nie znalazłby pan wyjaśnień. Zresztą publiczność nie pamięta już o wydarzeniach marcowych. Dzienniki nie potrzebują zajmować się wspomnieniami. Maj mamy. Miesiąc nowych emocji.

Szerokim ruchem zgarnął leżące przed nim notatki i wrzucił je do otwartej szuflady. Jak zniwiarz strząsający snopy. Był zadowolony i rześki.

— Niech pan słucha — mówił odgarniając włosy. — Opowiem panu dokładnie. To jest istotnie ciekawe. I pouczające, panie dyplomato.

Wszakże Jacek uśmiechnął się i zapytał:

— Czy ksiądz to mówi poufnie?

— Nie — odparł ksiądz Piotr tym samym żartobliwym tonem. — Może pan raport sporządzić. Powołać się na źródło. Służę.

W obszernym gabinecie przypominającym celę klasztorną głosy ich brzmiały dźwięcznie i donośnie. Gładzina ścian szarych i połyskliwa kamienna posadzka stwarzały warunki podobne do pomieszczeń radiostacji. Nadawały metaliczną pełnię wszelkim dźwiękom. Uwydatniały głęboki kontrast milczenia. Mówiąc czuli głos własny, rozpięty na fali powietrznej, wibrujący, choć usta już się zawarły. Milkąc zapadali jak w otchłań, w zachłanną głębię ciszy. Właśnie wieczór nadchodził. W wąskich uliczkach dzielnicy Saint-Sulpice pojawiły się cienie gładkie, fioletowe.

— Niech pan słucha — ksiądz Perrault nachylił się w stronę gościa. — W dzień zaburzeń marcowych, pan naturalnie pamięta, byłem w Mont-rouge obok zabudowań fabrycznych. Gdy zatarg wybuchł w południe, byłem jednym z pierwszych, którzy przedostali się na podwórze fabryki, zanim policja obstawiła bramy. Mniejsza, co mogłem tam robić. Dość, że byłem do końca. Do godziny szóstej po południu. Widziałem wszystko. Z bliska i dokładnie. Byłem świadkiem. Chciałem być świadkiem, aby móc stwierdzić następnie istotny przebieg wypadków. Moje doświadczenie wskazuje, że w tych okolicznościach ustalenie prawdy jest najtrudniejszym zadaniem. To zadanie wziąłem na siebie. Dobrowolnie. W imię miłości prawdy, która jest najpierwszym obowiązkiem chrześcijańskim. Znając zaś prawdę, całkowitą, bezstronną, postanowiłem się stawić do rozporządzenia władz. Złożyć zasadnicze zeznanie.

Przerwał i ciemnymi oczyma spojrzał w oczy Jacka. Pomimo spokojnego tonu znać było, że z trudem opanowywał wzburzenie.

— Otóż — mówił dalej — władze nie chciały mnie, ani moich zeznań. Miały już szczegółowe raporty policyjne. Znały prawdę... z meldunków. Nie potrzebowały żadnych materiałów dodatkowych. W prefekturze przyjęto mnie nieufnie. Dano do zrozumienia, że ksiądz, który przebywa w środowisku robotniczym, nasuwa poważne wątpliwości. Co do swej osoby. Co do swego stanowiska wobec państwa. Po krótkiej rozmowie wy-

proszono po prostu. Nazajutrz poszedłem do sędziego śledczego. Znał już sprawę. Rozpoczął dochodzenie. Ale dla mnie właśnie nie miał czasu. Patrzył na mnie zdumionymi oczyma i powtarzał w kółko: „Ależ to socjaliści, proszę księdza. To są socjaliści”. Wyszedłem z niczym. W więzieniu znajdowało się kilkunastu ludzi. Socjalistów? Nie wiem. Ci ludzie dla mnie byli tylko ludźmi. Niewinnymi. Postanowiłem ratować ich.

Mówił wolno, dobitnie, krótkimi, urywanymi zdaniami. Jakby odmierzał wyrazy. Jakby je wybijał w jakiejś tajemnej mennicy. Lecz pomimo opanowania mowy, na czole ukazały się zmarszczki. W kątach ust zjawily się bruzdy. Pożar rozdził się w duszy i przebłykiwał na zewnątrz w spojrzeniu.

— Pan zna metodykę procesów politycznych? — głos nabrzmiał i nawisł jak chmura. — Wszystko przewidziane jest z góry. Przewód sądowy rozwija się podług starannie opracowanego schematu. Jak w dramacie, role zawczasu są przydzielone. Wtedy dopiero podnosi się kurtyna. Precyzyjna maszyneria działa i daje oczekiwane wyniki. Nie może być niespodzianek.

— Otóż nie! Niespodzianki przyjsć mogą i mogą ten schemat rozsadzić. Jak ładunek dynamitu ciśnięty w koła maszyny. Wtedy sytuacja odwraca się i akt oskarżenia staje się nagle lekki jak balonik. Chodzi o to, czy znajdzie się ktoś, kto rzuci taki pocisk.

— Gdy akt oskarżenia był już prawie gotów, zgłosiłem się u prokuratora. Starszy pan o ruchach dostojnych i wytwornych. Angielski lord w czarnym tuzurku. Patrzył na mnie z takim poczuciem swej wyższości, że nie wiedziałem, czy wypada mi usiąść.

— Poprosiłem go, aby zechciał zrzec się oskarżenia. Zdziwił się bardzo. „Proszę księdza, rzekł chłodno, ja tu jestem przedstawicielem interesów państwa”. — „Ja też proszę, odpowiedziałem, ze względu na interes państwowy!” Przez chwilę musiał uważać mię za wariata. Lewą rękę trzymał w szufladzie, gdzie się znajdował ukryty dzwonek alarmowy. Zrozumiałem, że w razie podniesienia głosu zostaną usunięty przemocą. Wyteżyłem wolę i rzekłem najuprzejmiej: „Przychodzę złożyć zeznanie. Wiem, że w posiadaniu pewnej osoby są dowody nadzwyczaj niepożądane, kompromitujące. Autorytet władz mogłoby na tym ucierpieć, a pańska kariera zostałaby przekreślona”. Wtedy on wyjął rękę z szuflady i pozwolił mi mówić swobodnie. „Panie prokuratorze, zacząłem, istnieje pewien człowiek, który postanowił zjawić się na sali sądowej, aby udowodnić...” Mówiąc patrzyłem mu w oczy i widziałem, jak uśmiechał się lekceważąco. „Że ów rzekomy robotnik, który pierwszy cisnął kamieniem, a który nie figuruje w procesie...” Brwi prokuratora się zbiegły. Spoglądał bardzo uważnie. „Że ten dziwny robotnik — kończyłem coraz wolniej — jest w istocie płatnym wywiadowcą policyjnym”. Prokurator spojrzał na

mnie groźnie. „I ksiądz w to wierzy?” zagrmiał pełną piersią. „Gdzież jest ten świadek? Proszę go wymienić!” — „Ten świadek znajduje się przed panem. Czyż pan sądzi, że w innym wypadku przyszedłbym go denuncjować?” Zapanowało milczenie. Prokurator przeglądał wyciąg z kartoteki. „Ksiądz Piotr Perrault?” zapytał podnosząc na mnie bezbarwne, zimne oczy. „Ksiądz Perrault, brat pułkownika?” Potwierdziłem. Wówczas tamten: „Dziękuję”. Wyszedłem. We trzy dni później zwolniono aresztowanych. Cicho. Bez rozgłosu. Pan rozumie?

Ksiądz Piotr sięgnął do biurka i wydobył gruby zwitek rękopisów. Wskazał zawartość stron, zapełnionych szczelnym, jednolitym pismem. Kolumny cyfr, wtłoczone w tekst rozprawy, zdradzały jej ścisły, naukowy charakter.

— Zastał mię pan przy pracy — rzekł. — Od trzech lat prowadzę te badania. Chodzi o zasadnicze studium z dziedziny dynamiki sił społecznych. O zatargi i zajścia w środowisku robotniczym, w których państwowa siła zbrojna starła się z ludnością cywilną. O wypadki nie zasługujące wprawdzie na miano rewolucji, ale z których przy pewnych okolicznościach mogłoby powstać rewolucyjne zarzewie. Zdobycie Bastylii, jako symbol właśnie. Pan wie, że stosunkowo drobny wypadek urasta czasem do znaczenia historycznego symbolu. Nie można nigdy przewidzieć, od czego się zaczyna prawdziwa rewolucja. Niejednokrotnie

zaczynała się ona od takich dość błahych wydarzeń.

— Rewolucja rosyjska — przyznał Jacek — rozpoczęła się od morderstwa w pałacu arystokraty. Tyle trupów wyrzucała Newa przez dwa wieki, ale zaważył ten jeden.

— Podług moich badań — mówił ksiądz dalej — rewolucja nie następuje prawie nigdy jako bezpośredni wynik określonego zdarzenia czy wypadku. Istnieje ogólna atmosfera moralna rewolucji i w tej atmosferze niemal każde wydarzenie może stać się przypadkową przyczyną wybuchu. Rewolucja w istocie swojej (o tym politycy zapominają niestety) jest zjawiskiem psychologicznym, pod względem czasu wyprzedzającym znacznie krytyczny moment przełomu. Nie będę mówić o Francji. To jest dostatecznie znane. Ale ktokolwiek znał dobrze Rosję przedwojenną, ten nie wątpi, że przebieg tej rewolucji był jedynie ujawnieniem faktycznego stanu rzeczy, od dziesiątków lat istniejącego potencjonalnie.

Zamilkł i bystrymi oczami wpatrzył się w przestrzeń pokoju. Jego wąskie, delikatne ręce zaciśnęły się na poręczach fotelu. U ust pogłębiły się bruzdy. Był cały pochłonięty swą myślą.

— To, co najbardziej godne jest uwagi — odezwał się znowu — to fałszywa z reguły ocena sytuacji, którą posługują się czynniki rządzące. Cały obóz społeczny, zainteresowany w utrzymaniu swego stanu posiadania. Ci ludzie, skądinąd trzeźwi i rozumni, wiedzą wszystko i myślą o wszyst-

kim — z wyjątkiem tego, w czym własna ich kryje się zguba. Jakby specjalne zaślepienie o wyraźnie patologicznym charakterze. Zwycięstwo rewolucji wydaje się być uwarunkowane znieczuleniem warstwy rządzącej. Jej specyficzną niewrażliwością na niepokojące objawy ostrzegawcze. Jej optymizmem łatwym, powierzchownym. Przesadnym wyobrażeniem o sile własnej i zanikiem elementów krytycznych.

— Lecz czymżeż to tłumaczyć? — zapytał Jacek. — Jakie przyczyny mogą doprowadzić do takiego zbiorowego szaleństwa, bo to słowo przecie należałoby wreszcie wymienić?

— To słowo było wymienione — odparł ksiądz spokojnie. — Rzym użył go z właściwą sobie otwartością mocarną. *Quos Jupiter...* dalszy ciąg wszak jest znany panu. Ale co do przyczyn zjawiska, to oczywiście wykrycie ich bynajmniej nie jest łatwe. Działają prawdopodobnie przyczyny różnorodne. W pracy mojej ograniczyłem się do badań nad jednym skromnym odcinkiem.

Dotknął rozłożonego zwitka rękopisów i ciągnął dalej rozważnie, wstrzymując się:

— Ograniczyłem się do badań nad zajściami w środowisku robotniczym, w których, jak to już nadmieniałem, zbrojna siła państwa starła się z ludnością cywilną. Jak panu wiadomo, w naszych czasach wypadki takie nie należą do zdarzeń niezwykłych. W pracy mojej zgrupowałem dwadzieścia trzy przykłady na przestrzeni ostatnich lat ośmiu, to znaczy od końca wojny. Nie potrzebuję

dodawać, że każdy wypadek został opracowany bezstronnie, z zastosowaniem metod naukowych.

Zatrzymał się. Zdawał się wahać przez chwilę. W głębokich, ciemnych oczach zapaliły się błyski i zgasły. Wąskie dłonie zacisnęły się mocniej u poręczy fotela.

— Jestem księdzem — rzekł wreszcie. — Trudno podejrzewać mnie o sympatie dla akcji wywrotowych. O burzycielstwo społeczne. O tendencje demagogiczne, płytkie, nierzetelne. Pochodzenie moje nie jest proletariackie. Rodzina moja od paru wieków należy do warstw uprzywilejowanych najbogatszego kraju Europy. Aby dojść do wniosków, do których w końcu doszedłem, musiałem wielokrotnie przełamać uprzedzenia własne.

I naraz mocno, stanowczo:

— To, co odkryłem, ustala odpowiedzialności w sposób nieoczekiwany, znamieny. Czy wie pan, po czyjej stronie jest wina w ogromnej większości wypadków? Kto ponosi odpowiedzialność za przelew krwi? W osiemnastu wypadkach na dwadzieścia trzy odpowiedzialne są władze. Tak, proszę pana. Ten sam *truck* klasyczny z nieznanym osobnikiem, który kamieniem wali w najbliższego policjanta. Chociaż są i inne, bardziej wyszukane chwytły. W dwóch wypadkach podrzucenie bomby. W jednym — niech pan słucha, to się może przydać w dyplomacji — zorganizowanie demonstracji przed poselstwem sąsiedzkiego państwa przez... wysokiego dygnitarza miejscowego M. S. Z. Och, to nie we Francji było! W innym kraju. Demon-

stranci przejęli się swym patriotycznym zadaniem. Policja interweniowała. Miała wyraźne rozkazy. Nastąpiło starcie. Były trupy. Ale właściwy reżyser zasłonił się racją stanu. Nie można było wytoczyć mu procesu.

— To jest równoznaczne z przestępstwem — zauważył Jacek — ale to nie tłumaczy zaślepienia warstw rządzących. Tej nieprzenikliwości politycznej. Tego fałszywego optymizmu. Szaleństwa, jednym słowem.

— Owszem — odparł ksiądz — to tłumaczy. Pośrednio i częściowo, lecz przekonywająco i jasno. Władze bezpieczeństwa publicznego wywołując zajścia w czasie i miejscu przez siebie wyznaczonym nie ryzykują porażki. Przeciwnie. Działając w myśl zasadniczych wskazań strategii przez zaskoczenie, odnoszą w tej wojnie — och, bo w ich przekonaniu to jest wojna właśnie — łatwe i efektowne zwycięstwa. Wynika stąd argumentacja podwójna na ich korzyść. Po pierwsze: oczywistość stałego zagrożenia klas uprzywilejowanych. Po drugie: skuteczność ochrony policyjnej. Warstwa rządząca przyzwyczaja się do myśli, że zajścia robotnicze są takim samym naturalnym zjawiskiem, jak grad lub wichura. Jednocześnie doświadczenie codzienne wykazuje, że system policyjny zapewnia bezpieczeństwo. Że daje dostateczną osłonę. Gwarantuje prawo życia i użycia. Warstwy rządzące chętnie ulegają sugestii. Nie dostrzegają fałszu w założeniu. Są znieczulone i tępe. Są obezwładnione psychicz-

nie przez sam system właśnie. Aż oto w pewnym momencie następuje nieprzewidywany wypadek. Kłamstwo pryska. Rzekoma skuteczność systemu okazuje się naiwnym złudzeniem. Lawina stacza się w dół i miazdży. Jest już za późno na zmiany i ustępstwa. Rewolucja.

W kościele Saint-Sulpice dzwoniło na Anioł Pański. Ksiądz wstał i przeszedł przez pokój ku ścianie przeciwległej. Widniała tu grupa z piaskowca, wmurowana w gładziszną szarą, jednolitą ścianę. Kopia „Zwiastowania” Donata Bardi, zwanego Donatellem. Ksiądz Piotr zatrzymał się przed wyobrażeniem Przenajświętszej Panny w głębokim skupieniu słuchającej przybywającego Anioła-wysłannika.

— *Ave Maria...* — wymówił półgłosem.

Jacek się zbliżył. Stał za księdzem. Pochylił głowę i powtarzał za nim słowa przedziwnej modlitwy, w której zawarta została wszelka ufność człowieczego serca. Miliony ust ją szeptały i w miliony serc wlewała ona ukojenie i radość. Bowiem człowiek każdy jest osamotniony na ziemi i przez modlitwę dopiero osiąga łączność z ożyzną swego ducha.

— Jak pan widzi — odezwał się ksiądz Perault powróciwszy do biurka — katolicyzm nie zaprzecza życiu. Nie stwarza sztucznych przeciwieństw i dylematów ponurych. Daje harmonię, pełnię, wielostronność. Możemy jednocześnie niemal wyteńczyć umysł i oczyścić serce. Myśl nie jest

naszym wrogiem, ale darem Boga. Gdy Biblia mówi, że Bóg stworzył człowieka na obraz i podobieństwo Swoje, nie o cielesność tu chodzi oczywiście. Cielesność nasza z ziemi się wywodzi, ale Bożym jest duch, który ją ożywia. Bóg jest Odwieczną Myślą Twórczą i myśl nasza — odbiciem Tamtej Myśli.

Jacek słuchał uważnie. Jakkolwiek w latach młodzieńczych przeszedł, jak wielu, przez okres wątpliwości, to jednak uczucie religijne, żywe i czyste, pozostało w nim jak źródło przykryte piasków ławicą. Na zewnątrz był step jałowy, monotony. Ubogi we wszelką roślinność. Spalony słońcem znojem. Ale pod pokrywą tych piasków tętniły wody źródlane i dość było sięgnąć w głąb gleby, aby wytrysły ze wzmożoną siłą.

— Proszę księdza — rzekł — związek jednostki ze światem może mieć miejsce przez rozum lub przez serce. Którą drogę obrać należy?

Ksiądz Piotr uśmiechnął się pogodnie.

— To jest jedna droga, proszę pana. To jest naprawdę tylko jedna droga. Rozdział jest sztuczny i nie odpowiada żadnej prawdzie. Coś, jakby gramatyczny podział rzeczowników na męskie i żeńskie. Z chwilą jednak, gdy zaczynamy mówić, nie możemy się ograniczyć do jednej kategorii. Aby myśl naszą wyrazić, musimy używać obu rodzajów zależnie od potrzeby. Człowiek jest jednolity duchowo. Rozum i uczucie są dlań

równorzędnymi narzędziami poznania. Tak właśnie, jak gramatyczne składniki naszej mowy. Pełnia wiedzy osiąga się poprzez pełnię środków.

— Jednakże — zauważył Jacek — wynik będzie odmienny zależnie od zastosowanego sprawdzianu.

I znowu ksiądz Piotr uśmiechnął się pobłaźliwie i tkliwie.

— Pozornie, proszę pana. Pozornie. Wiek dziewiętnasty operował owym rzekomym przeciwieństwem. Powoływał się na rozbieżność uczuciowych i rozumowych przesłanek. Na niezgodność, czy przeciwstawność naukowego i religijnego stanowiska. To było nieporozumienie wynikające ze szczupłości wiedzy. Wówczas nie znano jeszcze promieniotwórczości materii. Wierzano dogmatycznie w niepodzielność atomu. W niezmienności stosunku pomiędzy przyczyną i skutkiem. Ach, cóż by Kalwin powiedział, gdyby się dowiedział, że determinizm może nie obowiązywać nawet w fizyce?

Ostatni błysk słońca znikł za ściemniałymi szybami i zmierzch już pęczniał powoli, jak ciężkie paki piwonii. Nadbiegał wieczór paryski, fiołkowy i złoty zarazem. Pełen wesołych pogwarów i czarującej zadumy. Myśli ludzkie wyzwalały się wtedy z całodziennego zamętu i wędrują swobodnie jak obłoki. Ileż to takich wieczorów spędził Jacek Białynia słuchając wierszy Mallarmégo, lub patrząc na wiotkie Sisley'owskie krajobrazy! Po skromnych pracowniach artystów, lub wprost na

tarasie kawiarni. W alejach Luksemburskiego ogrodu, albo w zielonym saloniku przy ulicy d'Assas. Wszakże wieczór dzisiejszy, wieczór w celi klasztornej tchnął czarem własnym, doskonałym od innych.

— Materializm, determinizm, dyktatury — mówił ksiądz tymczasem — oto trzy aspekty tej samej postawy duchowej. To z sobą się wiąże. To się łączy z sobą w jeden stop ołowiu i żelaza. Jeśli się odrzuca spirytualizm dziejowy, odrzuca się tym samym filozoficzne uzasadnienie wolnego rozwoju jednostki. Odrzuca się indywidualizm, proszę pana. Nie trzeba lekceważyć znaczenia założeń filozoficznych dla praktycznego życia ludzkiej zbiorowości. Człowiek psychiczny nie jest jeden i proces jego myśli nie zna przegródek ani zahamowań doraźnych. To nie jest bynajmniej przypadek, że dyktatorzy współcześni rekrutują się spośród byłych socjalistów. Wytlumaczeniem tego osobliwego zjawiska jest światopogląd materialistyczny, w którym socjalizm wychowywał swoich adeptów. Wiara w grę sił materialnych, jako w jedyny motor historii. Pogląd, że społeczeństwa są tylko mechaniczną sumą jednostek. To się mści. Syn się zwraca przeciw rodzicowi, jak Jowisz pozbawiający władzy swego ojca Saturna. Ale pojęciowa zawartość tych systemów jest ta sama. Człowiek przestaje być wartością niezależną, aby stać się li tylko przedmiotem. Obywatel jest wszechstronnie uzależniony od państwa.

Staął przy oknie i wpatrzył się w blaski wieczorne. Fiolet i szafir spływały mu po sutannie, aby przeniknąć w przestronną głąb pokoju.

— Sądzę — głos Jacka zabrzmiał mocnym tonem — że nie tylko socjalizm tu zawinił. Ustrój kapitalistyczny oparł się również na materializmie dziejowym. W sposób niemniej skrajny, niż socjalizm, stosuje on doktrynę antyidealistyczną.

— Pan ma słuszość — ksiądz Perrault gwałtownie odwrócił się od okna. W oczach miał światła, jakby skrawek dnia zachował pod powieką. — Pan ma całkowicie słuszość. Ja nie rozgrzeszam kapitalizmu. O, bynajmniej!

Niewielka lampka paliła się na stole, a oni jeszcze mówili gorąco i przyjaźnie. O rzeczach tak istotnych dla epoki naszej, jak istotnymi były zagadnienia konfesyjne dla czasów Reformacji, a stosunek do monarchii — dla Rewolucji francuskiej. Po cóż oczy przemykać? Przemilczać czy zaprzeczać? Jesteśmy dziś bardziej rozbici, niż była kiedykolwiek stara Europa. Bardziej załamani wewnętrznie i bardziej jutra niepewni.

— Musimy się zdobyć — mówił ksiądz uroczyście i cicho — na przełamanie w sobie zbyt łatwego nawykowego myślenia. Żeglarz, który by płynął wzdłuż brzegów, nie odkryje nigdy zamorskiej krainy. Łą, po którym stapaliśmy dotąd, kruszeje i spod nóg się usuwa. Jak słynna wyspa Atlantów. Wyspa zbyt stara, aby móc się oprzeć zachłanności żywiołów. Czyż jeszcze będziemy

błądzić wzdłuż brzegów? Nie odbijemyż na morze?

— Wiek dziewiętnasty obciążył nas zamięrowaniem do uproszczonego, racjonalistycznego ujmowania zjawisk. Wszakże życie w istocie swej jest irracjonalne. Ścisłej mówiąc nie odpowiada racjonalizmowi człowieka. Posiada własny swój sens i własny cel daleki, niedostępny dla naszego poznania. Utożsamianie naszych drobnych celów z transcendentnym celem ludzkości jest śmiesznością. Wiek dziewiętnasty powtarzał do znudzenia: „Wieczność, to ja właśnie”. Wiek dziewiętnasty był nową Atlantydą: pochłania go żywioł wzburzony.

— Czegoż mamy żałować i po czym mamy rozpaczać? Teleskop otworzył przed nami bezmiar świata, ale serca ludzkie nie przeobraziły się przecie. Pozostały nieczułe i głuche. Zamknięte na rozpacz bliźniego i wiecznie zysku żądne. Zysk rządzi nami pod mianem kapitalizmu. Prawo zysku stało się prawem cywilizacji współczesnej. Pobudką wszelkiego działania.

Przerwał i patrzył przed siebie uporczywie i twardo. Delikatne dłonie zacisnęły się kurczowo. Był to gest bólu, lecz i wysiłku zarazem. Znak niepokoju, lecz i gotowości wewnętrznej. Nieulekłość myślenia streszcza się czasem w takim nikłym geście.

— Istotą kapitalizmu — mówił znowu spokojnym, równym głosem — jest cykliczne zjawisko zysku i straty. Wszelki wysiłek człowieka w tym

ustroju skierowany jest ku osiągnięciu pierwszego, ominięciu zaś drugiej. Natura ludzka uległa takiemu wypaczeniu, że z trudem wyobrażamy sobie jakąkolwiek działalność nie wynikającą z rachuby. Bezinteresowną i wzniosłą.

Dźwignął się naraz z fotelu. Naprzeciw Jacka stanął gniewny, niemal groźny.

— Pan zna teorię Darwina? — wołał urywanymi zdaniem. — Jego teorię przystosowania do warunków życia jako czynnika ewolucji typu? Przecież to jest kwintesencja mądrości materialistycznej. Niech pan to sobie przypomni. Niech pan to myślą ogarnie. Ja będę przez chwilę darwinistą.

— Jeśli w naszym ustroju pobudką pracy wszelkiej czy działania, psychicznym motorem wysiłku jednym słowem — jest właśnie chęć zysku, jeśli przypadkowe wyłączenie lub niedorozwój tego czynnika powoduje w konsekwencji społeczne upośledzenie jednostki, — to w jakim kierunku według praw doboru będzie się rozwijać ewolucja naszej zbiorowości?

— Gdybyśmy o sokołach mówili (jesteśmy na przykład ptasznikami na dworze średniowiecznego monarchy) albo o koniach (jesteśmy właścicielami współczesnej stajni wyścigowej), odpowiedź nasza wypadłaby zwięźle. Rasą przyszłości, powstałą w analogicznych warunkach, byłyby najlotniejsze sokoły, najszybsze, najwytrwalsze wierzchowce.

Zadrzał. Zadrzał wyraźnie. Pod czarną sułanną ramiona podniosły się i opadły.

— Jakaż będzie — krzyknął — ta przyszła rasa ludzka? Rasa wyrosła w treningu wiecznego współzawodnictwa o zysk? Rasa bezlitosna dla słabych, wyrachowana, okrutna? Rasa, w której geniusz zysku zastąpi wszelkie wartości?

— Och, widzę ją! Tę przyszłą rasę ludzką, wyrosłą z selekcji jednostek najbardziej przystosowanych do warunków ustroju. Kolumbów kolonizacji i Koperników obrotu kapitałów. Geniuszów zysku, niezawodnych mistrzów giełdy! Rasę ludzi-arytmometrów i rasę ludzi-rekinów!

Jacek podniósł na księdza badawcze, zimne spojrzenie.

— Lecz w czymżeż ksiądz widzi ratunek i zbawienie? Komunizm nie dał przecie rozwiązania. Wytworzył kapitalizm państwowy, z punktu widzenia interesów jednostki niemniej bezwzględny, łupieżczy, wyzyskujący.

Wtedy to ksiądz Piotr odmienił się nagle. Burza znikła mu z twarzy. Wypogodziły się oczy i bruzdy dookoła ust rozpląnęły się w dobrym uśmiechu.

— Zbawienie jest w Ewangelii — odrzekł z prostotą. — Nie należy ani niszczyć bogactw, ani też służyć bogactwom. To bogactwa winny służyć ubogim. Niech pan posłucha, aby lepiej zrozumieć.

Sięgnął ku półkom. Z szeregu książek wyjął stary foliał. „Złotą Legendę” błogosławionego

Jakóba de Voragine w wydaniu francuskim z 1480 roku. Na odwrocie strony tytułowej widniały nazwiska kolejnych właścicieli dzieła. Czterech biskupów, siedmiu opatów, jeden marszałek Francji i trzech znakomitych pisarzy.

— Niech pan posłucha — powtórzył ksiądz Perrault rozkładając księgę na stole. — Mądrość ludzka przemija wraz z pokoleniem, które ją wydało. Synowie zaprzeczają ojcom. Ale mądrość z natchnienia Bożego jest wieczna i epoka każda może z niej czerpać do woli.

Przysunął lampkę i szukał jakiejs karty. Blade światło skupiło się na tych niecierpliwych dłoniach i wydało się znowu Jackowi, że ręce świecą własnym, łagodnym jaśnieniem.

„Nazajutrz po przybyciu Świętego Jana Ewangelisty do Efezu — czytał ksiądz Piotr wyraźnie i spokojnie — pewien filozof, imieniem Kraton, zwołał lud na plac miejski, aby mu okazać, jak należy gardzić marnością tego świata. Poprzednio mianowicie nakazał on dwom bogatym młodzieńcom, aby sprzedali całe swe mienie i za otrzymane pieniądze zakupili diamenty wartości niebywalej. Otóż na rozkaz Kratona młodzieńcy owi w oczach ludu potłukli diamenty. Przypadkowo Apostoł przechodził wówczas placem. Przywołał on filozofa i dowiódł mu, jak bardzo naganną była taka pogarda rzeczy ziemskich, albowiem — głos księdza Piotra podniósł się znacząco — lekceważenie bogactw wtedy jedynie jest zasługą, skoro wzgardzone bogactwa mają odtąd

służyć dobru ubogich. Dlatego to Zbawiciel wyrzekł do młodzieńca podług słów Ewangelii: „Jeśli chcesz być doskonałym, idź, sprzedaj majątność twoją, a oddaj pieniądz ubogim“. Wtedy wyrzekł Kraton: „Jeśli Pan twój jest naprawdę Bogiem i jeśli chce On, aby cena tych diamentów przyniosła korzyść ubogim, uczyni, aby odzyskały one swoją całość, a tak spełnisz ku chwale Miśtrza twego to, co ja potrafiłem spełnić ku chwale człowieczej“. Wówczas Jan Święty modląc się zgarnął w dłoń ułamki drogocennych kamieni. I natychmiast stały się one takie, jakimi były, zanim je rozbito. Wówczas filozof i obaj greccy młodzieńcy uwierzyli w Jezusa. A cena diamentów była rozdana ubogim.“

XVII

Warunkiem rozwoju jest ciągłość przeobrażeń. Falowanie myśli rodzi się z nieustannych przeciwieństw i załamania. Z zawodów i klęsk, które są nieodłączną ceną każdego doświadczenia, ale stanowią zarazem odskocznnię dla nowych poszukiwań. Tylko zaskrzepłość prowadzi do upadku.

Znam pewne słowo zawierające nieomylną oznakę dekadencji. Słowo krótkie i straszne jak tępe uderzenie maczugi. Wylęga się ono w umysłach, które przestały doświadczać. Szukać i badać. Porywać się i błędzić. Dla których falowanie myśli jest najnieznośniejszym ciężarem, a dociekliwość innych — zagraża własnej ich sytości.

Przed dwustu laty za rządów Mocnego Augusta używała szlachta podobnej, choć bardziej rozwlekłej formułki. Wyczerpanie psychiczne ówczesnej warstwy rządzącej przybrało formę analogicznego łatwego optymizmu. Wygodny „sarmatyzm” pozwalał bez wysiłku widzieć wyższość własną nad wyfraczonym Zachodem. Dość było kontusza i krzywej karabeli. Golony łeb zwalniał od obowiązku samodzielnego myślenia. Na sejmach głucho było i posłusznie. Najczęściej oby-

wano się bez sejmów. Flemming i Brühl sterovali nawą państwową. Bez przeszkód. Szlachcie wystarczały ambicje partykularza. Doroczne plony i troska o „krescencję”.

„Za króla Sasa...” Rzuconoż to hasło z drezdeńskiego zamku? Z otoczenia króla, który był tegim szermierzem rządów autorytatywnych, nieodpowiedzialnych? Obmierzłe w sytości swej, w pokracznym realizmie, zawierało ono wyraźny program rządzenia. Oznaczało odwrócenie się narodu od zadań politycznych. Rezygnację z zasad, z praw i z rzeczywistej tradycji. Orientalizacja nie ograniczyła się do stroju. Siegnęła w głąb. Przebudowała psychikę warstwy górnej. Najistotniejszym znamieniem tej orientalizacji ducha publicznego było wycofanie się szlachty do bezpiecznego zacisza spraw familijno-folwarcznych. Władza przechodzi w ręce króla, jego ministrów i dworzan. Masy szlacheckie po raz pierwszy w historii naszej są zadowolone. Zastygają w bezwładzie. Bardziej niż czeokolwiek obawiają się wszelkich zmian i reform. „Byczo jest”. Byczo właśnie. I wtedy wraz z ciemnotą i biernością mas nadchodzi upadek Rzeczypospolitej.

„Byczo jest”. Augustowy sarmata nie znał tego zwrotu, lecz gdyby znał, używałby we dnie i w nocy. Na powiatowym sejmiku i w gospodzie. Łożąc baty parobkom i popijając miodek w alkie-
rzyku. Przy imieninach Króla Jegomości i na cześć Brühla, że stawia pałac w Warszawie.

Sarmata rad był, że mu zdjęto z głowy nieznośny ciężar myślenia. Wyprostowany, jurny, z lekką głową mógł się bałamucić po zjazdach i odpustach. Pokrzykiwać, przytupywać, kolejno wadzić się i godzić. Byle wigor był w kościach i kawalerska fantazja. O sprawach państwa, o konstytucji, ustawach i aliansach myśli kto inny w zamkniętym gabinecie. Wszystko jest tam przewidziane i składnie ułożone. Aż do litanii kandydatów starościńskich, których sejmik niechybnie okrzyknie i wyśle do stolicy. W samozachwycie woła się ochoczo: „Za króla Sasa...”. W języku współczesnym znaczy to: „Byczo jest”. Odmienne słowo o tym samym sensie politycznym. O tym samym nasileniu tępej sytości duchowej, nieomylnie prowadzącej do upadku.

Jacek Białynia nie miał nic w sobie z „sarmackiego” dziedzictwa. Ominął go spadek po przodkach, jak kula cel omija. Spośród nieskończonej ilości prawdopodobnych formacji jego układ psychiczny odznaczał się pominięciem tamtych elementów. Po prostu brak było w Jacku owych genów „sarmackich”, które szlachta saska przekazała tak hojnie swoim odległym potomkom.

Poprzez naddziada Andrzeja Lacczańskiego genealogia Jackowa sięgała ludzi XV i XVI stulecia. Ludzi o intelekcie śmiałym i zdobywczym, którzy docieklivość myśli cenili na równi z niezależnością charakteru. „Nowinki” nie płoszyły tych ludzi. Nie wywoływały oburzenia ni obawy

Jechali gromadnie na Zachód. Znad Wisły — za Alpy droga była prosta. Doma wódarz zostawał, albo zgola wyprzedawano folwarki, jak ów Jan z Jabłonicy Strzembosz, który w wieku XV — jeden z pierwszych w Polsce — przywiózł doktorat z Bolonii i wykładał w Akademii Krakowskiej współcześnie z Kopernikiem.

Pokolenia szlacheckie, które stworzyły wielkość i potęgę pierwszej Rzeczypospolitej, nie były bynajmniej pokoleniami konserwatystów. Cóż zresztą mogli oni konserwować, skoro na tym przełomie średniowiecza i czasów nowożytnych, odpowiadającym przełomowemu charakterowi naszej epoki, trzeba było wszystko zdobywać i przekształcać? Zbawienie polegało na szybkim marszu w przyszłość. Na uniezależnieniu się od form rozwojowych skazanych na zanik. Na wyzwoleniu nowych sił w narodzie i na rzuceniu ich na szalę tworzącej się historii. Nawet za cenę walk wewnętrznych. Z królem, z możnowładztwem, z dzielnicowością. Wielkość państwa powstawała w ogniu owych zmagani. Sejmy bywały często niespokojne, ale granice — bezpieczne przed najazdem. Polska huczała jak ul i rozkwitała niby sad wiśniowy.

Kiedy 19 sierpnia 1573 roku poselstwo polskie w liczbie trzystu szlachty wjechało do Paryża, aby spotkać i na tron wprowadzić Henryka Walezjusza, Francuzi oniemieli ze zdumienia. Ci ludzie znad Wisły i Niemna mówili po łacinie, po włosku i francusku. Deklamowali Horacego i Pe-

trarkę. Cytowali z pamięci Tacyta, Senekę i Cicerona. Roztrząsali Pandekty. Śpiewali weneckie kancony. To był szczyt renesansowej kultury. Ale jednocześnie posłowie polscy wykazywali zdumiewającą, jak na owe czasy, postępowość poglądów. Poczucie osobistej godności. Niezależność politycznego stanowiska. Do króla zwracali się rzeczowo. Bez uniżoności. „Jeśli nie zaprzysięgniesz (konstytucji), nie będziesz nam panować”. W sprawach religijnych — równo w rok po francuskiej Nocy Świętego Bartłomieja — głosili zasady tolerancji i zgody. Żądali od króla zapewnienia pokoju pomiędzy wyznaniem. Równości praw obywatelskich. Któż byli ci dyplomaci w wielkim stylu, o których de Thou, współczesny historyk francuski, wyraża się z podziwem: „Nie znaliśmy dotychczas istotnej wartości wykształcenia”? Ci mężowie stanu, którzy w najpierwszej stolicy Europy okazali się tak szczęśliwie najświetniejszymi Europejczykami? Oto ich imiona: biskup Konarski, Łaski, Tomicki, Górka, Zborowski, Zamoyski, Herburt, Firley, Proński i drugi Tomicki. Gatunkowa waga tego poselstwa jest ogromna. Góruje ona nad dziejami naszej dyplomacji aż po dzień dzisiejszy. Polska w roku 1573 była naprawdę mocarstwem.

Jackowi Białyni wydawało się nieraz, że pomiędzy tamtą epoką a obecną istnieją analogie. Że dla ludzi szesnastego wieku problematyki religijne były tym, czym dla nas, wychowanków kultury materialistycznej — zagadnienia gospodarcze

i społeczne. Tylko powierzchowny badacz mógłby nie doceniać praktycznego znaczenia przynależności wyznaniowej dla społeczeństw, których życie związane było ściśle z podstawami wiary. Interesy dynastyczne, bezpieczeństwo publiczne, nawet całość państwa były uzależnione od takiej czy innej przynależności konfesyjnej. Od takiego czy innego ustosunkowania się do Kościoła. Istniał wreszcie czynnik moralny, którego nasz umysł współczesny, zaprawiony w sceptycyzmie, nie jest w stanie ogarnąć ani zastąpić odpowiednim ekwiwalentem: wiara w absolut Prawdy, w nieomylną drogę duchowego zbawienia. A jednak Zamoyski, Herburt, Firley i Tomicki potrafili stwierdzić w deklaracji paryskiej, że „aczkolwiek woleliby śmierć niż odstępstwo od wiary rzymskiej, to przecie nie podobna im się uchylić od instrukcji Sejmu i zaniedbać gwarancji, od których zawisł pokój państwa”. Żądanie konstytucyjnego zapewnienia wolności sumienia. W czasach, gdy wojny religijne stanowiły powszechne zjawisko w Europie.

Jacek sądził — czyż się mylił bardzo? — że większej trzeba było odwagi intelektu, większego poczucia odpowiedzialności za losy narodu, aby wówczas — w wieku XVI — żądać wolności religijnej, niż aby obecnie — czterysta lat później — wysunąć program wyrównania społecznego. Wszak ci, którzy domagali się tolerancji dla innowierców, musieli przełamać nie tylko względy materialne i polityczne. Musieli również stoczyć

walkę z sobą. Z własnym przywiązaniem szczerym i głębokim do wyznawanej religii. O ileż jest łatwiej ludziom XX wieku akceptować program przebudowy społecznej, niż ludziom tamtej epoki — uznać i legalizować przewrót religijny. Tamci wierząc w Kościół przyjmowali nowe zasady współżycia, nowe, niewypróbowane jeszcze i niejasne drogi rozwojowe. My, nie wierząc w ustrój kapitalistyczny, nie możemy się zdobyć na przejście do innej struktury gospodarczej. Na odbicie od tej wyspy Atlantów, jak nazwał ksiądz Perault materialistyczną cywilizację ubiegłego wieku, pomimo że zdajemy sobie sprawę ze zbliżającej się klęski.

Rozumowanie Jacka Białyni odbiegało ogromnie od schematycznych sądów przedstawicieli jego środowiska. Odzyskanie własnej państwowości nie stanowiło dlań końcowego, bezpiecznego etapu. Współ ze Strwiążem wierzył, że potęga państwa nie powstaje w skrytości gabinetów ministerialnych. Polska? Tak. Ale jaka Polska? Jaką treść żywą, konkretną wleje się w te formy państwowe? Żandarma zastąpić żandarmem? Och, jakżeż to bardzo niepewne, niebezpieczne. Napór życia mocniejszy jest, trwalszy, wszechstronniejszy od tam sypanych ręką biurokraty. Przychodzi zawsze ten moment, kiedy żywioł budzi się i zwycięża. Kiedy zarządzenia, przepisy, okólniki wyglądają jak recytacje znachorów zamawiających chorobę. Wrodzona trzeźwość przestrzegająca Jacka przed omamem wiel-

kości wynikającym z braku perspektywy dziejowej. Jego zachodnia kultura uczyła szacunku dla idei, które w danej chwili nie znajdują jeszcze powszechnego uznania, lecz mogą zyskać je jutro.

Strwiąż ma słuszość — stwierdził wobec siebie. — Jeśli życie stawia swój znak zapytania, nie podobna uniknąć odpowiedzi. Polska wypowiedzieć się musi. Musi określić swoją postawę, swój własny stosunek do epoki.

I jak wówczas, podczas nocnej rozmowy z przyjacielem, poczuł, że i on także musi wybierać i rozstrzygać. Że trudno mu dłużej przebywać tu w Paryżu, skoro w Polsce człowiek każdy będzie się z losem mozolić. Że urząd nie zwalnia od tego obowiązku, i że on, Jacek Białynia, na równi z innymi musi brać udział w ogromnym tym wysiłku.

Oto stopniowo już żegnał się z tym miastem. Z miastem młodości swojej marzącej i żarliwej. Z miastem prób pierwszych, zmagania i uniesień. Z miastem, które dało mu więcej niż inne miasta na świecie, choć znał ich tyle od Atlantyku po Kaukaz.

Szedł ulicami i oglądał domy i przechodniów. Lśniący asfalt jezdni i drzewa wzdłuż alei. Miejsca zaciszne w dole nad Sekwaną. Kawiarnie, wystawy sklepowe i pomniki. W ulicznym gwarze wyławiał nuty znane: okrzyk przekupnia, parskliwy śmiech dziewczyny. Słuchał, jak biją

zegary. Jak monotonnie przepływa fala rzeczna. Skręcił w ulicę Soufflot, aby się zatrzymać raz jeszcze przed „Myslicielem” Rodina. Patrzył długo w ten posąg ogromny, wysunięty przed front Panteonu, w którym mistrz zawarł fizyczną mękę tworzenia. Poród myśli, boleśniejszy od porodu ciała. Potem krążył znowu wśród ciasnych, krętych uliczek. Odnalazł przejście do Aren i nieprawdopodobnymi zaułkami przez plac Monge cofał się z powrotem w śródmieście. Gdy na koniec dotarł do Obserwatorium, odetchnął głęboko i zasiadł na tarasie pierwszej napotkanej kawiarenki. Pił wino białe o smołowatym, ściągającym smaku i przysłuchiwał się rozmowie siedzących przy sąsiednim stoliku robotników. Szafirowe bluzy zlewały się harmonijnie ze zmierzchem szafirowego wieczoru. Po twarzach pełgał żółty blask latarni. Było cicho, spokojnie, rzetelnie.

Jacek kochał to miasto za jego różnorodność. Za niepowtarzalność szczegółu. Za wartkość nurtu. Za nieustanną gorączkę przeobrażeń. Ale kochał je także — może bardziej i trwalej — za jego skupione, pełne, twórcze życie. Od wieków myśl ludzka obrała te mury za siedzibę swoją. Przylgnęła do nich. Wypolerowała pierwotną chropowatość piaskowca. Wyżłobiła w kamieniu nieuchwytnie rysy. Południowy Stambuł objawia się blaskiem słońca i morza. Oddycha fluidem rozkoszy zmysłowej, upajającej, wszechobecnej. Fluidem Paryża jest praca intelektu, wyostrzona,

hartowna, niespokojna. Myśl przeistoczona w element samoistny. W falowanie świetlne o niezniszczalności żywiołu.

Dnia następnego wstąpił Jacek do szkoły. Minał sień i przeszedł od razu do sali bibliotecznej. Spojrzał na ściany, do wysokości dwóch pięter wyłożone książkami, i uśmiechnął się, jak do oczekujących przyjaciół. Poznał dawne swe miejsce na prawo od wejścia przy oknie. Było puste. Rozłożona książka leżała na stole. To samo dzieło Karola Dupuis o zasadzie równowagi w polityce europejskiej, które on tu czytał przed laty. Gdyby przerzucił strony, może by wytrząsnął własną zapomnianą notatkę. Wydało się Jackowi, że tamte lata wcale nie minęły. Dyktans czasu skurczył się i zanikł odsłaniając to miejsce znajome i przyjazne. Jak taśma filmu w odwrotnym puszczona kierunku, zafalowała rzeczywistość retrospektywnym obrazem. Przez ułamek sekundy trwał poza wymiarem czasu, wpatrzony w nawrót rzeczy, które przeminęły. Aż wstrząsnął się i wyszedł wolno z biblioteki.

Teraz, gdy wiedział, że musi stąd odjechać, rzecz każda nabierała niespodziewanego znaczenia. W szczególe znanym od dawna wykrywał nowy szczegół. W zdaniu każdym — podźwięk specjalny i znaczący. Gdy mijał fontannę Carpeaux, zauważył, że glob ziemski podtrzymują tam cztery postacie. Cztery części świata. „To jest sprzeczne ze stanowiskiem geografów — pomyślał. — Artysta pominął Australię.” Zatrzy-

mał się i patrząc pod słońce usiłował wyobrazić sobie tę grupę z udziałem piątej postaci. Było to jednak niemożliwe. Rytm dzieła załamywał się całkowicie i ginał w ogólnym zawikłaniu. Zamiast linii falistych, lecz zrozumiałych, wyraźnie zaznaczonych, układ nabierał cech alegorycznych wyobrażeń hinduskich. Owych stwórców wielorękich, wielonogich, mających ilustrować abstrakcyjne tezy religijne za pomocą nagromadzenia i przypadkowości artystycznego tworzywa. Wówczas Jacek rozumiał, dlaczego artysta musiał pominąć Australię. Dlaczego wbrew podręcznikom stworzył geografie własną, skreślając całe obszary rzeczywistości bezsprzecznej, obiektywnej. Aby zachować prawdę swego dzieła, musiał on uszczuplić swą wiedzę. Jacek pojął, że twórczość odbywa się właśnie tą drogą. Przez eliminację stopniową i mozolną. Przez skreślenie rzeczy zbędnych, nieistotnych. Ze trzeba stale odrzucać i zapominać, aby móc budować i tworzyć.

Wolno, uroczyście upływał czas końcowy i Jacek błądząc ulicami miasta miał czasem wrażenie, jakby się znajdował na statku odbijającym od brzegu. Wówczas na pokład spada chwila ciszy i podróżni stłoczeni u burty uśmiechają się blado i niepewnie. Mierzą w myśli ten ład i płaski bezmiar morza. Zakątek ziemi okryty mgłą liliową i szlak ogromny, płynny, siwosiny, który legł między nimi a celem ich podróży. Świat swych dokonań i świat zamierzeń swoich. Sprawy

spełnione i zagadkowość przyszłości. I wtedy najbardziej trzeźwym wydaje się przez moment, że pozostawili coś z siebie na niknącym brzegu.

Maj już dobiegał połowy. Maj nienaganny, słoneczny. Ze strzępu białych obłoków osuwał się cień czasami na chciwe chłodu ulice. Przypadał plamą niebieską na bruk bielejący, rozgrzany. Wędrował przez trawnik. Rozwiewał się u zakrętu alei. W ogrodzie Luksemburskim przy fontannie Medicis brak było wolnych krzeseł aż do zamknięcia ogrodu.

Na bulwarach, na placach sprzedawano kwiaty. Dziewczęta podmiejskie rozwoziły wózkami narcyzy i konwalie. Na nutę Magdalenki śpiewano nową piosenkę. Wałęsały się bandy modelek i studentów. Pomykały autocary Cooka. Amerykańscy turyści patrzyli na Paryż przez szkło okrągłych rogowych okularów. Emigranci rosyjscy spodziewali się raz jeszcze rychłego upadku Sowietów. Krew obiegała żywiej i radośniej. Słowa dźwięczały pełniej, wyraziściej. Wśród tłumów ludzkich krążyła Obietnica.

— Małgorzato, przyszedłem się pożegnać. Wyjadę wkrótce do Polski.

Miała ruch spłoszonego ptaka. Trwożny trzepot dłoni.

— Dlaczego, Jacku? Dlaczego?

— Zbliżają się wypadki — silił się na rzeczowość niemal urzędową — w których nie mogę być widzem. Nikt mnie właściwie nie wzywa.

Nie żąda mego powrotu. Ale powrót jest przecie konieczny. Nie mogę opuścić dawnych towarzyszy. W czas próby wycofać się z szeregu.

— Więc to, jak w wojsku? — zapytała podnosząc oczy ciemne.

— Jak w wojsku — potwierdził. — Jak w armii ochotniczej. Kto raz się zaciągnął, musi być konsekwentny do końca.

Pochyliła się lekko. Ufnie, serdecznie położyła mu rękę na dłoni.

— Jacku, ja rozumiem — rzekła prawie szeptem.

W zielonym saloniku pachnął bez rozkwitły. Przez okna otwarte wtargnął wiatr swobodnie. Uniosły się białe firanki. Zaszeleściły kartki porzuconej książki. Na inkrustowanej komodzie pomiędzy turkusowymi wazonami perskimi lśnił Wielki Kondeusz Frémieta złotystym, świetnym blaskiem.

— Ja rozumiem — powtórzyła raz jeszcze Małgorzata Perrault — i o nic pytać nie będę. Ale wiem teraz, Jacku, co obraz ten oznacza.

Wskazała wzrokiem na ścianę przeciwną, gdzie w pełnym świetle mienił się niezastąpionymi, jak opalowa gama półtonami „Odjazd na Cytherę” Watteau. Żył treścią bajki. Niezniszczalnością marzenia.

Przyszło na myśl Białyni, że o tym po raz drugi mówią. W ukrytym rytmie wydarzeń wracała tamta rozmowa, jak wraca wszystko, czegośkolwiek zaznali. Radość i troska, uśmiech

i znużenie. Przypadkowe spotkanie i odejście każde. Jak gdyby życie było właśnie strofą o powracającym jambie czy trocheju. O powtarzalności przeżycia w coraz to innej odmianie i postaci.

— Więc cóż on oznacza, Małgorzato? — zagadnął Jacek, jak przed miesiącami dwoma. Wszakże tym razem w głosie jego brak było żartobliwości przekornej.

— To jest sen — mówiła. — Czy pan nie widzi, że rzecz się dzieje we śnie? Że wszystkie pary są parą jedyną, poprzez kolejność wydarzeń podążającą ku łodzi? Oto szept pierwszy. Jeszcze nie wyznanie. Jakże trudno odnaleźć się pośród gąszczów leśnych. Bogini patrzy z życzliwą melancholią. Ona zna ścieżkę, którą się tamci udadzą. Potem gest pierwszy, opiekuńczy, troskliwy. Trzeba unieść się z ziemi, aby już nigdzie nie spocząć. Kobieta jest odwrócona. Twarz mężczyzny pogrąża się w cieniu. Tylko ręce jaśnieją. Ręce przyjacielskie, pomocne, złączone z sobą w podjętym wspólnie wysiłku. Potem jest chwila wahania. Spojrzenie wstecz za siebie. Dzień letni oblał postacie. Widnieją wody zatoki. Ale spokój lasu budzi chwilę żalu. Kamienna bogini spogląda z rezygnacją. Jest zbyt późno, by wracać. Trzeba zejść ku łodzi.

— A dalej? a głębiej? Postacie za stokiem pagórka?

— To dzieje te same, ale dzieje we śnie. We śnie zdarza się, że jednocześnie jesteśmy sobą i nie-sobą. To ta sama para, choć nie taka sama.

Ta sama, przemieniona przecie. Jest w niej powszedniość zadowoleń drobnych. Zatrącenie celu. Chwilowe. Pątnicy nie patrzą ku łodzi, aczkolwiek przy niej znajdują się za chwilę. Tam jest przystań. Początek przejrzystej, jasnej wody. Przewoźnicy czekają w pogotowiu.

— I wtedy, Małgorzato, pątnicy wsiadą i odpłyną?

Długimi rzęsami nakryła oczy starannie. Odychała nierówno, przyspieszenie. Cienkie palce gniotły białe płatki kwiatu. Rozgniatały na miazgę lepką, żółtawą.

— Wtedy? — zawahała się. Głos jej brzmiał niemal dziecinnie. Nieporadnie. — Wtedy oni obudzą się właśnie.

Podniosła oczy. Spod rzęs ostrożnych wyknęło się spojrzenie żalosne.

— Oni obudzą się, Jacku. To jest sen. To wszystko wszak się dzieje we śnie. Ja to teraz zrozumiałam dopiero.

Nie znał jej takiej. Ani wówczas, gdy była dziewczynką bawiącą się piłką w ogrodzie. Kiedy spod szerokiego słomkowego kapelusza rzucała mu w przelocie uśmiech porozumiewawczy, wesoły. Ani później, gdy z dorosłą panną odnowił przyjaźń przed laty zawiązaną. Po raz pierwszy w tej oto rozmowie dostrzegł Małgorzatę inną: zwielokrotnioną duchowo. Schyloną nad głębią marzenia, jak nad wodami potoku, i w ich nierzeczywistości oglądającą rzeczywistość własnych pragnień.

— Czyż wszystko snem jest? — zapytał. — Wszystko, ku czemu dążymy?

— Nie wiem — potrząsnęła głową. — Ja nie wiem, Jacku, wiele. Zrozumiałam tylko obraz, któremu przyglądam się od dziecka. Zrozumiałam ten pochód pątników, którzy nigdy nigdzie nie odpłyną. Obudzą się w łóżku bezpiecznym i szczerzej otulą się kołdrą.

Jacek wstał i podszedł do okna. Odwrócony, wpatrzony w ulicę, myślał o istotnym sensie ich rozmowy. Cóż oznaczały jej słowa? Ta nieoczekiwana interpretacja obrazu? Miałaż siebie, czy jego na myśli? Własną, czy jego ułudę? Powiedział przecie, że wyjeżdża. Że nie może opuścić dawnych towarzyszy. Wycofać się nagle z szeregu. Czyż to, co za postanowieniem tym kryć się mogło, wydało się jej przemijającym złudzeniem? Domyślając się rewolucyjności przedsięwzięcia, wątpił z góry o jego wykonaniu? Cóż mogła o tym wiedzieć ta dziewczyna? Dlaczego miała sądzić, że należy on do tych, którzy „nigdy nigdzie nie odpłyną“?

Lecz jeśli mówiła o sobie? O swoim własnym czekaniu? Oto przeszli oboje odcinek wspólnej drogi. Od zabawy piłką do rozmyślań przed Świętym Janem Leonarda. Małgorzata przestała być dzieckiem. Jej ciemne oczy miały jak dawniej wesołe, złote błyski, ale — widział to dobrze — miały również tę głębię spojrzenia, którą się osiąga za cenę trosk tajonych. Oczy kobiety, jednocześnie

pogodne i zalęknione. Wpatrzono w przestrzeń i nieświadome przyszłości. „Oni obudzą się, Jacku”. Czy nie ona budziła się właśnie? Teraz. Teraz, kiedy odjeżdżał. Kiedy obca, wroga rzeczywistość zabierała go może na zawsze. A ona? Ona pozostanie. Nie odpłynie nigdzie. We śnie przebyła tę drogę od skraju lasu aż do brzegu łodzi, ale sen tutaj się kończy. Ta łódź jest przebudzeniem właściwie. Odjazd? Tak. Odjazd w szarą rzeczywistość. W powszedniość dnia codziennego, gdzie wyspa cudowna majaczy tylko wśród wspomnień.

Odwrócił się szybko od okna i ogarnął wzrokiem Małgorzatę. Siedziała na orzechowej kanapie z rękoma opuszczonymi wzdłuż ciała. W lekkim warg odchyleniu zarysował się grymas znużenia i goryczy. Patrzyła przed siebie uparcie, nieco trwożnie, jak patrzy człowiek szukający drogi.

— Małgorzato...

Drgnęła. Widział wyraźnie, jak jej usta skurczyły się boleśnie. Jak zbiegły się brwi na chwilę łukiem uciążliwym. Powoli, przezornie zwracała twarz w jego stronę.

— Nie jest to łatwo: odjeżdżać — odmierzał słowa, tłumiał głos rozważnie. — Z nas zawsze coś pozostaje. Jakaś część istnienia. Odjeżdżać, to czasem rozstawać się z samym sobą. Z tym, czym się było dotychczas. Z kręgiem myśli, pragnień i zamierzeń. Jeśli człowiek stwarza sam siebie,

to czasem: rozpocząć wszystko od początku. Oto, co znaczy odjechać, Małgorzato.

Przerwał i patrzył uważnie, ale ona wciąż trwała w milczeniu.

— Spędziłem w waszym kraju — mówił znowu — lata najpiękniejsze, młodzieńcze. Lata, które nie powtórzą się nigdy. Przybyłem tu chłopcem nieledwie, aby odjechać mężczyzną. W czasach, gdy w mojej ojczyźnie nie było wolnej szkoły, wy wasze szkoły otworzyliście na oścież przed nami. Od Luneville'u aż po zaciszną uliczkę Saint-Guillaume. Jestem jednym z tych tysięcy i tysięcy Polaków, którzy przez lat dwieście odnajdywali we Francji Polskę dawną. Łacińskość jej kultury, niezależność myśli, wiarę w ideę, co burzy dosyt dnia dzisiejszego w imię prawdy jutra. Ja jestem, Małgorzato, dłużnikiem. Zaciągnąłem u was pożyczkę zagraniczną.

Zaprzeczyła stanowczo, serdecznie.

— Nie. To nie pożyczka, Jacku. To nasze dobro wspólne. Pan nigdy nie był tu obcy.

Promień słońca nachylił się ukośnie. Przesunęły się płyty świetlne. Ściemniały barwy obrazu. Tylko Wielki Kondeusz — niedoszły król polski — kierował konia w jasność pierzchającą.

— Pan nigdy nie był tu obcy — powtórzyła Małgorzata Perrault. — Gdy dowiedziałam się, że jest pan Polakiem, musiałam przyzwyczaić się do tej myśli. Stryj Klaudiusz kiedyś powiedział: „My i oni nad Wisłą stanowimy odrębne konary. Ale pień drzewa jest wspólny: ten sam sok niecierp-

liwy i gorzki obiega w naszych słońcach. Wyrosłiśmy razem z siedmiu wzgórz nad Tybrem". A ksiądz Piotr dodał: „Z siedmiu pagórków, które Chrystus zamienił na stolicę świata".

— I dlatego tak trudno odjechać, Małgorzato.

— Dlatego trzeba odjechać — patrzyła mu prosto w oczy. — Dlatego, Jacku, nie wolno mi wstrzymywać.

Była już całkowicie opanowana. Ciemne źrenice jaśniały skupionym, równym blaskiem.

Zbliżył się. Rękę wyciągnął. Ona również wstała. Podniosła głowę. Spod kasztanowatych loków wychyliło się czoło gładkie, spokojne. Sklepione nad nurtem myśli, jak zbocza górskie nad podziemną rzeką. Nie było na nim śladu tamtych wirów.

— Dziękuję, Małgorzato — powiedział prosto i gorąco.

Przybliżyła twarz do jego twarzy. Ujrzał jej oczy na wprost własnych oczu. Rozwarły się przed nim jak głębia. Jak firmament. Czuł, że patrząc pograża się i nie może wrócić. Jakby oddalał się w przestrzeń po nieobjętej elipsie.

— I ja dziękuję, Jacku — wyszeptała.

Dźwignęła jeszcze głowę. Nie odrywając oczu zbliżyła twarz ku twarzy.

— Za wszystko — odgadł raczej, niż usłyszał.

Nachylił się ku niej troskliwie, jak ku dziecku. Ogarnął ramieniem dziewczęce, szczupłe ramiona. Osłonił, jak przed niebezpieczeństwem nieznanym, ale bliskim.

Wówczas podała mu usta. Były lodowate.

XVIII

Senator Polko nie wszedł, ale wpłynął. Jak *superdreadnought* do doku. Okazale i sprawnie. Aż Roman Mikulicz mimo woli z miejsca się poderwał i witał stojąc pomimo chorej nogi.

— Przychodzę podziękować panu osobiście — głos pana Cezarego brzmiał łaskawie i z godnością. — Zabierałem czas pański, ale to było jedynie w interesie publicznym. W interesie państwa, panie attaché Mikulicz. Otóż misję moją zakończyłem pomyślnie. Zrealizowałem pożyczkę zagraniczną. Mogę wracać.

Teraz dopiero dostrzegł Jacka Białynię i nie przestając mówić wyciągnął rękę dostojnym, protekcyjnym niemal gestem.

— Mogę wracać i wracam — ciągnął uroczyscie. — Wracam, gdyż od dawna oczekują na mnie w Warszawie. Pan Premier Skrzyński...

— Chyba premier Witos — zauważył Jacek. — Pan Skrzyński od tygodnia nie jest już premierem.

— Pan Premier Witos, który, jak wiadomo, zastąpił hrabiego Skrzyńskiego — poprawił pan Polko nie zmieniając tonu. — Pan Premier Witos

jest moim starym... Tak. Tak, proszę panów. Jeszcze w czasie wojny, gdy pracowałem dla armii. To były czasy. Pan Wincenty wezwał mnie do siebie w okresie największej niepewności. Musiałem radzić. Szło o losy państwa.

Chrząknął i spojrzał na ścianę.

— A panowie jeszcze nie zmieniliście w Ambasadzie portretu? — ściągnął brwi, jakby notował w pamięci to zaniechanie.

— My to nie zawsze robimy — tłumaczył się Mikulicz. — Z Warszawy zresztą...

— O tym najlepiej pamiętać osobiście. Warszawa nie ma instynktu państwowego — stwierdził senator z przekonaniem.

— Cóż? — mówił dalej, bębniąc palcami po stole. — Ostrzegałem. Tak, proszę panów: ostrzegałem właśnie. Gdy przed wyjazdem rozmawiałem z panem Skrzyńskim, czy wiedzą panowie, co mi hrabia powiedział? „Panie Polko, powiem panu poufnie: gdyby mnie nie było, nie byłoby mego rządu. A cóż by wtedy było, panie Polko?” Westchnąłem i odpowiedziałem: „Byłoby lepiej, panie Premierze. Byłoby lepiej”.

Wydał wargi mięsiste i zmrużonym okiem spojrzał po obecnych. Ale rewelacja nie wywołała należytego wrażenia. Na bladej, księżycowo nieruchomej twarzy Mikulicza pojawił się uśmiech nieco ironiczny. Jacek swoim zwyczajem patrzył w okno.

— Pan Premier Witos — cedził pan Polko tymczasem — obejmuje spadek bardzo, bardzo tru-

dny. Błędy przeszłości, których nie potrzebujemy ukrywać...

Naraz Białynia odwrócił się od okna.

— W Polsce — rzekł ostro — wszystkie spadki ministerialne są niezwykle trudne. Ale o błędach mówi się dopiero, kiedy minister odejdzie.

— Pan Premier Witos — senator ostentacyjnie nie przyjął do wiadomości słów Jacka — jest jedynym prawdziwym mężem stanu w Polsce. On to reprezentował Polskę w oczach zagranicy, kiedy komunizm zagrażał. Rząd, który powstał pod jego kierownictwem, jest rządem konieczności państwowych. Rękojmnią rozwoju i ładu wewnętrznego. Ja to tak rozumiem, proszę panów.

— Oczywiście, oczywiście — zgodził się Mikulicz.

— Toteż się cieszę — senator istotnie promieniował — że będę miał szczęście współpracować z rządem. Ja zawsze z rządem współpracuję. Wszakże obecnie cieszę się w dwójnasób. Ukończyłem właśnie moją misję. Zrealizowałem pożyteczkę zagraniczną. Przywożę znakomite wyniki z tej podróży.

Zmierzył Jacka tryumfującym spojrzeniem i mówił dalej płynnie i podniosło:

— Państwo potrzebuje przede wszystkim kapitału. Kapitał jest istotą cywilizacji współczesnej. Rozstrzyga o udziale w życiu międzynarodowym. O pozycji państwa w wielkiej grze interesów. Rozstrzyga o sile i trwałości rządu. Tak.

Tak, proszę panów. Każdy rząd wie o tym. Musi o tym wiedzieć.

Ruchem starego Geldhaba wsunął palce w kieszonkę kazmizelki i już nie mówił, lecz przemawiał. Nawoływał i kazał, i gromił, jak hierofant współczesnej świątyni Złotego Cielca. Objawiciel zbawiennej doktryny.

— Musimy się zdobyć, panowie, na jasne, rzeczowe stanowisko. Nie możemy dopuścić do eksperymentów w gospodarce państwowej. Do nieodpowiedzialnych porywów. Do marzycielstwa w polityce. Nie my rządźmy, ale pieniądz rządzi. Według praw starych, powszechnych, niewzruszonych. Każdy rząd realnie myślący musi rozumieć tę prawdę. Od tego zależą jego własne losy.

Skąd on wie to wszystko? — myślał Jacek. — Skąd on się tego nauczył?

Zachodziła rzeczywiście dysproporcja pomiędzy dawnym Polkiem a obecnym. Dysproporcja nie tylko wymiarów, lecz i treści. Dawny plenipotent książąt Golicynów urósł i zolbrzymiał. Występował w roli międzynarodowego potentata kapitału i rola ta przylegała do niego jak dobrze skrojony garnitur. Ale w słowach jego występowały obecnie akcenty polityczne, na jakie dawny pan Polko nigdy nie pozwalał sobie. Krytyka rządu? O, nie. Całkowita, płaska aprobata podług poprzedniej recepty. Ale aprobata przeciw warunkowa. Z zastrzeżeniem. Z tajną klauzulą wykonawczą. „Nie możemy dopuścić do eksperymentów w gospodarce państwowej”. „Każdy rząd mu-

si rozumieć tę prawdę”. Nie możemy? Musi? Kto to powiedział? Pan senator Polko? I to wreszcie dziwne końcowe napomknięcie — coś pośredniego pomiędzy stwierdzeniem a pogrózką: „Od tego zależą jego własne losy”. Czyje losy? Czyje? Losy rządu? Tego, co powstał, czy też... Więc co ostatecznie: dawna uległość, czy dyktowanie warunków?

On się tego od Moussaców nauczył — odgadł Jacek. — To Moussacowie obkuli pana Polka.

Hipoteza nie wymagała bliższych uzasadnień. Występowała z oczywistością rzadko spotykaną. To przeszkolenie paryskie. Te sześć tygodni pobytu nad Sekwaną. Tuła? Cóż, Tuła była dobra, i Kazań. Nawet Orzeł. Piter? Piter, panie, to wielka szkoła życia. Och, tam się żyło. I łatwo, i szeroko. Ale zawsze: co Paryż, to Paryż. W Paryżu dojrzewają talenty. Wypełniają się mięszem, jak banan senegalski. Przez Paryż przejść trzeba. Przyjrzeć się nocnym kawiarniom i zawrzeć znajomości na giełdzie.

— Panie Białynia — senator z lekka wydał grube wargi — wie pan? Podobał mi się Paryż. Tu się nieźle żyje.

— A co do Francuzów — zastanowił się. Zbiegał myśli. Uporządkowywał wrażenia. — A co do Francuzów, to powiem: naród nieciekawy. Im się wydaje, że bez nich to by świat nie istniał. Nauka. Sztuka. Literatura. Parlamentaryzm. Afrykę cywilizują. Murzynów nauczyli pacierza. Tam jeszcze i jeszcze. A w restauracji, to każdy płaci

za siebie. Chleb policzy, ile zjadł. Przez kwardrasy palcem po rachunku wodzi. Znam ich. Dosyć widziałem. Nieciekawy naród.

Roman Mikulicz wolno podniósł głowę. Nad fałdami ciemnego, zbyt obszernego ubrania jego twarz blada i pełna świeciła księżycowo. Przez chwilę poruszał ustami nie wydając dźwięku. Jakby miał wyrazić i nie mógł się zdecydować na rozstrzygnięcie z dźwiękiem zamierzonym.

— Ale — przewyciężył się wreszcie — zdarzają się ludzie zdolni. Na przykład panowie Moussac.

— Panowie Moussac — głos senatora zabrzmiał uwielbieniem — panowie Moussac są wielkimi ludźmi. Ich każda myśl jest twórcza i celowa. Ich zamierzenia, ich plany odznaczają się przenikliwością niezwykłą. Geniuszem. Geniuszem współczesności. Świat do nich należy, panowie.

Odchrząknął. Przełknął ślinę. Poprawił złote spinki przy mankietach.

— Pozyskanie panów Moussac — w przechylonej w tył głowie zmrużone oczy jarzyły się zachwalstwem — pozyskanie panów Moussac było moim dyplomatycznym zadaniem. Moją misją. Nie potrzebuję tłumaczyć, ile pracy, ile zabiegów wymagał ten sukces. Ile trudności musiałem przewyciężyć. Ach, nie jest to rzecz łatwa ta praca dla państwa, proszę wierzyć. Pan Premier Skrzyński... to jest — poprawił się zaraz — Premier Witos oczekuje z niecierpliwością na wynik tych ro-

kowań. Dziś jeszcze wieczorem odjeżdżam do Warszawy. Dziewięta czterdzieści pięć Gare du Nord. Razem z posłem króla Zogu przy rządzie meksykańskim.

Powstał i podawał im rękę. Był wspaniały. Groźny.

— A panu, to jednak nie radzę brnąć w opozycję za Piłsudskim — rzekł nieoczekiwanie do Jacka.

Spojrzeni po sobie zdziwieni, ale drzwi za panem Polkiem już się bezgłośnie zamknęły.

— To moja rzecz! — krzyknął Jacek od okna. — To tylko moja rzecz, senatorze!

Tamten nie dosłyszał, lub raczej udał, że nie słyszy. Schodził w dół wewnętrznymi schodkami i Jacek z Mikuliczem słyszeli wyraźnie ociężałe, miarowe stąpanie. Musiał iść, jak zwykle, z godnością i spokojem. Z głową w tył odrzuconą i wyrazem namaszczenia na obrzęklej twarzy.

— Czego właściwie on chce? — rzucił Roman w próżnię. — Czego chce on od ciebie?

Usiadł na kanapie i wyprostował starannie chorą nogę. Ułożył ją obok na krześle z troskliwością piastunki. Jak obcy przedmiot o nieznanej nikomu wartości, który on musi dźwigać z pieczołowitością niezmienną.

— Czego on chce? — powtórzył rozcierając gołęń. — Uwziął się i sekuje ciebie tym Piłsudskim. Przez co mogłeś go sobie tak narazić, Jacku?

— Głupia historia — mruknął Jacek niechętnie.

— Pewnie, że głupia — zgodził się natychmiast. — Pewnie, że głupia. Całkiem niepotrzebna. Piłsudski w Sulejówku. Zapomniano o nim. Kwiatki podlewa i pisze pamiętniki. To może być nawet ciekawe dla potomnych. Takie wspominki. Rozgoryczenia i polemiczne wypady. Poprawki i przyprawki. Ale w życiu praktycznie cóż to wszystko waży? Jaki wpływ mieć może na realny bieg wypadków w kraju? Warunki polityczne narzucają nam dzisiaj inną rzeczywistość. Obiektywna ocena sytuacji, możesz tego być pewien, mój Jacku, nie przemawia bynajmniej za Piłsudskim.

Pochylił się niżej ku chorej nodze, aż fałdy marynarki zbiegły się i nawisły u szyi jak obroża. Twarz jednak pomimo nachylenia zachowała swą bladość. Tylko pot wystąpił obficie.

— Obiektywna ocena sytuacji — ciągnął uporczywie — wykazuje, że czynniki, które wysunęły się w pierwszych latach naszej państwowości, utraciły obecnie swe znaczenie. Swój wpływ atrakcyjny. Nie można wiecznie rządzić demagogią. Wspominaniem młodości górnej i chmurnej, lecz przebrzmiałej. Obcinaniem kuponów historii. To się kiedyś kończy. To się już skończyło, mój Jacku.

— Czy wiesz to na pewno, Romanie?

— Czy wiem na pewno? — Mikulicz wzruszył ramionami. — Czy wiem na pewno? Logika mi to mówi. Gdy się myśli logicznie, gdy się analizuje...

Cóż? W polityce trzeba być realistą, mój drogi. Nie można operować złudzeniami.

Wszakże Jacek już działał zaczepnie. Burzliwa krew panów Lacczańskich napłynęła wartko od wnętrza. Jak strumień, co z głębin wytryska i niesie z sobą sprężone siły podglebia. niespodziewanie, bez przejściowych stanów Jacek się skupił i natarł, jak Andrzej Lacczański przed dwoma z górą wiekami nacierał na zbyt rozważnych popleczników Sasa.

— Polska nie jest własnością jednego pokolenia! Myśmy ją wzięli, aby innym przekazać. To nie dom, nie folwark, nie fabryka!

I zaraz jeszcze gwałtowniej:

— Myśmy ją wzięli, aby umocnić na zawsze. Wydzwignąć z biedy, z ciemnoty, ze służalstwa. Sprawa nie skończyła się w Rydze, ani też w Wersalu. Sprawa trwa. Walka trwa. Jesteśmy do dzisiaj na froncie.

— Nie rozumiem cię, Jacku — Mikulicz wreszcie puścił chorą nogę. — Doprawdy nie rozumiem. Dlaczego się gniewasz? Cóż ja powiedziałem?

— Nie ty. Nie ty jeden. Tysiące mówią tak samo. Słyszysz? Słyszysz, Roman? Tysiące i tysiące. Chłopcem byłem, gdy słyszałem ten wykład z Petersburga. To „Kraj” uczył. Znam mistrza, co wychował takich czeladników.

— Nie przypuszczałem tylko — odmienił głos od razu. Dał mu tony ironiczne, zjadliwe. — Nie przypuszczałem, że w nowej Polsce znajdzie się

dla nich tyle do roboty. Wprost sprzed pomnika Katarzyny w Wilnie! Z przedpokojów carskich! *Z uczreǳdzenij!*

Nachylił się nad Mikuliczem i zaglądając mu w oczy wołał coraz głośniej:

— Nie takiej Polski chcemy! Nie nadnewskiej! Nie za taką Polskę płynęła krew żołnierska. Trudził się chłop śmiertelnym, męskim trudem. Wędrował robociarz w tajgę syberyjską. Ginał student. Polska być musi wolną, lub nie będzie! Jeśli lud jej nie uzna za swoją — za rodzoną — nie obronią twierdze! Armaty nie ocala! Słyszysz, Roman?

Lecz Mikulicz właśnie nie słyszał. Nie rozumiał. Ręką wodził po czole spoconym i w zakłopotaniu powtarzał półgłosem:

— Dlaczego tak gniewasz się, Jacku? O co ci chodzi? Nie rozumiem wcale.

Jacek wracał do domu. Pogodny zachód gorzał już nad miastem. Sunęły obłoki, jak statek o płonącym żaglu. Przewalały się blaski poprzez zrab kamienic. Jarzyły się na szerokiej kopule Inwalidów i opadały w dół ku srebrnosinej rzece.

Tętniało miasto rytmem przyspieszonym. Prężyły się człony tramwajów. Autobusów. Wiowały auta u zakrętu alei. Pełzły, jak żuki, wzdłuż gardzieli ulic. Z wnętrza ziemi przez otwór wyłotów wypadał co chwila szalony cwał kolejki. Było parno w ten wieczór dwunastego maja.

Jacek minął ogród Tuileryjski i na wprost Luwru wszedł na most des Arts. Na most ulubiony, skąd przez lata całe patrzył na panoramę wewnętrznego Paryża. Na mury szare, czcigodne, zamysłone, ze strzelistą wieżą Świętej Kaplicy, z potężną elewacją Katedry Notre-Dame, z wieżą Świętego Jakuba między regularnym czworobokiem Luwru i klasycznym frontonem pałacu Mazarini.

Wieki historii stworzyły ten krajobraz. Wieki wysiłków, marzeń i zaprzeczeń. Pokolenia mijały, jak mija przypyływ morski, ale zarys Paryża kształtował się. Utrwalał. Wynurzał się z przypadkowości. Z zawleczonych skądinąd formuł architektonicznych. Wcielał w siebie twórcze siły narodu. Jego instynkt życia. Jego temperament i rasę.

Jacek zatrzymał się. Przechylony przez poręcz patrzył znowu w nurt rzeki. W fale rozważne, zimne, połyskliwe, co biegnąc z dwóch odnóg łączyły się u mostu. Drobne wiry powstawały w tym miejscu i smugi piany ciągnęły się po wodzie. Promień słoneczny wpadał w bruzdy zmienne. Woda i światło tworzyły wspólną barwę.

I znów uległ Jacek wpływowi tej wody bieżącej. Jej tajemniczemu, przyciągającemu działaniu. Czarowi płynnej zmienności, co odpowiada zmienności duszy ludzkiej. W drgającej gamie kolorów dostrzegł myśli własne. W rozwartej, szklistej głębinie — odbity obraz przeszłości.

Oto jest jeszcze tamtym, innym Jackiem. Nie nosi haftowanego kołnierza, ani ciężkich koman-dorii na szyi. Nikt nie wypłaca mu pensji, diet, remuneracji i dodatków. Nikt nie obiecuje awansów i odznaczeń.

Obraca się w kole dawnych towarzyszy. W kole młodzieniaszków o jasnych, bystrych oczach. Zbierają się tajnie. Schodzą się. Zjeżdżają. Od Kijowa po Paryż. Od Newy po Mediolan. Gdzież są granice? Policja i żandarmi? Jak poszum morza wzbiera słowo: „Polska“.

Polski nie ma i Polska jest przecie. Jest w ich sercach, żywa i wyniosła. Polska braterska, rzetelna, sprawiedliwa. Polska kmieca, robocza, ofiarna. Polska rzesz wolnych. Polska wolnego człowieka.

— Ustrój Europy ocalił żołnierz polski — wymówił Jacek niemal głośno i teraz rozumie dokładnie, dlaczego stać się to mogło. Dlaczego ten żołnierz, najmłodszy w Europie, okazał się niezastąpionym żołnierzem.

Naraz jakby popiół spadł na kryształ wody. Jakby rdza okryła przejrzyste, jasne zwierciadło. Zmąciły się barwy i rozpadły. Zakłębiły się cienie i ze śniadej kurzawy wyszedł tryumfalnie pan Cezary Polko.

„A panowie jeszcze nie zmieniliście portretu? — mówi i brwi ściąga, jakby w pamięci notował zaniedbanie. — Warszawa nie ma instynktu państwowego. Państwo przede wszystkim potrze-

buje kapitału. O tym najlepiej pamiętać osobiście.“

Jacek się skurczył. Zmalał. Opadł nagle. Znikły twarze dawnych, miłych towarzyszy. Zgęstniały mroki i sprężyły się w ścianę nieprzystępną, stromą. W mur. W mur właśnie, a nie w okop wojenny. Stało się duszno, jak w izbie zarygłowanej od zewnątrz.

Jacek się waha. Poszukuje i błądzi. Posuwa się naprzód niepewnie, jak człowiek zamknięty w ciemnym korytarzu. Gdzie są drzwi? Gdzie są wyjścia? Czyż nie ma stąd wyjścia naprawdę?

„To było moim dyplomatycznym zadaniem — słychać na zewnątrz głos Cezarego Polka. — To było moją misją, proszę panów. Nie potrzebuję tłumaczyć, ile pracy, ile zabiegów wymagał ten sukces.“

I choć nie widać tego, Jacek wie, że Polko rośnie, ogromnieje. Że kroczy jak zwykle z godnością i spokojem. Z głową w tył odrzuconą i wyrazem namaszczenia na obrzękłej twarzy. I wie jeszcze, że cień Polka wlecze się za Polkiem. Ze wschodu na zachód. Okrywa całą Polskę. Że Polko utożsamia się z Polską.

Jestem chory — domyśla się Jacek. — Jestem chory i bredzę w gorączce. Fala mię urzekła. Zahipnotyzował blask mieniającej się wody.

Usiłuje się dźwignąć. Oderwać wzrok od rzeki. Zmienić pole widzenia. Ale ciało jest sztywne, bezwolne. Stężała krew nie może go opłynąć.

Spadł zmierzch niepostrzeżenie i miękko. Wypełnił miasto, jak ciemny miód lipcowy wypełnia plaster wosku. Wsączył się słodko w niezliczone słoje i komórki. Zalśnił, jak cyna, na asfalcie jezdni.

Gasły teraz gwiazdy zawstydzone, omdlałe. Zapadały kolejno w mroczną otchłań nieba przed światłem zapalanych neonów. Schodziły z pola, jak zapaśnicy przedwcześnie pokonani. Jak tancerki, którym publiczność nie chce się przyglądać. Zawstydzone. Prześcignione. Samotne.

Jacek z trudem posuwał się w tłumie, falującym jak wielki łan pszeniczny. Od kiedy opuścił wybrzeże, prąd ludzki porwał go i niósł z wolna pod górę. Na placyku przy moście musiał stać przez kwadrans czekając na możliwość przejścia na chodnik przeciwny. Potem się wmieszał w tłum zwarty, wesoły i przyjazny. Zanurzył się w fali śmiechu i okrzyków. Złączył się z rytmem kroku tych przechodniów i szedł, jak oni, w ławicy głów i ramion.

Był znowu opanowany, spokojny. Potrzebował fizycznego zmęczenia. Pracy mięśni. Zwidzenie tamto pierzchło, ni to zmora nocna, i Jacek czuł, że wysiłek fizyczny utrwala go w poczuciu niepowracalności zjawiska. Zapewnia trzeźwość i krytycyzm myśli, jak ruch wahadła normuje pracę zegaru.

Zanadto wzburzył mię Polko — rozważał. — Muszę być istotnie nieco chory.

Przy skrzyżowaniu bulwarów zmuszony był znowu przystanąć. Czekał cierpliwie, aż przepłyne fala tworząca zator uliczny. Kra samochodów, tramwajów, autobusów, sunąca szykiem zwartym w poprzek drogi Jacka. Światła latarni mnożyły się w szybach pojazdów, jak księżycy odbite w gładkiej wodzie stawu. Po przeciwnej stronie czerniały mury Cluny. Głęb obszernego podwórza wypełniona szczątkami sarkofagów.

Muszę być przemęczony lub chory — zapewniał Jacek sam siebie. — To nieporozumienie z senatorem Polkiem przybrało nienaturalne rozmiary.

Minał Termy i dążył pod górę wzdłuż przepelnionych barów i kawiarni. Tłum uliczny co chwila mieszał się z tłumem przy stolikach. Rzucono nawzajem uwagi i dowcipy. Dziewczęta śmiały się zaczepnym, ostrym śmiechem. Przystawały, by zamienić słów kilka, i krążyły dalej, jak muchy pstre w pachnącej świeżym ciastem piekarni.

Nagle przy kawiarni na placyku Sorbony ktoś dotknął Jacka.

— Siadajże na chwilę — usłyszał głos znajomy.

Jacek zatrzymał się i poznał profesora Bogusławskiego.

— Siadaj. Napijemy się wina — mówił starszec. — Noc jest pogodna i ciepła, jak noce wiosenne na Wschodzie. Gdyby nie światło latarni, widziałbyś granat nieba miękki i głęboki. Wielkie gwiazd rojowisko i pierścień Drogi Mlecznej.

Uchylił ronda czarnego kapelusza. Pasma siwych włosów wymknęło się niesfornie. W głębi niebieskich oczu zapalił się blask i rozjaśnił twarz bladą o mocno zarysowanym profilu.

— Więc nie wyjechał pan jeszcze, profesorze? — zagadnął Jacek siadając.

W jednej chwili niebieskie oczy zgasły. Powlokły się mgłą. Zapadły wewnątrz orbit.

— Nie mogłem — odrzekł profesor zdławionym, obcym głosem. — Hania zachorowała przedwczoraj.

— Hania zachorowała? — zaniepokoił się Jacek. — Przedwczoraj? Gdyśmy się właśnie rozstali?

Profesor Bogusławski w milczeniu skinął głową. Z powściągliwości gestu pojął Jacek, że pragnie, aby mu zaoszczędzono wyjaśnień. Zamilkł więc i pił wino, wsłuchany w gwar ulicy.

Mówili potem o sprawach codziennych i błahych. O drobnych zdarzeniach natłoku. O postępach reklamy świetlnej i znaczeniu wychowawczym radia. Ich myśli toczyły się w różnych kierunkach, jak pociągi odchodzące z centralnego dworca. Ale w myśli każdej ukrywał się ten sam przemycany, tajemniczy pasażer: niedomówione pytanie, wspólna troska. Myśleli obaj o chorobie Hani i starali się o tym zapomnieć. Jak szklanna zapora dzielił ich ten temat, wyłączony z rozmowy, lecz jedynie ważki.

Naraz profesor Bogusławski podniósł siwą głowę. Patrzył przez chwilę przed siebie w prze-

strzeń zaciemnioną. Palce ręki, spoczywającej na stole, zamykały się i otwierały na przemian, jakby pomagając zgarnąć rozproszone, wymykające się wyrazy.

— Czy sądzisz, że jest losem Kassandry — zagadnął — aby nie wierzono jej słowom?

Jacek spojrzał badawczo. Twarz starca była bledsza niż zazwyczaj i w oczach zapadłych tlił się niezdrowy, zamglony żółty ogień.

— Czy jest losem Kassandry? — powtórzył Jacek tamto zapytanie nie rozumiejąc na razie jego istotnego sensu.

W tym samym jednak momencie coś mu przypomniało się nagle. Z podglebia świadomości wytrysł rytm znajomy. Zakotłosał się dostojnym rozmiarem. Falą płynną, pozbawioną jeszcze myślowego znaczenia, lecz już nieomylną dźwiękowo. Jak wołanie bez słów dalekie, uroczyste. Jacek począł żmudnie odnajdywać poszczególne wyrazy. Wyławiać je w sobie i tworzyć pojęciowy ekwiwalent rytmu:

— — — — — co za białogłowa
Z włosy roztarganemi i twarzy tak bladej?
Drżą na niej wszystkie członki. Piersiami pracuje.
Oczy wywraca. Głowę kręci. To chce mówić,
To zamilknie.

Priamus.

Moja to nieszczęśliwa córka
Kassandra. Widzę, że ją duch Apollinowy
Zwykły nagarnął¹⁾.

¹⁾ Kochanowski, Odprawa posłów greckich.

I oto niespodziewanie — wskroś wiersz umiłowanego poety zaczął Jacek dostrzegać ukryty zarys prawdy. Najtajniejszą troskę tego starca, u schyłku życia uwikłanego bezradnie w nierozstrzygalnych sprzecznościach tajemnicy. Pomiedzy przepaścią bytu i równoległą otchłanią nieistnienia. Jak starożytny Vesper, kroczący między dniem a nocą i równie obcy jasności jak mrokowi.

Na toż przez lat kilkadziesiąt kusił się o wydarcie sekretów umarłego świata, aby wreszcie się zgubić w labiryncie dnia współczesnego? Na to odgadywał zaklęcia czarnoksięskie, inwokacje bogów, magiczną władzę słowa, aby utracić miarę rzeczy bezpośrednich, bliskich i najdroższych? Czyż to jest właśnie owa zemsta cieni? Odwet niepoznawalnego? Działanie urzeczenia? Ów wąż, co pożera sam siebie, wpleciony w koło Wieczności?

A profesor mówił tymczasem z oczyma utkwionymi w wąski skrawek nieba.

— Bo, widzisz, myślę, że tak już być musi. Że los, aby się spełnić, musi być losem nieznanym. Że darmo wołać na tych, których zagłada się zbliża. Odrzuca ratunek, a wybiorą zgubę. Inny jest język tych ludzi i nie pojmą oni mowy jasnowidza. „Ginących światów nie ocali nikt, gdyż ocalonymi być nie chcą”. Czy ty rozumiesz to, Jacku?

Pochylił się niżej nad stołem, aż siwa głowa opadła na splecione dłonie, jak owoc ciężarem

swoim uginający łodygę. Blask źrenic zamigotał i przygasł, jak płomień nagle zgaszony, i w otworach między rzęsami zaległ mrok mętnym, jednolitym płatem.

— Aby los mógł się wypełnić — szeptał końcami warg — musi się człowiek rozbroić dobrowolnie. Musi odrzucić swój sprzeciw i wybrać to, co przeznaczenie mu niesie. Własną zgubę pod pozorem ratunku czy świetności. Upadek własny, osłonięty omamem łatwej pomyślności. Bowiem pomyślność prawdziwa rodzi się wśród zmagania, ale łatwość szczęścia oznacza podstęp losu.

Jacek słuchał zdumiony. Po wielu latach zażyłej znajomości nowy, nieznany człowiek objawiał mu się w tym starcu. Już nie uczony, lecz mędrzec wpatrzony w niepojętą treść zjawisk moralnych, rządzących życiem ludzkim wbrew samej mechanice życia. Przed chwilą jeszcze widział w nim raczej załamanie i niemoc. Uwikłanie się niemal bezradne w nierozstrzygalnych, w jałowych może sprzecznościach czystego intelektualizmu. Tragizm postawy myślowej, co zawisała jak Vesper pomiędzy dniem a nocą. Aż oto przez próbę czyścicową, poprzez ból osobisty, człowieczy przebijał prąd inny, ożywczy i głęboki, niosąc niezamącone, nieomyłne widzenie wewnętrzne. Prawdę ducha.

— Zbawienie narodów jest w nich, nie poza nimi — mówił cicho profesor Bogusławski. — W pracy, w wysiłku, w myśli twórczej. Daleka to droga i żmudna. Droga zespoleń milionów. Ktokolwiek chce zbawiać narody przez przepis

i przez cyfrę, przez imię władcy i jego wizerunek, przez wiarę, że sam posłuch ocala — ten postępuje jak dawny przekupień amuletów. Wszakże nadchodzi czas próby i nabyty amulet nie chroni noszącego. Wtedy człowiek wstaje i tłucze go o kamień.

— Ale ten, kto by powstał, zanim rozstrzygną się losy, nie zrozumiany będzie pośród swoich. Jak krzyk Kassandry przeleci jego głos nad miastem i nikt nie uwierzy w rzecz pewną. Za ślepca okrzyczany będzie. Za burzyciela, wroga i odstępce. Bowiem los, aby się spełnić, musi być losem nieznanym. Jak krogulec spaść musi. Jak pierwsza iskra pożaru. Prawda objawia się w historii przez popełnione omyłki. Sprawdzianem wartości są następstwa czynu. Jego dalekie, nieprzewidziane refleksy.

Mówił jeszcze, gdy w równomierny, wesoły gwar ulicy wdarł się krzyk jakiś niespodziewanie i nagle. Wprawne ucho Jacka chwyciło ten dysonans. Załamanie się zwykłych odgłosów. Zahamowanie śmiechu, nawoływań. Sygnały aut wydały się naraz głośniejsze i wozy tramwajowe dzwoniły alarmowo. Nerwowo, ostry wstrząs przebiegł wzdłuż bulwaru. Tłum sprężył się. W miejscu przystanął.

— Coś stało się — rzekł Jacek. — Od stacji metra biegna chłopcy z gazetami.

— Dodatek nadzwyczajny! — zabrzmiało od bulwaru Saint-Germain. — Dodatek nadzwyczajny! Dodatek!

Jacek wstał. Wyprostowany patrzył w tamtą stronę. Oczekiwał czegoś, co szło ku niemu upragnione i groźne zarazem. Jak nawałnica w upalny wieczór letni. W natężeniu woli próbował odgadnąć treść zdarzenia. Przeniknąć ją o kilka sekund wcześniej. Wydrzeć dusznej, migotliwej ulicy,

— To w Polsce się stało — powiedział spokojnie profesor Bogusławski i również wstał od stolika.

Chrapliwy, ostry krzyk zbliżał się. Można już było rozróżnić poszczególne głosy gazeciarzy. Biegli pędem pod górę. Roztrącali przechodniów. Wpadali niemal pod auta.

— Rewolucja w Polsce! — usłyszał Jacek Białynia. — Rewolucja w Polsce! Rewolucja!

W tejże chwili runął tłum z kawiarni. Setki rąk sięgały po lotne płachty papieru. W zamęcie rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Głuchy łomot wywróconych stolików.

— Rewolucja! — krzyczał ktoś wśród tłumu. — Piłsudski szturmuje Warszawę!

Jacek trzymał w ręku zmięty, od drukarskiej farby lepki jeszcze papier. Usiłował czytać. Olbrzymie, rozstrzelone litery tańczyły mu przed oczyma. Profesor Bogusławski nachylił się ku niemu. Patrzyli razem w milczeniu, nie mogąc słowa wydobyć.

Gazeciarze przebiegli w stronę Luksemburskiego ogrodu. Minął tupot nóg i świst zdyszanych oddechów. Ale od Odeonu przez ulicę Mon-

sieur le Prince zbiegała już inna gromada. Okrzyk ten sam w odmiennej nieco tonacji płynął w dół bulwaru. Zagarniał nowe rejony.

— Rewolucja w Polsce! Rewolucja!

— Rewolucja! Rewolucja w Polsce! — odpowiadał echem zwarty tłum uliczny.

I oto z trzeciej strony, od ciemnej ulicy Cujas zatętniały kroki nowej nadbiegającej gromady. Rozkołysały się głosy i wpadły w rytm ogólny. Zmieszały się okrzyki i stopiły się z sobą. Urosły w akord wspólny, nieodparty, co wzbił się w niebo i zatopił Paryż.

KONIEC



147952 / 1

Warszawa, 18 kwietnia 1936 r.